

ZNIKAJĄCA PANDEMIA

**Gdzie się podział COVID-19
- śledztwo „Do Rzeczy”**



TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

NR 14/470 4-10 KWIETNIA 2022 CENA 8,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



**Odsłaniamy kulisy
ostatnich zmian w rządzie**

**POCZĄTEK
WIELKIEJ
IGI ŚWIĄTEK?
- POLKA
NAJLEPSZĄ
TENISISTKĄ
NA ŚWIECIE**



**Polski Ład, czyli
„jaka piękna katastrofa”**

Czy wojna Polski z Rosją jest nieuchronna?

PISZĄ: PIOTR SEMKA, MAREK JUREK, RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ, WOJCIECH GOŁONKA

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000
Nakład: 54 000 egzemplarzy
14>



*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
RZECZY

FUNDACJA
 STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI **2022**

**JUBILEUSZOWA X EDYCJA
WYJĄTKOWYCH NAGRÓD
W KATEGORIACH:**

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: [DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI](https://dorzeczy.pl/straznik-pamieci)



**PARTNER
STRATEGICZNY**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

O czym się nie mówi

Z różnych sondaży przeprowadzanych przez media w ostatnim czasie stosunkowo najbardziej znaczący zdaje mi się ten, który na zlecenie tygodnika „Polityka” przeprowadziła pracownia Kantar Public. Wynika z niego, że 50 proc. respondentów uważa (27 proc. odpowiedziało „zdecydowanie tak”), że kraje NATO, w tym Polska, powinny zbrojnie, z udziałem wojska, pomóc Ukrainie w wojnie z Rosją. Przeciwnego zdania było tylko 37 proc. pytanym. Potwierdza to to, co pisałem na łamach „Do Rzeczy” przed tygodniem: za sprawą mediów i obecnych w nich ekspertów ogół Polaków jest przekonanych, że ewentualna wojna na Ukrainie nie stanowi wielkiego ryzyka, a Rosja albo już się poddała, albo jest tego bliska.

W takim przeświadczeniu utwierdzają Polaków słowa powszechnie uważanych za wpływowych generałów. I tak były głównodowodzący wojsk lądowych w programie „Super Expressu” mówił, że obwód kaliningradzki znajduje się „pod okupacją rosyjską od 1945 r.”. Stwierdził, że tereny te nigdy nie były rosyjskie, a historycznie należały do Prus oraz Polski. „Teraz warto byłoby się o nie upomnieć, tak jak kiedyś o Ziemię Odzyskaną” – powiedział. „Warto by się może upomnieć o ten obwód kaliningradzki, który moim zdaniem jest częścią terytorium Polski. Mamy prawo mieć pretensje do tego terenu, które Rosja okupuje” – ciągnął gen. Skrzypczak. Na koniec zaś dodał, że Kaliningrad „nie ma żadnego znaczenia militarnego”.

To wypowiedź znamienita. Nie tylko dlatego, że porównanie „Ziem Odzyskanych” z terenami Kaliningradu wydaje się co najmniej karkołomne. Niezależnie

od pytania, na ile można mówić o „Ziemiach Odzyskanych”, zostały one po prostu Polsce przekazane przez aliantów i Stalina po dramatycznej klęsce Trzeciej Rzeszy, po upadku reżimu Hitlera, po tym, jak Niemcy znalazły się pod okupacją USA, Wielkiej Brytanii i Francji z jednej strony, a Sowieców z drugiej. Jeśli porównanie generała miałyby w ogóle sens, to należałoby najpierw doprowadzić Rosję do takiego stanu, w jakim znajdowała się Trzecia Rzesza w 1945 r. Putin popełniający samobójstwo w bunkrze na Uralu, jednostki NATO zajmujące Moskwę w tempie szybszym, niż robiła to Armia Czerwona podczas ofensywy na Berlin od początku 1945 r. – muszę przyznać, że to ciekawy temat dla pisarzy science fiction. Ale dla analityka?

Najwyraźniej takie drobiazgi jak pytanie o wcześniejsze zniknięcie Rosji razem z jej armią generałowi nie przeszkadzają. Po co się tym kłopotać, skoro z tym problemem uporać się wojska NATO? Właśnie takie opinie doskonale budują stan obecnego uniesienia. Zajęcie napakowanego iskanderami, toczkami, wyrzutniami rakietowymi i jednostkami pancernymi obwodu kaliningradzkiego traktowane jest jak szybki i łatwy spacer. Ludzie mogą tak myśleć, bo skoro tak mówi ważny wojskowy, to przecież zna się na rzeczy.

Generał Skrzypczak nie jest jedyny. Inny specjalista, nie mniej często obecny w mediach, gen. Roman Polko ogłosił w Polsacie, że „jeżeli ktoś nas szantażuje bronią nuklearną, to trzeba tę broń pokazać”. Były dowódca jednostki GROM dodał, że chodzi o rozmieszczenie w Polsce „nośników broni nuklearnej, które są w stanie sięgnąć Moskwy”. Jego zdaniem takie posunięcie

„na pewno zrobiłoby wrażenie na Putinie”. Zapewne by zrobiło. Ciekawe, że gen. Polko nie przyszło do głowy, że takie – i to jeszcze głośne! – rozmieszczanie w Polsce broni nuklearnej, która miałaby osiągnąć Moskwę, mogłoby doprowadzić do przewencyjnego uderzenia Rosji. To dopiero zrobiłoby wrażenie, nieprawdaż?

Podobnych w duchu wypowiedzi, również niestety polityków, mógłbym przytoczyć więcej. Tym, co w nich uderza, jest właśnie osobliwa beztroška. Istnieje rażąca, tak bym to powiedział, dysproporcja między deklaracjami wojennymi a realnymi siłami polskiej armii. Krótko: Polska zdaje się zachowywać i wypowiadać jak imperium światowe lub co najmniej mocarstwo regionalne, nie dysponując, ujmę to delikatnie, wystarczającymi aktywami. Dysponując niespełna 80 myśliwcami bojowymi, jednym nie do końca sprawnym okrętem podwodnym, kilkuset czołgami, z czego najbardziej nowoczesnymi są poniemieckie leopardy, oraz brygadami piechoty, których mobilność, jak twierdzą znawcy, pozostawia wiele do życzenia, prowadzimy, ujmę to tak, politykę nieco ponad stan.

W ten sposób koło się zamyka. Dlatego co drugi Polak gotów jest popierać wojnę, która mogłaby pociągać zniszczenia polskich miast i masowe ofiary. Mogłaby – tyle że się o tym nie wspomina. W dominującym dziś przekazie o możliwych negatywnych konsekwencjach i czarnych scenariuszach w ogóle się nie mówi. Przechodzi się nad nimi do porządku dziennego. Na agresję Rosji patrzy się wyłącznie w kategoriach moralnych, tak jakby potępienie zła było tożsame z jego zniknięciem. Bardzo to ryzykowne. ©

TEMAT TYGODNIA

14 PIOTR SEMKA

MÓWMY O PROBLEMIE ROSJI, A NIE O WOJNIE Z ROSJĄ

Trzeba umieć żyć
w niebezpiecznych czasach

16 MAREK JUREK

REAKCJA I GROŹBY

18 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

DLA ROSJI ZAWSZE BĘDZIEMY ZAGROŻENIEM

20 WOJCIECH GOŁONKA

NIEUCHRONNA WOJNA?



KRAJ

22 KAMILA BARANOWSKA

WOJENNE PRZETASOWANIA W PIS

Stan wyjątkowy w obozie władzy

24 TOMASZ ROWIŃSKI

INFORMACYJNE BITWY GENERALÓW

26 ROZMOWA

Z GEN. DYW. PROF. GRZEGORZEM GIELERAKIEM

CZY SZPITALA WYTRZYMAJĄ?

28 ZUZANNA DĄBROWSKA

ABORCJA PIERWSZEJ POTRZEBY

30 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

UKRAIŃCY CHCĄ PRACOWAĆ

KULTURA

32 PIOTR GOCIEK

WIELKI UNIK

Nagrody amerykańskiej
Akademii Filmowej 2022

NIE PRZEGAP

34 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

40 ROZMOWA Z PROF. JAKUBEM POLITEM

CHINY – CICHY ZWYCIĘZCA WOJNY NA UKRAINIE?

W tandemie Rosja-Państwo Środka
przewagę ma Pekin

44 PAWEŁ CHMIELEWSKI

JAK WYGRAĆ ZE WSPÓŁCZESNĄ HEREZJĄ

46 JERZY KARWELIS

WOJNA I KORONAWIRUS

HISTORIA

48 PAWEŁ SKUBISZ

ATAK NA KONSULAT ZSRS

Szczecinianie wobec sowieckiej
interwencji na Węgrzech w 1956 r.

50 PAWEŁ PORAŃSKI

INWAZJA „KUZYŃÓW”

ŚWIAT

54 ROZMOWA ZE SWIATŁANĄ CICHANOUSKĄ

ZWYCIĘSTWO UKRAINY BYŁOBY SZANSĄ DLA WOLNEJ BIAŁORUSI

Bez pomocy Kremla Łukaszenka
nie utrzyma się przy władzy

58 PIOTR WŁOCZYK

NOWORODKI POZA PRAWEM

EKONOMIA

62 ŁUKASZ WARZECHA

ODKRĘCANIE ZMIAN

Kto zyska, a kto straci na Polskim Ładzie 2.0

66 ROZMOWA

Z JANEM KRZYSZTOFEM ARDANOWSKIM

SZACUNEK DLA CHLEBA

STYL

72 JOANNA BOJAŃCZYK

CHAOS KONTROLOWANY

Przytulny bałagan



SPORT

74 ŁUKASZ
ZBORALSKI

POCZĄTEK WIELKIEJ ŚWIĄTEK?

Polka
najlepszą
tenisistką
świata

**TYGODNIK LISTOWY
DO
RZECZY**
ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

 Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowski,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czański, Wojciech Colonna,
Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz
Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik,
Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Błażej Torzański, Szwach Weiss, Piotr Włoczyk,
Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski,
Igor Zaleski, Tomasz Zbigniew Ząpat
PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca,
 także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja),
Zofia Magdziak, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz
Grymowicz, Dawid Sienkowski, Paweł Dziarski, Łukasz Żygadło
Studio graficzne: Wojciech Niedziółko (kierownik),

Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczak-Stefaniak
Rysownicy: Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa
Okladka: Alexei Nikolsky/TASS/Forum
WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

 Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW


Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: Piotr Pech tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
 prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
 pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 54 000 egzemplarzy

DRUK: WASTEAD CENTRAL EUROPE

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
 ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

 Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
 składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

 e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
 Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
 w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adjustacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

 © Wszelkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Po wizycie w Kijowie

Kiedy słyszę z mediów, w związku z odważną wizytą polskiej delegacji rządowej w Kijowie, że nie kto inny, ale właśnie Polska czy Węgry w pierwszym rzędzie powinny przeproszać świat za prorosyjską politykę i jechać na Ukrainę po pokutę, to zastanawiam się, ile trzeba mieć podłości i jadu w niekończącej się nienawiści do

Po kilkudziesięciu latach
 patologicznego związku
 do Europy dociera, że
 Niemiec zdradzał już Rosję



przeciwnika. Przecież to głoszą osoby, dziś widać, jak totalnie skompromitowane, nawet słowem niechęć wspominać swoich wczorajszych zachodnich idoli, zaczynając od niejakej Merkel, jakby naraz wymarłej, nie wymieniając – bo szkoda słów – całej masy jej podobnych, pupilków „lyberalnych elyt”, z tychże Niemiec, Francji, Holandii, [...] którzy jak nikt inny doprowadzili do tego, że kremlowski Hitler miał w ogóle odwagę rozpocząć największą hekatombę po drugiej wojnie światowej w Europie. Naprawdę to Polska i Węgry kształtowały politykę nie tylko tolerancji, lecz także wręcz jawnego wspierania kremlowskich bandziorów? Gdzie musieliby dziś jechać przywódcy omalże całej Unii, jakże „pragmatycznej”, te wszystkie Obamy i inne bawidamki dobre na błoto, za tę ich zbrodniczą wyhodowania i wykarmienia największego zbrodniarza od czasów Hitlera i Stalina?

Jakim koszmarem wizerunkowym musi być dla fanatycznych wielbicieli lyberalnych partii fakt, że dopiero po napaści na Ukrainę

i ludobójstwie putlerowskich bestii na oczach całego świata ich zachodni pupile, zwłaszcza brukselskie „elity”, ledwie wtedy powoli zaczęły się budzić. I tylko trochę. Bo cokolwiek ostrzejszego w stosunku do ich moskiewskiego partnera można zrobić, najpierw trzeba wyciągać z nich niczym psu z gardła.

Choćby ostatnio nie wstydzą się dziś chwalić, wręcz eksponować, że wśród „wielkich” ostatnich sankcji nałożonych na Rosjan widzimy zakaz eksportu tam mercedesów, porsche, ferrari itp. elementów tak niezbędnych do życia dla przeciętnego lwana. Po prostu on bez nich na pewno się załamie. I się podda. Oni naprawdę w to wierzą. To nie są żarty! Wystarczy to, co już zrobili. Ponieważ uważają, że jeśli ruskie bandziory zabiją – powiedzmy – 100 tys. ludzi zwykłymi bombami i rakietami, to będzie ofiary tej masakry mniej bolało, niżby kremlinaliści zabili ich bronią niekonwencjonalną, np. chemiczną, biologiczną, jądrową. Oni naprawdę tak myślą. A na dziś uważają, że mogą jedynie przedzwonić trzęsącą rączką do swojego kremlowskiego towarzysza, tak na wszelki wypadek sprawdzić, w jakiej jest jeszcze formie. Bo oni się martwią. Nie, nie, nie o Ukrainę, o swoje majątki, tam w Rosji. Tacy pragmatyczni. Jak zwykle. [...] I to ma być przykład dla Polski i innych „zapóźnionych” w europejskim rozwoju krajów.

[...] Jeżeli jest jakaś sprawiedliwość, to mam nadzieję, że każdy będzie miał szansę odpowiedzieć wedle „zasług”. Sam jestem zwolennikiem Unii Europejskiej, wręcz jej entuzjastą, natomiast nie zgadzam się na obłudę, bełkot przyklejonych uśmiezków [...]. Mając tyle własnego brudu za paznokciami odnośnie do wspierania ruskiego Hitlera, warto niektórym zastanowić się, o czym mówią i piszą.

Robert Skwarko

Naszej Drogiej Koleżance Magdzie Lasi
 wyrazy żalu i współczucia z powodu
 śmierci Mamy

Ś.P.

Loni Kowalskiej

składają

dyrekcja, koleżanki i koledzy
 z Państwowego Instytutu
 Wydawniczego

NA PIERWSZY OGIEŃ

Nikanor Iwanowicz przewidział



PIOTR SEMKA

Brałem! Brałem, ale brałem nasze, radzieckie! Meldo- wałem za pieniądze, nie przeczę, zdarzało się. I nasz sekretarz Proleźniew, ten też jest dobry, też dobry! Prawdę mówiąc, w naszej administracji złodziej na złodzieju i złodziejem pogania...” – tę gorzką refleksję wyraził Nikanor Iwanowicz Bosy, prezes komitetu blokowego domu przy ul. Sadowej, jeden z bohaterów „Mistrza i Małgorzaty”. Od napisania tych słów przez Michaiła Bułhakowa minie niedługo 90 lat, ale w świetle doniesień z Ukrainy brzmią one zaskakująco znajomo.

Tak jak Stalinowi w zatrzymaniu Wehrmachtu pomagał „Generał Mróz” – tak Ukraińców przed klęską litościwie ratuje dziś „Wiedźma Korupcja”. A ta upiorna ciotunia w państwie Putina najbardziej upodobała sobie właśnie armię rosyjską.

Amerykańscy analitycy, śledząc ruchy Rosjan, początkowo łamali sobie głowy, dlaczego rosyjskie kolumny pancerne utknęły w drodze na Kijów. Trzeba było czasu, aby doszli do wniosku, że jednym z powodów „obstanówki” był prosty fakt, że gdzieś po drodze rozkradziono

paliwo przeznaczone dla tankistów Władimira Władimirowicza.

Ukraiński wywiad wojskowy twierdzi, że na 10 czołgów przysłanych do elitarniej 4. Gwardyjskiej Kantemirowskiej Dywizji Pancernej do wysłania do walki nadaje się tylko jedna maszyna. W ewidencji wojskowej w dyspozycji rezerw strategicznych są dziesiątki tysięcy gotowych do walki czołgów, ale w rzeczywistości bardzo często w hangarach stoją wraki pozbawione najcenniejszych części. Przez lata nikt ich nie oglądał, a teraz wychodzi na jaw, że pojazdy są sprawne jedynie na papierze.

Czołgi, które podlegały ostatniej solidnej konserwacji dekady temu, nie mają dostatecznie wytrzymałych pancerzy reaktywnych i są bezbronne wobec ręcznych wyrzutni pocisków przeciwpancernych. Z rosyjskich transporterów w tajemniczy sposób znika cenny sprzęt optyczny, a na dochodach ze sprzedawania na lewo wojskowego paliwa niejeden major dorobił się mająteczku na boku. Znalezione przy wziętych do niewoli żołnierzach rosyjskich racje żywnościowe mają terminy przydatności do spożycia do 2015 r. Co ze świeżym

jedzeniem? Handlują nim wojskowi kwatermistrzowie, którzy odpalają dowódcą odpowiednią działkę.

Na tym tle wiarygodności nabierają relacje o dowódcach, którzy boją się odpalać rakiety, bo nie są pewni, czy pocisk nie wybuchnie już przy samym odpalaniu.

Dopiero teraz widać, jakie znaczenie dla skuteczności sił rosyjskich ma powszechne złodziejstwo. Putin płaci dotkliwie za stworzenie systemu kleptokracji. W zamian za pełne posłuszeństwo pozwolił garstce wybrańców cieszyć się jachtami, apartamentami w Londynie i kontami w szwajcarskich bankach. Ale przy okazji nauczył swych poddanych – na czele z wojskowymi – że nie kradną tylko frajerzy.

Teraz, gdy wychodzi na jaw niesprawność jego armii, niekoronowany car może szaleć z wściekłości, zawieszać i aresztować generałów, ale od tego armia rosyjska nie zyska szybko na skuteczności.

Rosyjski przykład już zachęca do stawiania kolejnych pytań. Jak w razie wojny sprawdziłaby się Czerwona Armia Chin? Czy aby pod blichtrem armii Państwa Środka nie kryją się także słabość i korupcja? ©

PREZYDENT
Z WIZYTĄ
W WATYKANIE

Prezydent Andrzej Duda wraz z pierwszą damą pod koniec ubiegłego tygodnia udali się z wizytą do Watykanu. Duda rozmawiał z papieżem Franciszkiem przez ok. 30 minut. Po tym spotkaniu odbyła się audiencja dla pary prezydenckiej. Papież otrzymał jako upominek portret bł. kard. Stefana Wyszyńskiego oraz album dokumentujący pierwszy rok drugiej kadencji Andrzeja Dudy. (luz) ©



HODÓW
1694



KOSZULKA MĘSKA HODÓW
DRUK SUBLIMACYJNY



KOSZULKA DAMSKA RAZ SIERPEM



BLUZA MĘSKA MILITARNA

KULTOWA MARKA ODZIEŻY PATRIOTYCZNEJ I TOŻSAMOŚCIOWEJ

 W PEŁNI POLSKA
PRODUKCJA

ZAMÓWIENIA INTERNETOWE
www.redisbad.pl

ZAMÓWIENIA TELEFONICZNE
506 184 306

epresa.pl_d64f26bbef

SKLEP STACJONARNY
**Warszawa,
ul. Jagiellońska 88/24**

RED IS BAD™



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Lenistwo **ukarane**

Jest taki internetowy wesołek, który występuje na Twitterze pod pseudonimem Człowiek Bóbr. Specjalizuje się on we wpisach parodystycznych, przy czym to, że mamy do czynienia z parodią, widać jeśli nie na pierwszy, to na drugi rzut oka – bo choć wpis udaje wypowiedź jakiejś znanej osoby, podpisany jest adresem @czlowiek_bobr. Mimo to od lat regularnie Bóbr nabiera luminary obozu lewicowo-liberalnego, którzy jego uciechne tweety podchwytyją zupełnie serio i rozsyłają dalej ze swymi komentarzami.

Tym razem Bóbr zakpił, jakoby rzekomo Joe Biden nie chciał się podczas wizyty w Polsce spotkać z prezydentem Dudą, ale wyprosił to u niego Donald Tusk. Ten do wód rzekomego wielkiego wpły-

wu Tuska na lidera największego światowego mocarstwa tak dopasował politykom i dziennikarzom PO, że do głowy nie przyszło im spojrzeć na źródło radosnej wiadomości. Łatwo domyślam się dlaczego: przyszła ona akurat w chwili głębokiej frustracji wywołanej faktem, że Joe Biden „zdradził demokratyczną opozycję” (jak ujął to prof. Sadurski), nie znajdując czasu na spotkanie z jej liderami w ogóle, a z Donaldem Tuskiem w szczególności. Ten Biden, którego zwycięstwo tak intensywnie fetowali totalni w TVN, przekonani, że w Ameryce PO wygrała nad PiS! Nic dziwnego, że wkurzony Tusk zbrojotował demonstracyjnie przemówienie Bidena. Niech se nie myśli!

Najbardziej bolesna była argumentacja, którą miał usłyszeć

lobbujący za audiencją dla Tuska ambasador Brzezinski: Tusk „nie ma legitymacji demokratycznej”, nie pełni żadnej obieralnej funkcji, nie reprezentuje wyborców. Bolesna – bo to prawda. Przecież gdy Tusk wracał do Polski, oferowano mu udział w wyborach uzupełniających do Senatu, w łatwym dla PO okręgu, a potem obór na marszałka Senatu. W ten sposób Tusk miałby podstawy to występowania jako lider opozycji, a przy okazji trzecią osobą w państwie przestałby być pozbawiony politycznego rozumu kabotyn, stale sprawiający swej formacji kłopoty.

No, ale Tusk uznał, że byłoby to nazbyt dlań fatygujące. Parafrazując stare przysłowie: „Cierp, ciało, jak ci się nie chciało”. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Królewiec **odkryty na nowo**

Jedenaście lat temu, rok po katastrofie smoleńskiej, minister spraw zagranicznych w gabinecie Donalda Tuska przekonywał, że rozmieszczanie iskanderów pod Królewcem to o wiele mniej poważny problem dla Polski niż kryzys w strefie euro. Oczywiście sprawiedliwość każe również pamiętać, że Radek Sikorski za swego ministerium zakazał używania w oficjalnych dokumentach nazwy „Kalininograd”, by nie honorować jednego ze sprawców sowieckich zbrodni przeciw ludzkości. Z raketami miało to jednak luźny związek, a ówczesne deklaracje ministra świetnie ilustrują beztroskę pomieszaną z bezradnością, z którymi od lat podchodzi się do

– kluczowej dla bezpieczeństwa narodowego – sprawy koncentracji wojsk rosyjskich w regionie królewieckim. Przez lata demilitaryzacja tego regionu nie była żadnym tematem.

Jak wiadomo – wojna zmienia wszystko. Od pewnego czasu Królewiec na nowo odkryto. O potrzebie jego demilitaryzacji mówią teraz Andrzej Derlatka, były szef Agencji Wywiadu, i Paweł Kowal, wiceprzewodniczący sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, a gen. Skrzypczak, były dowódca Wojsk Lądowych, chciałby jeszcze radykalniej rozwiązać sprawę. Ale dziś to tylko emocje, we właściwym czasie, we właściwym dla sprawy porządku dyplomatycznym – problem nie istniał.

Mówię i piszę o tym od lat. W dniu inauguracji prezydentury Trumpa apelowałem, by postulat demilitaryzacji Królewca postawić niezwłocznie, by móc podnosić go potem w wypadku jakichkolwiek amerykańsko-rosyjskich rozmów o bezpieczeństwie Europy Środkowej i Wschodniej. Przed wybuchem obecnej wojny przypominałem, że kompleksowe rozmowy z Rosją nie mogą pomijać tej kwestii. Rozwiązać ją można tylko w ramach wielostronnych porozumień, ale aby to było możliwe – konieczne są nasza narodowa inicjatywa i stanowisko. Dobrze, że zaczynamy sobie to uświadamiać. Rzecz w tym, by o tym jeszcze pamiętać, gdy armaty ucichną. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZYK
Z RYZMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Tatiana i inni

Jeśli dobrze pamiętam, za komunizmu mówiło się w Polsce, że Sowietki Sojuz jest do bani, ale naród rosyjski – do rany przyłóż. Teraz krytycy Rosji i co ważniejsi politycy Zachodu na każdym kroku zastrzegają, że za napad na Ukrainę potępiają reżim Putina, a nie Rosjan.

Jak wówczas, tak i dziś trudno mi wykrzesać z siebie choćby cień sympatii dla narodu rosyjskiego, który dał się tak ogłupić, że wtedy wierzył w komunizm, a dziś w Putina. Oczywiście trudno wyobrazić sobie wiarygodny sondaż opinii w kraju zamordystów. Niemniej z szacunków rosyjskich przeciwników reżimu wynika, że co najmniej 60 proc. Rosjan kocha Putina i popiera napaść

na Ukrainę, bo święcie wierzy propagandzie, że to krucjata przeciw nazistom i wrogom Rosji, czyli Ameryce i NATO. Zazwyczaj towarzyszą temu tłumaczenia, że chodzi o ciemny w większości, niedoinformowany prowincjonalny lud.

Jak jednak wyczytałem w wywiadzie z reżyserem Janem Klatą, wśród rosyjskiej elity intelektualno-artystycznej można spotkać podobne opinie, a też przekonanie, że Polacy haniebnie zdradzili słowiańską solidarność i kumają się z dekadentem Zachodem. Generalnie jednak w tych kręgach ma panować totalna obojętność wobec bezceństw reżimu. Naturalnie biorąc pod uwagę, że Putin dysydentów zabija, truje lub więzi, na ogromny szacunek zasługują ci

nieliczni, którzy mają odwagę się sprzeciwić.

Wracając do „ludu rosyjskiego”, co sobotę na kilka godzin przychodzi do nas pomagać w pracach domowych Tatiana, Rosjanka pochodząca z okolic Odessy. Od 20 lat mieszka w Rzymie, świetnie mówi po włosku, ma męża Włocha. Jej pozostałej na Ukrainie rodzinie właśnie udało się przedostać do Niemiec. Kobieta posiada nieograniczony dostęp do rzetelnej informacji. Mimo to jest przekonana, że winę za tę wojnę ponosi NATO, Putin ma zawsze rację, a ukraiński prezydent i rząd to naziści.

Ten, kto pierwszy spostrzegł, że Rosja to nie państwo, a stan umysłu, był geniuszem. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



FOT. PAWEŁ GROMIDA

WAKACJE Z DZIEĆMI

Celebrytka Maja Bohosiewicz została zapytana przez swoje fanki na Instagramie o zagraniczne podróże z małymi dziećmi. Czy warto i czy ona poleca. Maja postanowiła odpowiedzieć szczerze. – Ja myślę, że na serio urlop to albo z ogarniętą babcią, albo po trzecim roku życia. Sorry, jeżeli kogoś zniechęcę, ale wolę prze-strzec, bo dla większości takie wakacje to nie wakacje – uważa Maja. – Ja jako osoba, której social media wmówiły, że mogę z małym dzieckiem wszystko, popełniłam ten błąd i latałam. Latałam na koniec świata, żeby wozic swój czajnik, tonę mleka i finalnie spędzić „urlop” w innej strefie czasowej i „uję.ąć się” za własne pieniądze, bujając dziecko w wózku po drogach zrobionych z piasku – dodaje. I żeby piękne, egzotyczne fotki na Insta mieć. Z dziećmi czy bez – głównie po to celebrytki jeżdżą na wakacje.

CO NIEZNOŚNEGO?

Jedni opowiadają o wakacyjnych podróżach, a inni – jak Monika Richardson – opowiadają o podróżach w głąb siebie. Tak, to element terapii, na którą była prezenterka TVP się udała, by dowiedzieć się, „co jest w niej takiego nieznośnego, że rozpadają się jej związki”. – Na psychoterapii próbuję dowiedzieć się, co takiego nieznośnego jest w moim sposobie bycia, że nie jestem w stanie zbudować trwałej relacji. Mam poczucie, że dotychczas za dużo dawałam siebie partnerowi, a za mało było miejsca dla niego samego. Uczę się też, jak nie ograniczać wolności drugiego człowieka. Mam swoją wizję miłości, związku i rodziny, która, jak się okazuje, nie dopuszcza wizji drugiej osoby – mówi wprost w wywiadzie dla „Twojego Imperium”.

– Odebrałam cenną życiową lekcję. Jestem silną i zdeterminowaną kobietą, która, jeśli się uprze, to postawi na swoim. Tylko po co? Nie da się zmusić drugiego człowieka do czegośkolwiek, a już na pewno nie do miłości.

Staram się wyciągać wnioski z moich poprzednich doświadczeń i pracować nad zmianą siebie – wyznała. Przez moment baliśmy się, że pracę nad sobą zacznie od porzucenia wywiadów i zniknięcia z mediów. Na szczęście zmiany okazały się nie aż tak drastyczne.

PIĘTA GATE

Plotkarskie media od wielu dni żyją sprawą pięty Sandry Kubickiej. Serio. Wszystko przez fotkę, którą zamieściła była modelka, dziś celebrytka, na której to widać jej sfatygowaną piętę. News o brzydkiej pięcie zaczął żyć swoim życiem, więc Kubicka postanowiła raz na zawsze wyjaśnić sprawę i dać odpór hejterom. – Miałam 13 lat, gdy zaczynałam moją przygodę z modelingiem. Zaczęłam pracować dwa tygodnie po podpisaniu kontraktu z moją agencją. Zrobiłam tysiące sesji zdjęciowych, jak nie dziesiątki tysięcy... Gdy powiedzieli mi, że mam ubrać tę sukienkę i te szpilki, bałam się i wstydziłam powiedzieć, że buty są za małe. Miałam 14,



FOT. JERZY OUBEK/ODINVEST NEWS

15 lat wtedy. Sesje trwały po 8–10 godzin. W różnych szpilkach. Takich sesji miałam x ilość. Nie do zliczenia – tłumaczy stan swoich pięt. Na szczęście później było już łatwiej, bo Sandra miała mocniejszą pozycję i więcej odwagi, by sama decydować, co będzie robić, a czego nie. I swoje pięty chronić. O piętach Sandry będą kiedyś powstawać filmy i wiersze. Zobaczycie.

MAŁPA I BRYLANT

W czasie, gdy Sandra walczy o godność swoich pięt, inna celebrytka – Julia Wieniawa – przeżywa dramatyczne chwile z powodu pewnej małpy. Po kolei. Otóż Wieniawa beztrudno wypoczywa sobie na Bali, relacjonując na bieżąco wszystko, co się u niej dzieje. Pewnego dnia udała się popatrzeć na małpy. Jedna z nich ukradła Julce kolczyk. I to taki z perłą! Co zrobiła w tej dramatycznej sytuacji Julka? Relację na Instagramie, w której zareklamowała zjedzoną przez małpę biżuterię! – Widzicie? Nawet małpy je lubią... Znalazłam swój kolczyk, ale perła jest oczywiście w buzi – emocjonowała się Julka. Małpa z perłą przebiła chyba piętę Sandry w rankingu na najlepszego newsa mijającego tygodnia. Gratulujemy! ©©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, pis właśnie wymyślił, iż obniży podatek dochodowy do 12 proc. Zawsze powtarzaliśmy, iż jest to partia szerząca neoliberalizm pod płaszczykiem rozdawnictwa społecznego (bo porządną redystrybucją tego się nazwać nie da).

Jeśli tak dalej pójdzie, to będą gotowi obniżyć te podatki najpierw do 0 proc., ciekawe, jak księgowi sobie poradzą z liczeniem tego, nas chyba uczyli w szkole, że przez zero się nie mnoży, ale my jesteśmy stara matura. A potem kolejny krok to już tylko podatek ujemny i tutaj dochodzimy do pewnego niepokojącego nas paradoksu, którego nie umiemy sobie wytłumaczyć.

No bo skoro niskie podatki to neoliberalizm, a podatki ujemne, czyli takie, w których państwo jest opiekuncze i daje osobom pieniądze, występują w państwie opiekuńczym, a więc socjalnie przyjaznym, to jak zaklasyfikować porządne wysokie podatki, z których potem powstają te wszystkie autostrady i stadiony?

Przez te wszystkie rozkminy coraz bliżsi jesteśmy poparcia opcji zero, a więc stawka podatku to omawiany wcześniej 0 proc. i wtedy wszyscy mają świecki spokój. Tylko skąd się wtedy wezmą ulice, chodniki i przedszkola? Sami nie wiemy, jak to rozumieć :{

Ze zdziwieniem odnotowaliśmy fakt, iż reprezentacja piłkarska tego kraju najpierw zawłaszczyła sobie Stadion Śląski, a następnie awansowała

na nim do mistrzostw świata w piłce nożnej, które się odbędą w tym roku u postępowych katarskich szejków.

W dodatku w decydującym barażowym meczu pokonała reprezentację Szwecji, ewidentnie szukając okazji do zemsty za



średniowieczny konflikt zbrojny, o którym jeden z wieszczów napisał, że to potop. To straszne i smutne zarazem, że okazji do zemsty za jakieś eventy sprzed tysiąca lat szukamy nawet przy okazji sportowej rywalizacji.

A jako iż jesteśmy z natury ciekawi świata, to poszperaliśmy trochę w necie i natknęliśmy się na info, iż w czasie tej średniowiecznej awantury Szwedzi coś tam sobie zabrali z tego kraju na pamiątkę, jakieś zbroje, książki, parę obrazów.

I wyobraźcie sobie, iż niektórzy Polacy im to do tej pory wytykają. Wstyd, nie? Jakby w tym kraju mało

było zbroi, książek i obrazów. A zresztą po co tu komu książki i obrazy? Ani się u nas książek nie czyta, a jak obraz, to albo jakiś rycerz na osobokoni, albo kwiaty wazonie, ewentualnie goła waginoosoba. I to jest sztuka, jaką przeciętny Janusz jest w stanie w miarę gdzieś tam ogarnąć.

Padliśmy ofiarą trollingu nienawiści w miejscu pracy, wyobraźcie sobie. Otóż w piątek Nowy z Tarnowa przyszedł do naszego korpo z tęczową torbą na ramieniu, w rejbanych zerówkach, z kubkiem frappuccino w ręce. Poprosił też, żeby go dzisiaj nie misgenderować, a na koniec zaproponował wspólne wyjście na kraciki i wegeburgera.

Już się ucieszyliśmy, iż po wielu latach mamy do czynienia ze świeckim nawróceniem na progresywne wartości. Jednak w czasie, gdy przeszukiwaliśmy Internet w poszukiwaniu miejsca, gdzie leją jakąś New England Hazy Pastry Imperial Goose Sour Watermelon Cucumber IPA, Nowy zaniósł się gromkim śmiechem, powiedział, że chyba zdurnieliśmy, myśląc, że on to będzie pił, i wlepił nam wszystkim kary regulaminowe za przeglądanie Internetu w miejscu pracy.

Teraz wszyscy musimy iść na rekolekcje wielkopostne. Tak się kończy prima aprilis w naszym korpo. ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Derusyfikacja z młotkiem

Jacek, a ty z tym młotkiem dokąd?

A, cześć, Michał. Nie mam czasu za bardzo, muszę w łazience u siebie w domu demolkę zrobić.

Tym młotkiem? Porąbało cię?

No gdzie tam. Oj, ty nie w temacie jesteś, a lepiej się zorientuj, bo będziesz miał problem. Derusyfikacja jest, co nie?

No... niby jest.

No właśnie. A Cersanit ciągle u Ruskich sprzedaje. Więc wziąłem młotek i będę rozwaliał u siebie, bo akurat mam w łazience wszystko od nich. Ładnie to nagram, ekipę już zamówiłem z kamerą, i wrzucę do Internetów. A potem jestem umówiony z Ry-szardem, że niby mimochodem

powie o tym Naczelnikowi, Fogiel mu pokaże i – rozumiesz – od razu mam fory.

A łazienka?

A nie, tam to już mam wszystko nowe zamówione. I tak miałem remontować.

Phi, to słabe jest. Ja u siebie w domu odłączam gaz. I osobiście zaspawam rurę!

Mocne, mocne. Tylko weź najpierw zawór zakręć. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Nie udało się wciągnąć NATO w III wojnę światową, więc Kaczyński serwuje swoje danie firmowe – wojnę domową”.

JANUSZ LEWANDOWSKI, europoseł Koalicji Obywatelskiej, na Twitterze

Wiele złych słów płynie ostatnio pod adresem naszego bratanka Orbanka. Że koń trojański Putina i tak dalej. Ujawniamy więc, bo sprawdziliśmy. Otóż problem UE to nie Węgry, tylko Niemcy. Orbán zgodził się, że przystąpi do wszystkich – podkreślamy – sankcji wprowadzanych przez Niemcy. A Berlin, widzicie, jakiś taki mało zdecydowany.

W kwestii zamrożenia spotkań Gruby Wyszehradzkiej też mamy info ze źródła u źródła. Otóż to wcale nie samowolka ministra obrony Czech albo naszego Błaszczaka była tu decydująca. Zamrożenie zostało przeprowadzone wskutek rozmowy premiera Mateusza z bratankiem Orbánkiem. Ale – jak wiadomo – to, co zamrożone, łatwo można odmrozić.

Wciąż znajdują się też zli ludzie, którzy próbują wieszać psy na wyprawie Fantastycznej Czwórki do Kijowa. Że niby samowola i PR premierów z Polski, Czech i ze Słowenii. Cóż, też sprawdziliśmy. Skonsultowano wyprawę ze wszystkimi świętymi w Brukseli (czyli nieświętymi). Ale dla bezpieczeństwa wszelkie informacje z tym związane podawano z półtoragodzinnym opóźnieniem.

Z Brukselą, widzicie, zwłaszcza z europarlamentem, jest bowiem pewien problem w kwestii zaufania. To też sprawdzaliśmy osobiście. Każdego ranka pojawia się w gmachu PE całkiem spora liczba rozmaitych obywateli (a zwłaszcza obywateli) rosyjskich, akredytowanych przy różnych ciałach. O tym, że to szpiony, wiedzą nawet sprzątaczkę. I wiecie co? Wojna wojną, a ta ciekawsza gromadka dalej jest akredytowana i sobie wchodzi.

Wszyscy już wiedzą, że Koalicja Obywatelska to teraz Grażdanska Koalicja. Ale nie wszyscy rozumieją, jak bardzo jest obrotowa. Mamy więc Pawła Poncyłjusza wzywającego do inwazji na Kaliningrad oraz marszałkissimusa Grodzkiego, który chce bez NATO dać Ukraińcom samoloty i ciężką broń. A to podobno prawica w Polsce specjalizuje się w machaniu szabelką.

Jeśli chodzi o samoloty, to jesteśmy za jednym dla Grodzkiego. Niech leci gdzieś do jakiegoś kraju, który nie ma

z Polską umowy o ekstradycji. O ile lepsza od razu stałaby się polska polityka. No dobra – tylko trochę lepsza.

Bardzo ciekawia nas też losy obietnicy, którą złożył Zły Donald z Sopotu ukraińskim uchodźcom – że będzie robił, co może, żeby ustanowić no-fly zone nad Ukrainą. Widzicie, ludzie z Ukrainy są w naszym kraju nowi i nie wiedzą jeszcze, że nikt ci nie da tyle, ile Donald obieca. I że może akurat tyle, co martwa mrówka.

Bardzo podoba nam się inicjatywa czerwonych braci z Nowej Lewicy, którzy chcą zakazania w Polsce używania Putinowskiego znaku „Z”. Czy przy okazji nie można by tym zakazem objąć logo Radia Zet? Byłoby z tego



dwaj panowie g

wiele korzyści. Gdyby janczarzy Eine Totalopposition vel Grażdanskiej Koalicji musieli zmienić nazwę na Radio A (od anty-PiS), to wprowadziłoby to wiele przejrzystości na rynku medialnym.

Zrządu. Wakują wciąż dwa stanowiska. Jedno to najgorętszy stołek w Polsce – resort finansów po Tadeuszu Kościńskim. Drugie to pusty stołek po Piotrze Nowaku. Na pierwsze nie ma zbyt wielu chętnych. Co nas nie dziwi. Drugie będzie obsadzone prawdopodob-

nie przez Justynę Orłowską. Tak mówią wiewiórki. Już o niej pisaliśmy w naszej rubryce, gdy miała się zająć w rządzie cyfryzacją. I już wtedy jej żalowaliśmy, że zbyt ładna i mądra, by iść do rządu. Podtrzymujemy tę opinię.

Wracamy do pobytu wujka Joe w Polsce. Najfajniejszym zdjęciem z wizyty było to z brechtającymi się prezydentami i ich współpracownikami. Też sprawdziliśmy, o co chodziło. Otóż Joe Biden ujawnił swoim polskim friendom z Andrzejem Sebastianem na czele, dlaczego przed laty miał ksywkę „Bidenski”. I wcale nie chodziło o to, że od dawna darzył sympatią Polaków.

No dobra, ujawniamy. Wujek Joe właśnie dzięki Polakom wszedł do polityki. A konkretnie do Senatu USA, jako jeden z najmłodszych w dziejach. Był rok 1973, miejsce akcji – stan Delaware. Biden niespodziewanie pokonał muirowanego faworyta republikanów. Po analizie wyników okazało się, że jego przewaga wyniosła zaledwie 300 głosów. I to w dzielnicy, gdzie akurat przypadkiem większość nazwisk w spisach wyborczych kończyła się na „-ski”. W Warszawie zaproponowano więc, by spolonizować mu także imię. Józek Bidenski? To brzmi godnie. Jak na Jackowie.

Dobro to jedyna rzecz, która się mnoży, kiedy je dzielić – przypominamy te słowa w związku z działalnością legendy polskiego żużla, Tomasza Golloba. Niedawno mistrz sam potrzebował wsparcia po koszmarnym wypadku i paraliżu. Dzisiaj Gollob, wciąż na wózku, pomaga innym. I to jak! Wpłacił aż 3 mln ziko kaucji, by jego przyjaciel Grzegorz Ś. wyszedł na wolność. Grzegorz Ś. to zaś nie byle kto. To gość podejrzwany o to, że okradł samego śp. Aleksandra Gudzwatego i jego spadkobierców.

Może wytłumaczmy, kim jest Grzegorz Ś. To wręcz archetypiczny biały kołnierzyk. Do aresztu trafił nie za rozboje, lecz za naprawę duże rzeczy. Wśród najłagodniejszych zarzutów jest skrojenie Gudzwatego pióra wiecznego. Niby niska szkodliwość, wiemy. Ale owo pióro kosztowało, bagatela, milion euro. Pozostałe zarzuty są grubsze. Stąd trzy bańki kaucji. W złotych. Czyli mniej niż to pióro. ©©

Polska awansowała do mistrzostw świata

Po tym, jak kadra wyraźnie nie radziła sobie w grze, trafiła do baraży i opuściła ją mający być nadzieją i zbawieniem trener z Portugalii – Paulo Sousa, niewielu miało jeszcze nadzieję, że nasi piłkarze wyjadą na mistrzostwa świata do Kataru.

Tym razem jednak sportowy los nam sprzyjał. Rosjanie, z którymi mieliśmy się mierzyć, za agresję na Ukrainę zostali wyeliminowani z rozgrywek i polska drużyna walkowerem trafiła od razu do finałów baraży.

Nadal nadzieje nie były wielkie, bo futboliści musieli zmierzyć się z drużyną Szwecji. W ubiegłym tygodniu nasi sportowcy – pod wodzą nowego selekcjonera Czesława Michniewicza – wyszli jednak na murawę bez kompleksów i głodni sukcesu. Pokonali Szwedów w ładnym stylu 2:0. Najpierw rzut karny sprawnie wyegzekwował nasz kapitan Robert Lewandowski, a potem kiks obrońcy Szwedów zamienił na bramkę Piotr Zieliński.



FOT. ŁUKASZ KALINOWSKI/EPAST NEWS

Zwycięstwem nad Szwedami Polacy zapewnili sobie wyjazd na mistrzostwa świata, które rozpoczną się w Katarze 21 listopada.

Do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy” nie wiadomo było jeszcze,

jaką grupę na mundialu wylosowała nasza reprezentacja. Polska losowana będzie z drużynami z trzeciego koszyka, wśród których są: Senegal, Iran, Japonia, Maroko, Serbia, Polska, Korea Południowa, Tunezja. ©©

Łukasz Zboralski

REKLAMA



UWAGA NA OSZUSTWA

WIELE OSÓB PODSZYWA SIĘ POD ORLEN



Uważaj na fałszywe ogłoszenia w mediach społecznościowych, na licznych stronach internetowych i w e-mailach:

- o rzekomych **bardzo wysokich i pewnych zyskach**
- zachęcających do **inwestowania w akcje** oraz projekty inwestycyjne PKN ORLEN, które wymyślają oszuści



UWAŻAJ! W trakcie wojny w Ukrainie nasila się dezinformacja w sieci.

Mówmy o problemie Rosji, a nie o wojnie z Rosją

FOT. KREMLIN.RU

Redaktor naczelny „Do Rzeczy” zaprosił mnie do próby odpowiedzi na pytanie: „Czy wojna z Rosją jest nieuchronna?”. Mam nadzieję, że

Paweł Lisicki wybaczy mi, że podejść do tematu nieco inaczej. Negowanie zagrożenia ze strony Moskwy jest w świetle tego, co się dzieje na Ukrainie, oczywistym absurdem. Ale z drugiej strony teza, że nie da się uniknąć starcia z „Moskalami”, wywołuje zazwyczaj fatalne emocje. Zbyt wiele się naoglądałem neurotycznych komentarzy w sieci w ciągu ostatniego miesiąca wojny na Ukrainie, by nie zauważyć, że całkiem spora liczba Polaków jest wręcz sparaliżowana wizją ataku jądrowego ze wschodu. Dlatego wolę w tym tekście zająć się kwestią problemu z Rosją. Takie postawienie sprawy każe nam się zastanowić, dlaczego Rosja może kojarzyć się z agresją, ale jednocześnie pozwala podjąć analizę, jak takiego starcia uniknąć.

W jakimś sensie wracamy do drugiej połowy lat 30. XX w., kiedy Polska po 15 latach niepodległego bytu zaczęła żyć ze świadomością groźby wojny. Co ciekawe, bardzo wiele reakcji rozmaitych europejskich krajów jest dziś niezwykle podobnych do tych sprzed 85 lat.

ZMARNOWANE LATA

24 lutego, w dniu rozpoczęcia „specjalnej operacji wojskowej” armii rosyjskiej przeciw Ukrainie, zakończyła się epoka 30 lat, w ciągu których wierzono w możliwość budowy demokratycznej Rosji. Państwa zasadniczo innego od Związku Sowieckiego. Niektórzy mogą wskazać na wcześniejsze daty zakończenia tej epoki złudzeń. Jedni wskażą na rozpoczęcie rządów Putina



Piotr Semka

Silna Ukraina jest gwarantem bezpiecznej Polski. Ochrona Kijowa przed jakąś formą traktatowej kastracji w dziedzinie potencjału obronności jest dzisiaj najlepszą drogą do uchronienia Polski przed groźbą wojny z państwem rosyjskim

w 2000 r., inni na pacyfikację Czeczenii, która przecież nie różniła się wiele od obecnej wojny na Ukrainie, a jeszcze inni wskażą odpowiednio na atak na Gruzję w 2008 r., interwencję Rosji w Syrii czy zabór Krymu i części Donbasu w 2014 r.

Dziś już skala rosyjskiego szowinizmu i brutalności na Ukrainie jest taka, że nikt na razie nie ośmiela się zaprzeczać brutalnym faktom. Kolejna po krótkim okresie rządu tymczasowego w 1917 r. próba budowy rosyjskiej demokracji w zachodnim rozumieniu tego słowa poniosła klęskę. Można z tego wyciągnąć wniosek, że w wypadku państw totalitarnych pozytywna reedukacja narodów, które ulegają dyktaturze, możliwa jest tylko w wypadku okupacji zaczadzonego totalitaryzmem kraju na odpowiednio długi czas, by ruszyły mechanizmy demokratyczne.

W wypadku Rosji elity KGB-owskie nie zostały ani zweryfikowane, ani odsunięte od władzy, więc nic dziwnego, że po pewnym czasie wróciły do wpływów. Po prostu w latach 90., w epoce rządów Borysa Jelcyna, długo nie wyłaniał się ktoś „z resortu”, kto przeprowadziłby bezpieczny powrót do władzy. Gdy taki ktoś w postaci Putina się pojawił, zadziałały dawne mechanizmy

strachu i KGB-owiec znów zaczął rządzić Rosją.

Prawa strona polskiej sceny politycznej przestrzegała przed takim rozwojem wydarzeń, a obóz liberalny aż do 2014 r. wierzył, że powrót Rosji do wzorców ze Związku Sowieckiego nie jest przesadzony. To jednak okazało się mrzonką. Brzmi to jak banał z rozmaitych salonów politycznych, ale faktem jest, że bez przejęcia władzy przez PiS w 2015 r. Polska w znacznie mniejszym stopniu gotowa by była do obecnych wyzwań. Hipotetyczni ministrowie z Platformy Obywatelskiej wahałoby się przed zatrzymaniem fali emigrantów z Białorusi, a szefowie resortu obrony snuliby latami rozważania o stworzeniu europejskiej siły obronnej.

Ale najważniejszy „cud”, którego jesteśmy świadkami, to odrodzenie się woli oporu wobec Rosji administracji Joe Bidena. Modne jest dzisiaj głoszenie przez publicystów „Gazety Wyborczej” tezy, że gdyby jakimś cudem kadencję przedłużył sobie w 2016 r. Donald Trump, to Zachód dzisiaj byłby bezbronny wobec Rosji. Moim zdaniem byłoby dokładnie na odwrót. Gdyby w Białym Domu zasiadał znany żółtowskimi biznesmen, Putin nie zdecydowałby

się na agresję wobec Ukrainy. To ustepliwa polityka Bidena z pierwszego okresu jego prezydentury – kiedy odbywały się spotkania z rosyjskim przywódcą, np. w Genewie – przekonała władcę Kremla do tego, że demokratyczny prezydent to „sleepy bear”. Nie wiemy, czy do zdecydowanej odpowiedzi na rosyjską agresję na Ukrainie zmusił Bidena Pentagon czy też Departament Stanu. Ameryka wykazała jednak instynkt lidera. Możemy tylko zazdrościć jankesom siły tego instynktu państwowego, który każe zmieniać front wobec oczywistych złych zamiarów Rosji.

To, czy doświadczymy na własnej skórze agresji Putina czy nie, zależy oczywiście od rozwoju wydarzeń. Jeśli Putin szybko zawrze jakieś porozumienie ratujące jego twarz, to unikniemy wchodzenia w coraz głębszą spiralę konfliktu. Ale problem zostanie, bo zaprawiony w agresji przywódca pozostanie na carskim tronie i może wykorzystać „pieriedyszkę” do szykowania kolejnej agresji wobec swoich sąsiadów.

Dlatego nie ma innego wyjścia z tej sytuacji, jak tylko rozbudowywać nasze siły zbrojne i umacniać sojusz militarny z USA. Nie odrzucać wprost idei zbudowania europejskich sił obronnych, ale mieć świadomość, że wojska takie będą sparaliżowane faktem, że tworzy je aż 27 państw. A biorąc pod uwagę wciąż aktualną dominację Francji i Niemiec nad Unią, można dojść do wniosku, że narzucane przez Paryż i Berlin zasady używania takich wojsk nie muszą być analogiczne do naszego pojmowania racji stanu.

Oczywiście są też pewne czynniki budzące optymizm. Z pewnością przesadą są twierdzenia, że po niepowodzeniach na Ukrainie armia rosyjska jest zneutralizowana na 15 lat, ale faktem jest jej znaczne wykrwawienie. Kolejny czynnik optymizmu to postawa Chin, które nie zdecydowały się na jawne popieranie Rosji w tym konflikcie. Co więcej, można podejrzewać, że brutalność Putina musiała w Pekinie wywołać poczucie zaniepokojenia. Tego samego typu obawy jak w wypadku szaleńca, który może wplątać Państwo Środka w poważne kłopoty. To czynniki ważne. Przy okazji zdajmy sobie sprawę z tego, że przebieg wojny na Ukrainie unieważnił ileś dogmatów, które dotychczas dominowały w świecie analityków wojskowych. Okazało się, że masowa broń przeciwlotnicza i przeciwpancerna może łatwo niszczyć nieporównanie droższe helikoptery, samoloty i czołgi. Już nie jest jedynie przypuszczeniem to, że rosyjska

armia lepiej wypada na paradach na placu Czerwonym niż w starciu nawet ze średnio wyszkolonymi cywilami miotającymi koktajlami Mołotowa.

„OCZYŚCIĆ DOM, DZIECI!”

Te słowa ks. Robaka z „Pana Tadeusza” oznaczają dziś tyle, że musimy z wojny ukraińskiej wyciągnąć jak najwięcej wniosków. Pierwszy to umasowienie oporu i zapamiętanie, że koncepcja wojsk obrony terytorialnej była bardzo dobrym pomysłem ministra Antoniego Macierewicza. Po drugie, naszym postulatem powinno być tworzenie stałych baz armii amerykańskiej od Krynicy Morskiej do Ustrzyk Dolnych. Wykorzystajmy szok wywołany rosyjską agresją do stawiania tego postulatu we wszystkich rozmowach z Waszyngtonem. To samo dotyczy musi atomowego parasola nad polskim niebem. O konieczności uzyskania od Amerykanów sprzętu kolejnych generacji nawet nie trzeba już pisać.

Ale nie łudźmy się też, że nie mamy wewnętrznych problemów. Wojna polsko-polska leciutko przybladła wobec grozy obrazków z Mariupola czy Charkowa, ale nie znikła. Skandaliczne wystąpienie marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego jest najlepszym przykładem zaciętrzewienia prowadzącego do oskarżania polityki rządu nawet w sytuacji głębokiego zagrożenia. Trudno też o optymizm, gdy czyta się komentarzy „Gazety Wyborczej” znów oburzających się na zatrzymywanie przez polską straż graniczną nielegalnych imigrantów z Białorusi przekraczających naszą granicę ze złamaniem prawa.

Na łamach dziennika z Czerskiej przeczytać można, że „jedną z naszej motywacji gigantycznej pomocy Ukrainie jest palący wyrzut sumienia. Że to moralna rekompensata za to, że pozwoliliśmy na tragedię Afgańczyków trzymanych dosłownie pod łufami w Usnazaru Górnym”. To kolejny smutny dowód na to, że zaciętrzewienia ideologicznego naszej lewicy nie zmieni nic. Nawet świadomość, że moglibyśmy mieć nieporównywalnie więcej kłopotów, gdyby wojna na Ukrainie zastała nas w stanie faktycznie niekontrolowanego przemarszu wielkich mas uciekinierów z Afganistanu, Iraku czy Syrii.

Ale w przygotowywaniu się do umocnienia naszego bezpieczeństwa nie będzie pomagał też dziwaczny pacyfizm, jaki pulsuje gdzieś w obrębie prawej strony polskiej opinii publicznej. Jego próbkę znalazłem w tekście jednego z komentarzy z Internetu. Chciałbym go zacytować, aby

pokazać ten specyficzny styl. „Ja chcę żyć w wolnej, niepodległej Polsce, w której nie zgadzam się na wypychanie Polski w wojnę z Rosją. [...] Musimy zadbać o pokój. Mamy obowiązek dbać o bezpieczeństwo naszych dzieci lub możemy wejść w bezpośredni konflikt z Rosją. Proponuję nawoływać wszystkich do pisania o zawarciu jak najszybszego pokoju. To słowo chciałbym usłyszeć z ust polityków”.

W cytowanej wypowiedzi pewnego internauty jest dziwaczne pomieszenie słusznego postulatu troski o pokój z nieprzypadkowym, jak się zdaje, unikaniem refleksji na temat wzmacniania naszej siły obronnej. I nieco pobrzmiewającej retoryką papieża Franciszka wiarą, że dążenie do pokoju może być dziełem tylko jednej strony przy pomijaniu gotowości do przeciwstawienia się siłą tym, którzy na żaden pokój nie mają ochoty. W takiej retoryce każde myślenie o tym, jak pomagać zaatakowanym, łatwo może być etykietowane jako buńczuczny „szabelkizm”.

Tu dochodzimy do kwestii skali zaangażowania Polski w konflikt na Ukrainie. Jeżeli obawiamy się wojny z Rosją, to powinniśmy chuchać i dmuchać, aby Ukraina nie pozostała rozbrojonym i przymuszanym międzynarodowymi traktatami do skrajnie pojętej neutralności państwem. Bo Ukrainie może to przetrząść kręgosłup godności narodowej, a rosyjskiemu agresorowi nie przeszkodzi w kolejnym napadzie, gdy tylko odzyska siły.

Dlatego silna Ukraina jest gwarantem bezpiecznej Polski. Byłoby gorzkim chichotem historii, gdyby Ukraińcy za swój uparty opór zbrojny w ciągu ostatnich tygodni zapłacili jakąś formą traktatowej kastracji w dziedzinie swojego potencjału obronności. I ochrona Kijowa przed takim scenariuszem jest dzisiaj najlepszą drogą do uchronienia Polski przed groźbą wojny z państwem rosyjskim. Bo jeśli nawet zawarty zostanie pokój, ale na Kremlu zostanie ekipa Putina lub jego następcy, to przetrwa duch putinizmu, który jest zagrożeniem dla bezpieczeństwa kontynentu.

To dlatego hasło Joe Bidena „Putin musi odejść” było tak istotne. Z jednym dodatkiem. Nie tylko Putin musi odejść, lecz także sposób myślenia elit rosyjskich o stosunku do Europy, tzw. krajów bliskiej zagranicy i – szerzej – całego Zachodu. Inaczej groźba kolejnej wojny będzie wisieć nad nami przez kolejne lata. Nie brzmi to optymistycznie, ale nic na to nie poradzę. Czasami trzeba umieć żyć w niebezpiecznych czasach.

– Proszę Was, nie przyzwyczajajcie się do wojny – apelowała niedawno pierwsza dama Olga Zełenska. Na zdjęciu z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim tuż przed wybuchem wojny podczas uroczystości oddającej hołd bohaterom Niebiańskiej Sotni w Kijowie

FOT. PRESIDENT.GOV.UA

Reakcja i groźby

Po kilku turach rozmów ukraińsko-rosyjskich zarysowały się warunki, które mogłyby w obecnym stanie rzeczy zakończyć tę wojnę. Prezydent Zełenski streszcza je w formule „suwerenność i integralność” – terytorialna oczywiście. Wojna jednak ciągle trwa, Rosja traktuje czas i niszczenie Ukrainy jako element presji, ale negocjacje równolegle się toczą i będą nabierać tym większej wagi, im bardziej przełom w wojnie będzie się oddalał. Warunki te wyglądają mniej więcej tak jak kompromis, wokół którego można było próbować wojny uniknąć.

Zachęcając do uwzględnienia faktu, że Ukraina jest skazana na samotny opór, że reakcji militarnej Stanów Zjednoczonych nie będzie (o czym, owszem, wiadano, ale czego nie brano pod uwagę), dwa miesiące przed wybuchem wojny – a więc w sytuacji korzystniejszej dla Ukrainy niż dziś – pisałem:

„Do Ukrainy należy sprawa oceny, czy przynależność do NATO jest dla nich wartością nienegocjowalną. Przynajmniej jednak dwie sprawy (zasadnicze dla ich interesów narodowych) mogłyby Ukraińcy przedstawić jako warunki



Marek Jurek

Z reguły trudno stwierdzić, czy można było uniknąć spełnienia się „samospełniającej się przepowiedni”. Natomiast zawsze można „samospełniającą się przepowiednię” rozpoznać po tym, że ci, którzy ją głoszą, nigdy nie próbują zapobiec jej ziszczeniu. Trzeba o tym pamiętać, skoro wojna dramatycznie pogorszyła geopolityczną, społeczną i ekonomiczną sytuację Polski

rozważenia perspektywy rosyjskiej i szukania innych form stabilizacji swojej niepodległości. Po pierwsze – status Krymu, po drugie – Zagłębia Donieckiego. [...] Międzynarodowe negocjacje mogą bowiem status Krymu wzruszyć. Możliwa zmiana oznacza zagwarantowanie – pod co najmniej długoterminową, jeśli nie stałą, kontrolą międzynarodową – demokratycznego charakteru organizmów politycznych na Krymie (przy poszanowaniu praw narodowych Rosjan, Ukraińców i Tatarów) i w Zagłębiu Donieckim. Taka międzynarodowa kontrola mogłaby zakończyć zbrojne starcia w Donbasie,

usunąć najgorsze następstwa okupacji Krymu i zmniejszyć wywołane nią napięcia. Oczywiście rozwiązania takie można byłoby opatrzyć klauzulami dodatkowymi, dotyczącymi ograniczenia rosyjskiej obecności militarnej na Krymie i ewentualnością przyszłego referendum. Dobrym modelem takiego kondominium (również zakładającego możliwość »transferu suwerenności« w drodze przyszłego głosowania) jest status Irlandii Północnej po porozumieniach wielkopiątkowych”.

Przypominam to stanowisko, bo jest bardzo bliskie tonacji prowadzonych w Turcji rozmów ukraińsko-rosyjskich.

Oczywiście pozycje ukraińskie były silniejsze przed rosyjskim najazdem niż dzisiaj, ale wojna ciąży również Rosji i na tym polega szansa pokoju. Tym bardziej więc należało na podstawie podobnych założeń próbować zapobiec wojnie, zanim wybuchła. Zamiast tego jednak obiecywaaliśmy Ukraińcom przyjęcie do NATO, czyli praktycznie, biorąc pod uwagę art. 10 traktatu waszyngtońskiego – sugerowaliśmy (a do tej pory nie wiadomo, na podstawie jakich przesłanek czy mandatów), że sojusz z Ukrainą zawrzą i ratyfikować będą chcieli Niemcy, Włochy, Hiszpania, no i oczywiście – Niderlandy!

PRZESŁANKI ROZSZERZENIA WOJNY

W jakich sytuacjach może nastąpić rozszerzenie wojny na Polskę? Po pierwsze, gdyby wybuchł globalny konflikt, który ograniczyłby amerykańskie możliwości działań w Europie. To natychmiast stworzyłoby Rosji koniunkturę do kolejnych agresji. Na szczęście symptomów takiego zagrożenia w tej chwili nie widać. Chiny udzielają Moskwie ograniczonego wsparcia ekonomicznego, wspierają ją dyplomatycznie, ale ani nie podejmują żadnych agresywnych działań w Azji Wschodniej, ani nie zachęcają Rosji do eskalacji konfliktu w Europie. Iran wręcz korzysta z okazji, żeby zastępując Rosję jako eksporter ropy, wyjąć z międzynarodowej izolacji. Ta sytuacja może się zmienić, stale musimy patrzeć na wschód, ale na szczęście oznak globalnej destabilizacji w tej chwili nie widać.

Jest oczywiście i drugie, permanentne zagrożenie, wiążące się z rosyjską oceną zdolności reakcji Zachodu. To zawsze rozważana przez Rosję próba demontażu przymierza atlantyckiego poprzez punktową agresję, wykazującą niezdolność NATO do wystarczającej reakcji w obrocie swoich państw. Miejsca szczególnie podatne na taką prowokację to mieszane etnicznie pogranicza Łotwy i Estonii, teoretycznie również – północno-wschodnia Polska. Dopóki nie ma bezpośredniej dywersji na naszym Podlasiu – dopóty nie ma jeszcze oznak aktualizacji tego niebezpieczeństwa. Słyszymy jednak sygnały gorsze.

BIDEN W WARSZAWIE: BOMBY NIE BYŁO

Rosja coraz częściej grozi Polsce atakiem nuklearnym. Ogólnie, jak w enigmatycznej wypowiedzi Dmitrija Pieskowa

w CNN o reakcji na „egzystencjalne zagrożenie”, albo konkretnie, jak w wygłoszonej przez urzędowego komentatora, Siergieja Michejewa, groźbie zburzenia Warszawy w pół minuty. Te werbalne napaści – niezależnie od makabrycznego charakteru – mają oczywistą polityczną funkcję. Banalizując język zbrodni – sondując reakcje państw, opinii międzynarodowej i własnego społeczeństwa. Tym bardziej Polska nie może wobec tych groźb pozostać głucha i musimy żądać od sojuszników odpowiedniej reakcji.

Niespełniona dla niej okazją było warszawskie przemówienie prezydenta Bidena. To tam powinny być paść słowa, że Stany Zjednoczone odpowiedzą atakiem nuklearnym na każdy atomowy atak na „jakiegokolwiek państwo” NATO, że reakcja ta będzie nieuchronna i proporcjonalna, więc o tyle większa od rosyjskiej – o ile większa ludnościowo jest Rosja od zaatakowanego państwa.

Ktoś może uznać te oczekiwania za drastyczne, ale przecież chodzi o niezbędną odpowiedź na groźby przekraczające wszelki wyobrażalny poziom konfrontacji. Zapowiedź nuklearnego ataku odwetowego to w tym wypadku jedyna skuteczna przestroga, jeśli ma pozostać tylko przestroga (bo przecież chodzi o to, by nie doszło do sytuacji, w której musi być spełniona). O wiele bardziej drastyczne byłoby milczące oczekiwanie, że Amerykanie odpowiedzą nuklearnie na atak na Polskę. Oczekiwanie takie zakłada przecież, że ten atak może nastąpić, tymczasem chodzi o to, by właśnie konieczności reakcji zapobiec. Dlatego otwarta, publiczna, wiążąca deklaracja to konieczny test determinacji naszych sprzymierzeńców. Tu nie ma miejsca na unikanie stawiania Amerykanów w niezręcznej sytuacji. Polska musi wiedzieć, w jakich warunkach się znajdujemy i czego się możemy spodziewać. Niestety, w przemówieniu Joe Bidena odpowiedzi na to nie było. A postulat pozostaje aktualny i nie zastąpią go ogólne stwierdzenia o „obronie każdego centymetra terytorium”, bo przecież chodzi o coś jeszcze więcej niż konwencjonalna agresja.

ARMAGEDON SIĘ ZACZĄŁ

Tymczasem choć w przemówieniu Bidena zabrakło jasnej reakcji na nuklearne groźby wobec naszego kraju – to nie zabrakło dających do myślenia innych radykalnych wątków. Ewangelicznym

wzwaniem „Nie lękajcie się!” Biden wzmocnił apel, by przygotować się na „długą walkę, która nas czeka”, której „nie da się wygrać w ciągu kilku dni czy miesięcy”, która będzie trwać „przez kolejne lata i dziesięciolecia”, bo – choć dziś Zachód przeżywa „próbę wszech czasów”, to próba ta jest częścią „odwiecznej walki o demokrację i wolność”. Wszystko to jako żywo przypomina „wojnę z terroryzmem”, która trwała 20 lat i zakończyła się dramatycznym odwrotem Zachodu.

Strategia ta może oznaczać przedłużenie (poprzez maksymalizację celów) wojny na Ukrainie, zamienienie jej w drugą Syrię, a Polski – w stałe zaplecze frontu i uchodźczy odwód. W tym kontekście jeszcze bardziej rośnie dla nas waga pokoju na Ukrainie. To oczywistość, tylko że tej oczywistości zaprzecza właśnie „samo-spełniająca się przepowiednia” nieuchronnie odpieranej agresji, koncentracja na „mobilizowaniu Zachodu”, a nie na poszukiwaniu politycznego zakończenia wojny. Oczywiście jej zakończenie zależy przede wszystkim od agresora i od presji, której Rosja będzie poddana, jednak również od horyzontu i jasnej wizji pokoju. Dlatego zbieżne z interesem Polski są pokojowe wysiłki Turcji, a nie determinizm konfliktów „przez kolejne lata i dziesięciolecia”.

Nie jestem zwolennikiem bezdusznego realizmu, choć odpowiedzialność za własny naród, pierwszy obowiązek polityki, nakazuje traktować geopolitykę jako zasadnicze narzędzie analizy. Warto jednak również odpowiedzieć na pytanie: Co z Ukrainą? Niszczonej Ukrainie pokój jest jeszcze bardziej potrzebny niż Polsce. Ukraina też zawsze będzie potrzebować Polski, tak jak Polska – nawet w jałtańskiej Europie – potrzebowała wolnego świata. Przynajmniej więc dobrem Ukrainy nie należy dziś usprawiedliwiać założenia wojny bez końca. Nie wolno ignorować apelu Ołeny Zełenskiej: „Proszę was: nie przyzwyczajajcie się do wojny!”.

Życie zadało kłam twierdzeniu, że naciskana Rosja będzie się zawsze cofać, że Polska może być nawet izolowanym heroldem tej presji, bo najwyżej, jeśli presja będzie niewielka, to Rosja się cofnie tylko trochę. Ryzyko agresji wobec Polski jest realne i duże, ale obowiązkiem władz Rzeczypospolitej (i w nie mniejszym stopniu – opinii publicznej) jest zrobić wszystko, co można, by zapobiec rozszerzeniu się wojny i szukać sposobów, by zakończyć ją możliwie szybko.

Kolumna rosyjskich czołgów oznaczona symbolem „Z” na trasie Mariupol – Donieck
FOT. MAXIMILIAN CLARKE/SOPA IMAGES/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

Dla Rosji zawsze będziemy zagrożeniem

Bohater starej chasydzkiej anegdoty wyjaśniał, dlaczego woli czytać gazety antysemickie niż żydowskie. Z tych drugich bowiem dowiaduje się, że Żydzi są prześladowani, wypędzani, napadani i w ogóle źle im się wiedzie – natomiast z tych pierwszych, że rządzą całym światem, stoją za wszystkim i na wszystkim zarabiają. Z analogicznego powodu chętnie obcowałem przez wiele lat – dopóty, dopóki nie zostaliśmy od nich ostatnio odcięci – z propagandowymi mediami rosyjskimi. Polska bowiem przedstawiana w nich była, praktycznie od zawsze, jako złowroga i potężna siła stojąca za wszystkimi spadającymi na Rosję nieszczęściami. To my podburzyliśmy do buntu Ukraińców, to my mąciliśmy na Białorusi. Nieustannie knujemy, ślemy ukradkiem do tych krajów – jak przed wiekiem kajzerowski wywiad – wagony złota i szkolimy wywrotowców, a na arenie międzynarodowej nieustannie szczujemy i knujemy. Jesteśmy nie tylko światową centralą, jak nazywa to konsekwentnie rosyjska propaganda, faszyzmu, lecz także potęgą, która wymyśliła i stworzyła prowadzący ludobójstwo na Rosjanach i śmiertelnie zagrażający pokojowi nazistowski reżim w Kijowie.

W tym samym czasie w Polsce budowano błogie poczucie bezpieczeń-



Rafał A. Ziembkiewicz

Odpowiedź na pytanie: „Czy jesteśmy skazani na wojnę z Rosją?” jest tak oczywista, że nie warto się nad nią rozwodzić. Warto postawić sobie pytanie kolejne: Dlaczego jesteśmy na nią skazani? Otóż dlatego, że Rosja nie umie wyobrazić sobie samej siebie innej niż imperialnej, a istnienia rosyjskiego imperium nie da się pogodzić z polską niepodległością

stwa. Owszem, baliśmy się Rosji, ale też uwierzyliśmy, że więcej już nie będzie ona w stanie nam nic zrobić, bo mamy teraz przyjaciół, z którymi Kreml nie odważy się zadzierać. Lewicowo-liberalny establishment, dominujący w debacie publicznej nawet po utracie władzy politycznej, jako gwarancję naszego bezpieczeństwa wskazywał zwłaszcza członkostwo w UE, a z kolei jako gwarancję gotowości UE do pilnowania naszego bezpieczeństwa – naszą uległość, eufemistycznie i idiotycznie nazwaną „pozystawianiem w głównym nurcie polityki europejskiej”.

STRACH PRZED SILNĄ POLSKĄ

Ponieważ Polska pomagdałenkowa nie miała żadnych ambicji, poza osiągnięciem wreszcie dobrobytu i użytko-

waniem go w spokoju (przypomnijmy sławną zapowiedź Donalda Tuska, że jeśli ktoś będzie miał jakieś wizje, to wyśle go do psychiatry), do głowy nikomu nie przychodziło, że ktokolwiek, a już zwłaszcza takie potęgi jak Rosja czy Niemcy, mogłyby nas uważać za zagrożenie.

Tymczasem w Berlinie i Moskwie patrzono na nas inaczej, przez pryzmat doświadczeń historycznych i obserwowanego bezprzykładnego rozwoju. Polska podnosiła się z komunistycznej biedy szybciej, niż ktokolwiek się tego spodziewał – według danych Forum Gospodarczego w Davos przez ostatnie 30 lat tylko jeden kraj na świecie osiągnął większy wzrost gospodarczy od nas (Chiny). A kraj rozwijający się gospodarczo skazany jest na gospodarczą ekspansję.

W wypadku Polski jej oczywistym kierunkiem jest wschód. Polska skutecznie wypychająca z Ukrainy i Białorusi Rosję – to był koszmarny sen Moskwy, dla której utrzymanie dominacji nad byłymi republikami jest kluczem do utrzymania mocarstwowości. A innej Rosji niż mocarstwowa nikt sobie w Rosji jak dotąd nawet nie próbuje wyobrazić.

Szybki rozwój podnosił też polską konkurencyjność. To z kolei budziło niepokój Niemiec. W elitach niemieckich żywa jest pamięć pewnych polskich sukcesów, o których sami Polacy, skopani mentalnie komunizmem i uwięzieni przez elity III RP w „pedagogice wstydu”, kulcie „pragmatyzmu” oraz potępieniu dla budzenia narodowej dumy i artykułowania narodowych aspiracji, zupełnie zapomnieli. Niemcy wiedzą, że ledwie sklejona z trzech zaborów, spustoszona wojną i niestabilna politycznie Polska zdołała w latach 20. wygrać z o wiele potężniejszymi Niemcami wojnę celną. I że wcześniej w Wielkopolsce zdołała wygrać „najdłuższą wojnę współczesnej Europy”, wieńcząc lata skutecznego oporu cywilnego udanym powstaniem zbrojnym. Tempo, w jakim odbudowywali się Polacy po roku 1939, skłaniało zarówno Berlin, jak i Moskwę do inwestowania w takie porozumienie „wielkich narodów”, żeby umożliwić nam przyszłą ekspansję, nawet mimo że nikt w Polsce publicznie jeszcze takiej ekspansji nie zapowiadał ani nawet o niej nie marzył.

Byłoby oczywiście pewną megalomanią twierdzić, że motorem neobismarskiej polityki Angeli Merkel i Władimira Putina, realizującej niemiecką dominację w Europie i rosyjskie dążenie do odbudowy „strefy wpływu”, była tylko chęć zatrzymania w rozwoju Polski. Ale polityka ta – taka, jaką jawiła się do poranka 24 lutego 2022 r. – realizowała także ten cel.

W sferze politycznej podstawą tego „nowego ładu”, pod koniec ubiegłego roku usankcjonowanego porozumieniem pod auspicjami planującego wtedy wycofanie USA z Europy prezydenta Bidena, było rozgraniczenie na linii Bugu stref wpływów pomiędzy sfederalizowaną pod niemiecką hegemonią Europą i odbudowywanym przez Moskwę imperium rosyjskim. W sferze gospodarczej było nią natomiast uzależnienie całej Europy od rosyjskich surowców pod pretekstem „ratowania klimatu”. Głównym surowcem energetycznym Europy miał się stać

rosyjski gaz, a w perspektywie dekady – wytwarzany z niego w Rosji wódór. O ile gaz ziemny można sprowadzać skądinąd, choć wymaga to inwestycji infrastrukturalnych, to przejście w imię klimatu na energetykę wodorową domknęłoby monopol rosyjski ostatecznie; produkcja wodoru z węglowodorów oznacza bowiem znaczną emisję CO₂, większą niż ich bezpośrednie spalanie, nie mogłaby więc tego robić ani położona na węglu Polska, ani żaden inny kraj skrupowany „klimatycznymi” umowami – wszyscy musieliby brać wódór, za pośrednictwem Niemiec, od niemającej klimatycznych skrupułów Rosji. A jednocześnie tanieć rosyjskich surowców pozwalała marzyć o zachowaniu konkurencyjności niemieckiego przemysłu, pomimo jego narastającego technologicznego zapóźnienia.

BŁĄD WIELKIEGO PROJEKTU

Polsce zaoferowano w tym planie rolę wagonika, ciągniętego przez niemiecką lokomotywę. W tym wagoniku Niemcy zapewniałyby Polakom względny dobrobyt, będący jedynym marzeniem lewicowo-liberalnej elity rządzącej III RP, która nadzieję na osobisty sukces własny i potomstwa chętniej wiąże z wyjazdem „do Europy” niż pozostawianiem w „tym kraju” – a zarazem one same miałyby gwarancję, że wagonik nigdy lokomotywy nie prześcignie. To z kolei dawałoby Rosji pewność, że Polska nie będzie zdolna do ekspansji na wschód.

Gdzie tkwił błąd tego wielkiego projektu? W kompletnym niezrozumieniu przez Zachód mentalu rosyjskiej elity. Nie Putina – tylko właśnie całej rosyjskiej elity państwowej, która Putina wydała i nikogo innego nie wyda w przyszłości. Widząc przezdobione, nowobogackie pałace „nowych ruskich” w Londynie, Szwajcarii i na Łazurowym Wybrzeżu, oglądając ich superluksusowe jachty oraz oburzając się pokazanymi przez Aleksieja Nawalnego nagraniami z pałacu Putina, uwierzył Zachód, że ma do czynienia ze zwykłymi złodziejami, na poły afrykańską kleptokracją, tylko na ogromną skalę. Nie z żadnymi imperialistami: wielkoruski szowinizm i wszystkie te hasła o odbudowie imperium oraz podboju całego świata to tylko narzędzia, którymi się posługują oni po to, by móc panować i kraść.

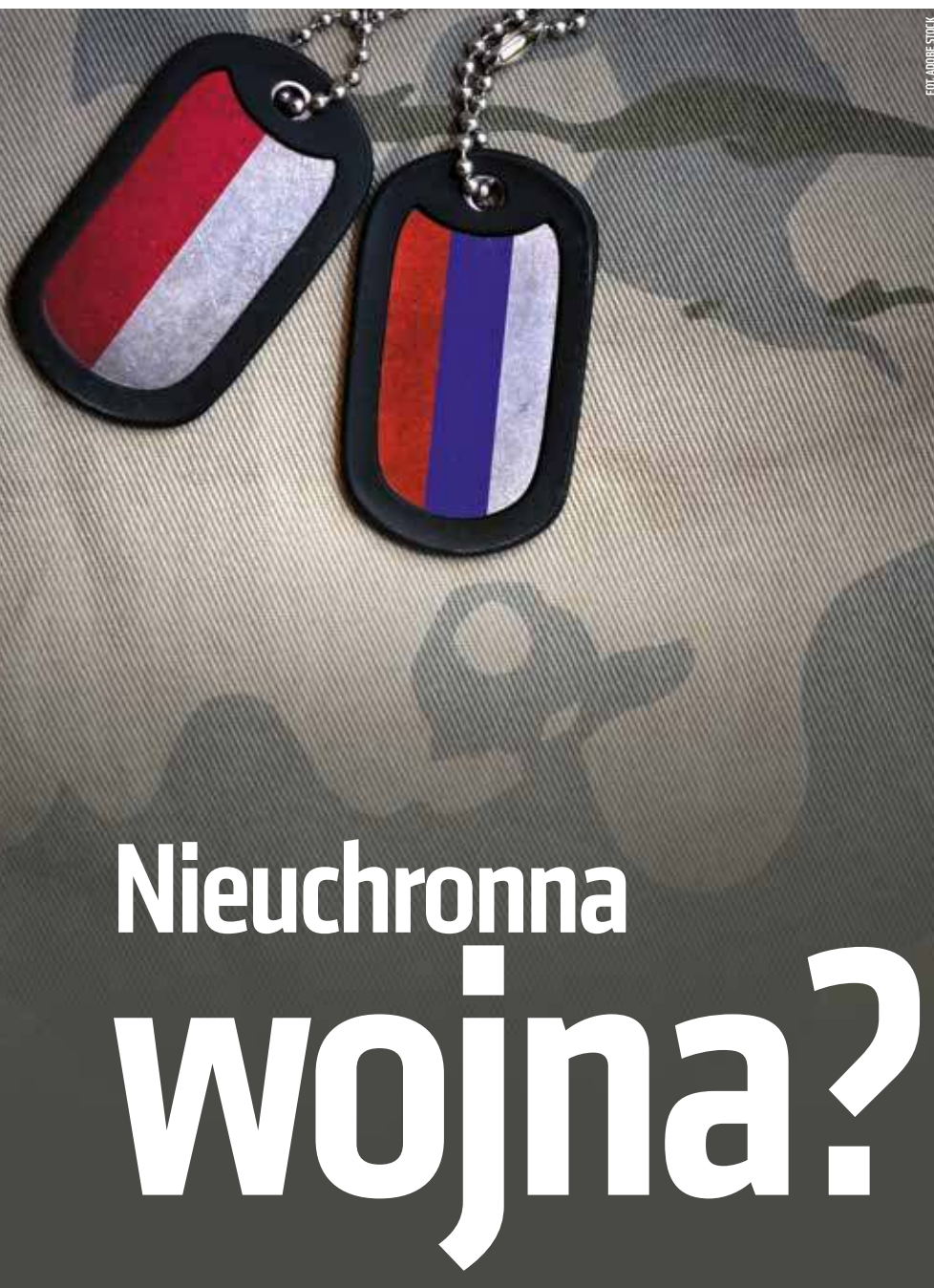
To właśnie wyobrażenie o Rosji – jak sądzę dziś, w wielkim stopniu celowo wywołane przez rosyjskie służby – czy-

niło Moskwę tak atrakcyjnym i wiarygodnym partnerem. Wiadomo, że od złodzieja (wyprzedawanie bogactw naturalnych kraju, dla własnych korzyści, po cenach niższych, nie jest przecież niczym innym niż okradaniem własnego narodu) zawsze kupi się taniej niż od uczciwego. No i wiadomo, jak ze złodziejem rozmawiać, wiadomo, o co mu chodzi. Złote gluty spływające ze wszystkich sprzętów pałacu Putina ostatecznie przekonały polityków zachodnich, że są niezwykle sprytni i wykorzystują ruskich głupków. To żelazna zasada wielkich oszustw: ofiara musi być przekonana, że to ona jest cwana i to ona oszukuje oszusta.

HISTORYCZNE WYZWANIE

Fakt, że Putin uznał, iż jego zwycięstwo praktycznie już się dokonało, i przedwcześnie, niecierpliwie przystąpił do konsumowania jego owoców, nie oznacza wcale fiaska jego imperialnych planów. Rosja zdecydowana jest kontynuować wojnę z Zachodem wszelkimi dostępnymi środkami, kierując się jednym zasadniczym przekonaniem: że Rosjanie, dzięki mocarstwowej indoktrynacji i terrorowi, wytrzymają wszystko. Nadzieja Zachodu, że Putin znajdzie swojego Brutusa i zastąpiony zostanie przez innego władcę, z którym „będzie znowu, jak było”, jest zwykłym chęstwem. Bo skąd miałyby ów Brutus się wziąć? Wyłącznie ze środowisk, które szczerze oburzały się (z cichym przyzwoleniem Putinowskich służb), że Putin i jego ekipa kradną, porzucając realizację mocarstwowych interesów na rzecz swoich złodziejskich geszeftów.

Dopóki Rosja nie wymyśli samej siebie na nowo – a to wydaje się możliwe tylko po jednoznacznej przegranej – dopóty będzie nas uważała za zagrożenie dla siebie i przeszkodę w realizacji swoich interesów. Dzisiejsze głośnie i uporczywie powtarzane zapowiedzi, że po pokonaniu „faszystów” z Kijowa przyjdzie pora na „ukaranie Polski”, można, w kontekście strat ponoszonych na Ukrainie, lekceważyć jako oczywistą tromtadrację. Ale byłoby niewybaczalnym błędem traktowanie ich jak częściej gadaniny, tak jak swego czasu traktował świat zapowiedzi umacniającego swą władzę Hitlera, a do niedawna mocarstwową propagandę Putina. Zmierzanie się z Rosją jest po prostu naszym historycznym wyzwaniem, przed którym w żaden sposób nie zdołamy się uchylić.



FOT. ANDRZEJ STOK

Nieuchronna wojna?

odczuć, a tym bardziej nierozgrzanych do poziomu wrzenia emocji w związku z toczącą się za naszą granicą wojną. Owszem, nasze wielowiekowe doświadczenie obcowania z Rosją – książęcą, carską, sowiecką – może być w tej refleksji pomocnym atutem, jednak pójście na wojnę nie może być podyktowane zakorzenioną w polskim społeczeństwie rusofobią, nienawiścią bowiem, jako jedna z najsilniejszych emocji, przesłania racjonalny osąd sytuacji. Historia pokazuje zresztą, że narody mogą się nawet wzajemnie serdecznie nienawidzić, ich przywódcy jednak, choćby byli i potworami, nie prowadzą między sobą wojen z powodu braku empatii, a dla określonych celów natury politycznej (nienawiść wpływa najwyżej na okrucieństwo danej wojny).

Mówiąc o potencjalnym casus belli, trzeba także pamiętać, że wojna jest niestety brutalnym i śmiertelnościami (nierzadko zbrodniczym), ale konsekwentnym przedłużeniem dyplomacji, co władcy wyrażali onegdaj grawerując na swych działach sentencję „Ultima ratio regis” – ostateczny argument króla. Nie inaczej rzecz się ma w przypadku wojny rosyjsko-ukraińskiej, której towarzyszą przecież regularne negocjacje wojujących ze sobą stron, także ostateczne porozumienie pokojowe będzie pochodną wyniku krwawej konfrontacji sił zbrojnych.

NASZE SPORY

Słyszając zatem insynuacje o ewentualnej wojnie z Federacją Rosyjską, trzeba na chłodno zapytać: Czy między Warszawą a Moskwą zachodzą spory, które nie byłyby rozwiązywalne na gruncie dyplomatycznym, a które byłyby tak istotne, że wymagałyby rzeczywiście rozwiązań natury militarnej? Co więcej, zważywszy na konsekwencje, jakie dla Rosji oznaczałoby zaatakowanie państwa będącego członkiem sojuszu północnoatlantyckiego (i vice versa), spór ten musiałby być naprawdę najwyższej, zdaje się – światowej wręcz wagi. I właśnie takie racje, niesprawdzające się do sloganu „Najpierw Ukraina, potem Polska”, powinni przedstawić wizjonerzy niechybnej wojny. I to zanim w ogóle dyskutowano by, czy należy dokonać np. prewencyjnej wojny defensywnej, wykorzystując do tego toczącą się już na Ukrainie wojnę. A zatem, skoro obóz prowojenny wieści nieuchronną wojnę, jaki strategiczny interes Rosja ma



Wojciech Golonka

Perspektywa nieuchronnej wojny rosyjsko-polskiej zyskała grono zwolenników w obozie władzy, wśród dziennikarzy politycznych czy komentatorów geopolitycznych. Czy przekonanie, że lepiej wcześniej pójść na wojnę, jest słuszne czy niebezpieczne?

Realistyczne rozważenie możliwości przyszłych konfliktów zbrojnych wymaga wskazania ich pierwotnych przyczyn, czyli

potencjalnych casus belli, i ocenienia prawdopodobieństwa przekucia ich w konflikt zbrojny. Podobne rozpatrywanie jest dziełem rozumu, a nie

do osiągnięcia w militarnej konfrontacji z Polską (i z NATO), którego nie osiągnie za pomocą dyplomacji?

Podawany zazwyczaj w dyskusji ogólnik o rosyjskim imperializmie jest argumentem zbyt nieokreślonym, aby uznać go za wystarczający. Czy chodzi o kolejny rozbiór Polski? Złupienie jej z surowców? Finlandyzację naszego kraju, czyli uczynienia zeń państwa politycznie neutralnego wobec Rosji? Wypchnięcie Polski z NATO, a raczej instalacji NATO z Polski?

Otóż w ramach dążeń do różnych pośrednich celów wobec Polski mogą się toczyć wrogie działania agentury Kremla, próby wpływania na jej politykę wewnętrzną i zagraniczną etc.; mogą być nawet wywoływane sytuacje kryzysowe, jak szturm migrantów na naszą wschodnią granicę (choć w tym wypadku była to, zdaje się, akcja autonomicznie prowadzona przez Mińsk). Gdy jednak idzie o publiczne podnoszenie przez Moskwę roszczeń wobec Rzeczypospolitej natury militarnej, roszczeń adresowanych w zasadzie nawet bardziej do Waszyngtonu niż do Warszawy, chodzi o dostępne na naszym terytorium pewne możliwości wojskowe, które Rosja traktuje jako potencjalne zagrożenie dla własnego bezpieczeństwa.

Kwestii tej należałoby poświęcić odrębny artykuł, dość powiedzieć, że to, co my postrzegamy jako kluczowe elementy gwarantujące nasze bezpieczeństwo, Rosjanie traktują jako potencjalne zagrożenie (i vice versa). Dziecinnością byłoby zbywanie tego sporu machnięciem ręki, że „przecież agresor i bandyta racji nie ma, więc róbmy swoje”, bo w tej kwestii liczy się, jak głęboko w strategii obronnej drugiej strony tkwi przekonanie, że rozbudowywanie infrastruktury NATO czy amerykańskich baz w Polsce stanowi dlań potencjalne zagrożenie.

Po zamachach z 11 września 2001 r. Stany Zjednoczone wycofały się z traktatu ograniczającego instalacje antybalistyczne (1972 r.), a w 2019 r. z traktatu ograniczającego pociski nuklearne średniego zasięgu (1988 r.). W praktyce oznacza to możliwość powrotu do wyścigu zbrojeń. Rosja zaś jest szczególnie wycofana na punkcie instalacji mogących posłużyć do wyrzucenia manewrujących pocisków hipersonicznych, wobec których obecne tarcze antyrakietowe pozostają w zasadzie bezbronne, a które wyrzuczone z terytorium Polski w prze-

ciagu kilku minut mogłyby zagrozić jej krytycznym instalacjom. Notabene chodzi o wyrzutnie pocisków, które skądinąd Rosja już zainstalowała u siebie w obwodzie kaliningradzkim.

Ponadto, co widać bardzo dobrze właśnie w ostatnich tygodniach, zarówno kierownictwo NATO, jak i same USA są o wiele bardziej powściągliwe od Warszawy w realizacji przedsięwzięć militarnych w Polsce lub z terenu Polski, które mogłyby eskalować napięcia na linii Zachód – Moskwa. Ba, jeśli będzie to w ich interesie, amerykańscy dyplomaci siadają do stołu negocyjacyjnego – na czym Rosji zależy, aby omówić propozycje nowych traktatów ograniczających rozmieszczanie arsenałów balistycznych/antybalistycznych obu stron. Innymi słowy, sam powód do największych napięć na linii Warszawa – Moskwa bynajmniej nie jest nieuchronnym casus belli, który prędzej czy później musi doprowadzić na nasz kraj wojnę.

CZYNNIKI STABILIZUJĄCE

Trzeba przy tym podkreślić, że nasze bezpieczeństwo opiera się obecnie na solidarności sojuszu militarnego, jakim jest NATO. Solidarność ta obejmuje kraje członkowskie i zakłada grę zespołową, w której nikt nie wychyla się bardziej przed szereg, niż leży to w interesie ogółu. Zachodzi tu także istotny czynnik konsensu politycznego: nie chcemy, aby Unia Europejska była superpaństwem, a zatem musimy przyjąć do wiadomości, że interesy poszczególnych państw nie są identyczne. Jeśli uważamy, że możemy nonszalancko wychowywać Francuzów i mówić im, jakie ich firmy mogą prowadzić lub nie interesy w Rosji, jeśli na mocy własnej decyzji blokowałibyśmy (lub dopuszczalibyśmy do blokady) tranzyt między Unią a Białorusią (czytaj: Rosją), to podważylibyśmy siłą rzeczy gwarancje naszego bezpieczeństwa, ponieważ solidarność sojuszu pokroju NATO pozostaje rzeczą warunkową. Tymczasem jest to sojusz, w którego skład wchodzić kraje, które, oprócz potencjału odstraszenia nuklearnego (USA, Wielka Brytania, Francja), posiadają łącznie znaczące siły zbrojne do użytku w wojnie konwencjonalnej.

Czy stronnictwo prowojenne na poważnie uważa, że te gwarancje są nic niewarte, że zanim w ogóle podejmiemy zapowiadaną z rozmachem reformę i rozbudowę polskiej armii, musimy tu

i teraz koniecznie wykorzystać domniemaną okazję, która pozwoli nam w pojedynkę (choć najlepiej za pośrednictwem Ukrainy) rzekomo wypchnąć Rosję poza ramy historii, a przynajmniej za Ural, jak sugerują niektórzy fanteści? Rosja nie jest Libią, Rosja nie jest Irakiem – wiedzą o tym wszyscy w Waszyngtonie, w Brukseli, również i w Kijowie, skoro prezydent Zełenski po wizycie prezydenta Bidena w Warszawie zasadniczo wykluczył możliwość polsko-rosyjskiej wojny zastępczej w jego kraju, co powinno zresztą na dobre zamknąć tę dyskusję.

Dodajmy, że obok NATO silnym czynnikiem stabilizującym Rosję względem nas i reszty Europy są dodatkowo Chiny, dla których pokój jest zasadniczym warunkiem ich własnej pomyślności gospodarczej, stąd powinniśmy się cieszyć z poprawnych i być może obiecujących relacji, które Warszawa utrzymuje z Pekinem. Ma się rozumieć, stojąc na styku bloków geopolitycznych, nie jesteśmy bezpieczni od możliwych globalnych tąpnięć, na które jednak sami jako tacy nie mamy wpływu i bynajmniej nie powinniśmy próbować ich wywoływać z własnej inicjatywy. W naszej gestii pozostaje natomiast inteligentne wykorzystanie danych nam obecnie elementów naszego bezpieczeństwa i rozwijanie naszych sił zbrojnych do takiego poziomu obronności, który zniechęciłby każdego potencjalnego napastnika, w tym Rosję, do militarnej agresji Rzeczypospolitej.

Jeśli argumenty racjonalne, stanowisko naszych sojuszników, stanowisko Ukrainy nie przemawiają stronnikom wojny rosyjsko-polskiej do rozsądku, jeśli doradca rządu może trywializować możliwe skutki rosyjskich uderzeń odwetowych na Polskę, a były szef sztabu generalnego Wojska Polskiego tępo nawoływać do inwazji Królewca, to pora, aby kubeł zimnej wody wylał polski wymiar sprawiedliwości na okoliczność sprawowania niebezpieczeństwa powszechnego „dla życia lub zdrowia wielu osób albo dla mienia w wielkich rozmiarach” w „okolicznościach szczególnie niebezpiecznych” (art. 165 k.k.). Bawienie się retoryką pirotechniczną, choćby wyłączanie na potrzeby samochwały czy polityki wewnętrznej, nie zwalnia z przewidzianej w polskim porządku prawnym odpowiedzialności karnej za potencjalne skutki swej piromanii.

Wojenne przetaskowania w PiS



Kamila Baranowska

Wojna na Ukrainie zmieniła nieco układ sił wewnątrz obozu władzy. Wzmocnił się premier Mateusz Morawiecki, a jego najwięksi wrogowie chwilowo usunęli się w cień

Wojna za naszą wschodnią granicą przestawiła krajową politykę na zupełnie inne tory. Sprawy, którymi żyli politycy i opinia publiczna, po 24 lutego zeszły na dalszy plan, stare problemy, z którymi borykał się rząd i które wpływały na jego spadające notowania, straciły na znaczeniu, a politycy, których pozycja słabła, dostali okazję, by pokazać swoją przydatność i determinację.

To ostatnie dotyczy zwłaszcza premiera Mateusza Morawieckiego, który przed wybuchem wojny miał bardzo złą passę. Jego sztandarowy projekt, czyli Polski Ład, okazał się porażką, która zaczęła generować straty polityczne, a on sam za przyzwoleniem Jarosława Kaczyńskiego

coraz bardziej tracił wpływy. Osłabiła go rekonstrukcja rządu jesienią ubiegłego roku, osłabiło go wyrzucanie jego ludzi ze spółek Skarbu Państwa, do czego rękę przyłożył minister aktywów państwowych i wicepremier Jacek Sasin, który od dawna wojuje z Morawieckim. Ten konflikt jest o wiele poważniejszy niż ten na linii Morawiecki – Ziobro, bo zarówno Sasin, jak i Morawiecki cieszą się niesłabnącą przychylnością prezesa Jarosława Kaczyńskiego, który napuszczając ich na siebie, w swoim przekonaniu dba o równowagę w partii i rządzie. To jego stara i sprawdzona metoda zarządzania.

PREMIER ODBUDOWUJE WPŁYWY

W momencie agresji Putina na Ukrainę Kaczyński zarządził jednak zawieszenie wszystkich wewnątrzpartyjnych rozgrywek i skupienie się na tym, co najważniejsze – pomocy Ukrainie, bo leży to w interesie Polski. Sasin przestał więc otwarcie atakować premiera i grać na jego osłabienie, usuwając się taktycznie w cień. Mateusz Morawiecki tymczasem rozpoczął dyplomatyczną ofensywę, której punktem kulminacyjnym była wizyta w Kijowie, gdzie pojechał wraz z Jarosławem Kaczyńskim i premierami Czech i Słowenii. Ten wyjazd, nawiązujący do wizyty Lecha

Kaczyńskiego w Gruzji w 2008 r., odbił się dużym echem w całej Europie. Miał też jeszcze jeden efekt – ponowne zbliżenie premiera Morawieckiego i prezesa Kaczyńskiego. – Wiadomo, że takie wspólne doświadczenie łączy. Przy okazji Morawiecki wykazał się odwagą, decydując się na wyjazd. Dla prezesa to akurat ważny sygnał – opisuje nam tę sytuację polityk PiS.

Jednak najlepszym dowodem na to, że premier odbudowuje swoją pozycję i wpływy w obozie rządzącym, jest ostatnie wydarzenie, które wywołało masę komentarzy i spiskowych teorii, szerzonych także w samym PiS. Chodzi o dymisję ministra rozwoju i technologii Piotra Nowaka. Nowak to człowiek kojarzony z Jackiem Sasinem. To Sasin ściągnął go do rządu i to Sasin konsekwentnie kreował go na „lepszą wersję Morawieckiego” i jego potencjalnego następcę. Morawiecki z Nowakiem nigdy nie nadawali na tych samych falach. A zetknęli się ze sobą już wcześniej, gdy Morawiecki był ministrem finansów, a Nowak jego zastępcą, którego dostał w spadku po poprzednim ministrze. Nowak, zanim trafił do rządu Zjednoczonej Prawicy, pracował na dobrym stanowisku w Międzynarodowym Funduszu Walutowym. W PiS można usłyszeć, że już wtedy prezentowali różnice zdań i specjalnie za sobą nie przepadali.

Gdy okazało się, że Sasin wylobbował Nowakowi u Kaczyńskiego miejsce w rządzie, Morawiecki był wściekły. Między Sasinem a Morawieckim od dłuższego czasu trwał już otwarty konflikt, którego Nowak stał się częścią. – Nowak w pewnym momencie chyba uwierzył Sasinowi, że ma szansę na najwyższe stanowiska, z fotelem premiera włącznie. To raczej nie wchodziło w grę, ale ciągle opowieści o zużywaniu się Morawieckiego i potrzebie premiera technicznego sprawiły, że ta narracja zaczęła żyć własnym życiem. Mimo że prezes Kaczyński przecież w każdej rozmowie zaprzeczał, by rozważał scenariusz wymiany premiera – opowiada nam polityk z okolic rządu.

– Nowak stał się nieostrożny. A może czuł się zbyt pewnie? Otwarcie kwestionował pomysły rządu i samego premiera, krytykował i wyśmiewał niektóre decyzje. Wiadomo było, że to prędzej czy później dojdzie do Morawieckiego – opowiada nasz rozmówca. Prowadzący audycję „Stan po burzy” dziennikarze Andrzej Stankiewicz i Agnieszka Burzyńska twierdzili z kolei, że Nowak miał rozsyłać politykom memy z premierem.

Do personalnych przepychanek doszły po części uzasadnione pretensje Morawieckiego o to, że Nowak nie zajmuje się swoim resortem. – Nie dowoził różnych rzeczy, którymi miał się zajmować. Miał przygotować rozwiązania w ramach tarczy osłonowej dla przedsiębiorców w związku z sytuacją na Ukrainie, a nic z tego nie wyszło. Było wkurzenie, że Nowak zajmuje się wszystkim, tylko nie resortem – mówi polityk PiS.

SASINA ZAGRANIE NOWAKIEM?

22 marca wieczorem pojawiła się depesza Polskiej Agencji Prasowej informująca, że „Komisja Europejska lada chwila powinna dać zielone światło dla uruchomienia KPO”, a do uzgodnienia pozostały jedynie kwestie techniczne. Agencja powoływała się wprost na słowa ministra rozwoju Piotra Nowaka. W mediach społecznościowych ta deklaracja wywołała ogromne poruszenie, zwłaszcza że pojawiła się chwilę po tym, jak wyjazd do Brukseli w celu przyspieszenia odblokowania środków z KPO zapowiedział Donald Tusk. Wyglądało to na szybką ripostę rządu, by zagrać Tuskowi na nosie. Szybko jednak pojawiło się pytanie, dlaczego o kluczowym dla rządu sukcesie informuje minister rozwoju, a nie zaangażowany w negocjacje od początku premier. Okaza-

ło się, że minister Nowak wyszedł przed szereg. O odblokowaniu środków z KPO powiedział na zamkniętym spotkaniu z kilkorgiem dziennikarzy. Wypowiedź Nowaka, na którą powoływała się Polska Agencja Prasowa, została autoryzowana przez jego rzeczniczkę prasową. Stąd pojawiające się wątpliwości, czy to wszystko było przemyślaną i zaplanowaną akcją czy jednak tylko niedopatrzaniem.

Za tym pierwszym przemawia to, że minister Nowak powtórzył to samo następnego dnia podczas wywiadu w Polskim Radiu. – Jest zgoda i wsparcie tych osób na podjęcie decyzji. Są jeszcze kwestie techniczne, natomiast polityczna decyzja została już podjęta – stwierdził. – Jeszcze przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych przeprowadziłem rozmowy z kilkoma komisarzami. Dzwonili do mnie z wyrazami uznania, jeśli chodzi o działania Polski, polskiego społeczeństwa i rządu w stosunku do działań związanych z uchodźcami z Ukrainy – dodawał.

Radiowy wywiad, jak słyszymy w radiu, miał przesądzić o dymisji ministra. Otoczenie premiera uznało bowiem, że Nowak próbuje podczepić się pod sukces rządu w związku z negocjacjami w sprawie KPO, a co więcej – jego opowieść, że wszystko jest dogadane, może usztywnić Brukselę.

Rząd szybko zaczął więc dementować słowa ministra. – Nie ma takiego porozumienia. Jestem trochę zaskoczony tymi wczorajszymi informacjami – stwierdził rzecznik rządu, przypominając, że w negocjacjach dotyczących odblokowania KPO uczestniczy premier. – Robi to premier Morawiecki bezpośrednio z szefową Komisji, bo na tym poziomie jest to robione, a na poziomie technicznym, komisyjnym, w tym zespole, z przewodniczącą KE, która delegowała swoich przedstawicieli, robi to minister Buda. Więc, jak rozumiem, minister Nowak mógł usłyszeć w kularach posiedzenia Rady UE, że jest taka chęć, ale takiej decyzji nie ma. Chciałbym być takim optymistą jak minister Nowak, ale jest jeszcze trochę rzeczy do dopięcia, żeby to było możliwe – dodał.

To samo powtórzył Michał Dworczyk, szef KPRM. – Ani ja, ani pan minister Nowak nie prowadzimy rozmów, osobiście z szefową KE rozmawia premier Morawiecki, wykonawczo sprawę prowadzi wiceminister Waldemar Buda. Od urzędników nieraz słyszałem, że jesteście

w przełomowym momencie, później rzeczywistość to weryfikowała. Byłbym więc ostrożny – powiedział w Polsat News.

Dzień później premier Morawiecki ogłosił odwołanie ministra Nowaka ze stanowiska, tłumacząc, że „wyczerpała się uzgodniona formuła współpracy z panem ministrem”. Decyzja była konsultowana z Jarosławem Kaczyńskim, który ją zaaprobował. – Decyzja premiera w tej sprawie jest, jak sądzę, decyzją słuszną. Były ku temu przyczyny – stwierdził Kaczyński w Polskim Radiu. – Nikt w rządzie nie jest przyśrubowany do swojego fotela, a zmiany się zdarzają – dodał.

Morawiecki miał w rozmowie z Kaczyńskim użyć argumentu, że Nowak swoimi wypowiedziami tylko skomplikował i tak niełatwe negocjacje z Komisją Europejską. – Jeśli nie chcą pomagać, to niech nie przeszkadzają, o nic więcej nam nie chodzi – tak miał to tłumaczyć premier. Od innego naszego rozmówcy słyszymy, że prezes PiS był bardzo niezadowolony z takiego obrotu spraw, bo dał Jackowi Sasinowi i całej partii jasny sygnał, że w czasie wojny na Ukrainie nie życzy sobie podkopywania pozycji premiera – czas jest szczególny, liczą się racja stanu i spójność działań, a nie prywatne wojenki. Akcja Nowaka została odczytana jako zagrywka Sasina przeciwko premierowi.

SPODZIEWANY ODWET

Już po fakcie i po reakcji prezesa, który stanął po stronie Morawieckiego, Sasin, zapytany o dymisję Nowaka, mówił, że to była... słuszną decyzją. – Nikt z nas w rządzie nie jest przyspawany do stołka. To jest praca na czas określony i trwa do momentu, gdy pan premier, kierownictwo rządu i kierownictwo polityczne naszego obozu politycznego nie zdecydują inaczej – powiedział wicepremier Sasin. – Tyle mogę w tej sprawie powiedzieć, taka była decyzja pana premiera i szefostwa naszego obozu politycznego. Została ona podjęta i jest decyzją słuszną – dodał na koniec. Otoczenie Morawieckiego jest jednak przekonane, że Sasin tej sprawy ani nie zapomni, ani nie wybaczy. Spodziewane są w odwecie dymisje podległych resortów Sasina. – Na razie na więcej się nie odważy, ale gdy tylko poczuje, że Morawiecki słabnie, to nie odpuści sobie okazji do mocniejszego rewanżu – podsumowuje nasz rozmówca.



Tomasz Rowiński

Od jakiegoś czasu nasze debaty o sprawach strategicznych przechodzą przyspieszone kursy realizmu i roztropności

Wojna informacyjna, która toczy się wokół rosyjskiej inwazji na Ukrainę, ma swoje rozmaite odsłony i fazy, w których biorą udział wszyscy uczestnicy zdarzeń. Presję informacyjną wywierają Rosjanie, swoje propagandowe „balony” wypuszczają oczywiście Stany Zjednoczone, osobny głos można usłyszeć ze strony prezydenta Macrona czy kanclerza Scholza.

Oczywiście są też Ukraińcy, którzy niemal całkowicie zdominowali medialny obraz militarnych zmagani. Choć w pierwszych tygodniach musieli oni znacznie ustępować nacierającej armii Federacji Rosyjskiej na własnym terytorium, to jednocześnie zdołali szeroko nagłośnić wszystkie słabości nacierających sił Putina. Biorąc pod uwagę przekaz, jaki masowo rozlewa się w mediach społecznościowych, można by odnieść właściwie wrażenie, że oddziały ukraińskie od pierwszego dnia wojny tylko wygrywały. Najpierw udało im się bronić dłużej niż prognozowane kilkadziesiąt godzin, potem zaczęły zadawać Rosjanom znaczne straty, dziś niejednego wspierającego ich komentatora wspomina o możliwym przełamaniu i kontrofensywie wojsk ukraińskich. Niezależnie od tego, na ile jest to rzeczywiście realne.

MANIPULOWANIE POZUCIEM ZAGROZENIA

Trzeba jednak powiedzieć, że idąca już w tysiące liczba filmików czy zdjęć bezpośrednio ilustrujących zniszczenia na froncie to tylko „pierwszy rzut” zmagani o język opisu trwającej wojny. Różne, pojawiające się w przestrzeni medialnej głosy i opinie są nieustannie obrabiane tak, by przynieść korzyść propagandową każdej ze stron. To dziwna rzeczywistość, w której czasem dochodzi nawet do mimowolnych sojuszy pomiędzy propagandą rosyjską i ukraińską. Przykładem takiej synergii była sekwencja komentarzy, które pojawiały się w światowych mediach po głośnej wypowiedzi emeryto-

Generał Waldemar Skrzypczak podczas wywiadu wideo dla „Super Expressu” FOT. SUPER EXPRESS/YOUTUBE

Informacyjne bitwy generałów

wanego gen. Wesleya Clarka z 24 marca br. dla CNN. Przypomnijmy, że generał był w latach 1997–2000 naczelnym dowódcą Połączonych Sił Zbrojnych NATO w Europie. Zatem z jednej strony pozostaje autorytetem w sferze wojskowości, ale z drugiej jest już jedynie emerytowanym wojskowym, który – przynajmniej bezpośrednio – nie angażuje się ani w politykę, ani w prace strategiczne. Jest niezależnym ekspertem, ewentualnie może pełnić jakąś funkcję w amerykańskim systemie narracyjnym.

Wypowiedź Clarka wyglądała następująco: „Jeśli naprawdę [Putin] chce powstrzymać NATO, jeśli wierzy, że może zniszczyć sojusz północnoatlantycki, to może użyć taktycznej broni jądrowej. [...] Gdzie jej użyje? Może nie na Ukrainie, ale gdzieś w zaludnionym miejscu w Polsce”. Trzeba pamiętać, że gen. Clark

już wcześniej zwracał uwagę, by nie lekceważyć zagrożenia, które Rosja stwarza wobec jednego z państw NATO, którym jest Polska. Tyle że głos generała trzeba traktować przede wszystkim jako opinię jednego z sygnalistów stawiających sobie za cel większą integrację sił sojuszu północnoatlantyckiego przez eskalację obaw. Ponieważ jednak kwestia atomowa jest nieustannie dyskutowana w czasie trwającej wojny i ta wypowiedź spotkała się z szeroką reakcją. W chwili, gdy trwała jej kolportacja, dość szybko uległa ona zniekształceniu i zaczęła być odbierana nie jako publicystyczna opinia sygnalisty, ale jako posiadające autorytet stanowisko polityczne.

To, że w przekazie alianckim kolportowane są treści mające na celu większą mobilizację, trzeba uznać za zwykłą sprawę. Jednak zawsze tego typu treści należy

traktować jako potencjalnie niebezpieczne. Od zwierania szeregów ze względu na zagrożenie już tylko krok do straszenia dokonywanego w celu demobilizacji. Wypowiedź Clarka niewątpliwie podniosła temperaturę medialnych reakcji przynajmniej na kilkanaście godzin. Wydaje się, że Rosjanie uznali, że nie będą sprawy komentować na wyższym szczeblu politycznym, jednak nie zostawili jej zupełnie bez słowa. Rosyjski deputowany w radzie miejskiej Moskwy Siergiej Sawostjanow miał w kilka do kilkunastu godzin od wypowiedzi Clarka powiedzieć, że Rosja przygotowuje się do pełnoskalowego ataku na wschodnią flankę NATO. Głos ten – być może skierowany bardziej do rosyjskiej opinii publicznej – uzyskał niezwykle zasięg dzięki wpisowi Mychajły Podoliaka, doradcy prezydenta Zełenskiego i jednego z uczestników rozmów z Moskwą w mediach społecznościowych.

„Rosja prawdopodobnie przygotowuje zakrojony na szeroką skalę atak na Polskę, kraje bałtyckie i Kazachstan w ramach globalnej operacji specjalnej w celu... demilitaryzacji i denazyfikacji. Zostało to oficjalnie stwierdzone przez rosyjskiego deputowanego [w radzie miejskiej Moskwy – przyp. T.R.] Siergieja Sawostjanowa. To dopiero początek. Poleje się dużo krwi Europejczyków, Rosjanie otwarcie o tym mówią” – napisał Podoliak. Zatem ukraiński polityk postanowił jeszcze raz odbić piłeczkę poczucia zagrożenia, wykorzystując w sumie słabe rosyjskie odbicie po wypowiedzi Clarka. W interesujący jednak sposób sytuacja ta pokazała, jak można manipulować tym samym poczuciem zagrożenia w różnych celach. Podoliak zagrał tę samą piłkę co wróg, ale na rzecz interesu swojego państwa w relacjach z NATO.

OKUPOWANY OBWÓD KALININGRADZKI

Krótką historią eskalacji napięcia, które nastąpiło po wypowiedzi gen. Clarka, wydaje się właściwym kontekstem do tego, by przyrzeć się kontrowersji, którą wzbudziły w Polsce niedawne słowa gen. Waldemara Skrzypczaka. W wywiadzie wideo dla „Super Expressu” generał, komentując poziom zagrożenia Polski ze strony Rosji, siłą art. 5 sojuszu północnoatlantyckiego i innych kwestii, dodał także takie słowa: „Historycznie obwód kaliningradzki to teren, który jest pod okupacją rosyjską od 1945 r. Trzeba to powiedzieć, to nigdy nie było terytorium

Rosji. Teraz warto byłoby o to terytorium się upomnieć, tak jak upominaliśmy się swego czasu o Ziemię Odzyskaną. [...] Mamy prawo mieć pretensje do tego terenu, który Rosja okupuje”. Wypowiedź ta została natychmiast szeroko skrytykowana w dominującym u nas kluczu przestraszonego deeskalacjonizmu.

Ten rodzaj zjawiska powtarza się w Polsce regularnie i często bywa określany mianem „wychodzenia przed szereg”. Podobnie działo się, gdy Jarosław Kaczyński wysunął w Kijowie swoją propozycję pokojowej interwencji NATO na zachodniej Ukrainie. Znaczna część głosów sprowadziła ten gest do „polskiego wymachiwania szabelką” bez konsultacji z sojusznikami. Nieliczne głosy zauważyły, że w wielu sytuacjach ważniejsze jest zachowanie politycznej inicjatywy, która sprawia, że to do polskiego głosu odnosi się inni – nawet krytycznie – niż tylko odgrywanie roli prymusa. Trudno nam się porównywać z Niemcami i Francją, jednak kraje te kierowane własnym interesem nieustannie są przecież krytykowane za działania, które podejmują, czy wypowiedzi pozycjonujące je na mapie trwającej wojny. Na tym polega także prowadzenie polityki zagranicznej.

Choć opinia gen. Skrzypczaka w naszej wyobraźni strategicznej, wedle której zawsze należy dążyć do deeskalacji i łagodzenia, łatwo kleiła się np. z niebezpiecznymi rosyjskimi ideami rozbioru Ukrainy w tandemie rosyjsko-polskim, to Rosjanie zareagowali tym razem łagodząco. Pojawiły się opinie umniejszające głos Skrzypczaka lub go lekceważące. Można by z tego wyciągnąć pewne wnioski – np. takie, że Rosja faktycznie obawia się dziś tego, że obwód kaliningradzki mógłby stać się nowym problemem, i nie jest gotowa do eskalacji stosunków z państwami NATO poza ukraińskim teatrem działań. Zresztą pewne obawy przed siłą sojuszu zaczęły być obecne także w propagandowej rosyjskiej telewizji, czego przykładem była choćby wypowiedź Andrieja Fiodorowa, byłego wiceministra spraw zagranicznych Rosji z czasów jęlcynowskich, z 24 marca br. Trwająca od lat mobilizacja rosyjskiego społeczeństwa, uzyskiwana także poprzez karmienie go obawami przed NATO, niedługo może się obrócić w demobilizacyjny strach. Wspomniana dominacja lekceważących reakcji na głos gen. Skrzypczaka może mówić, że Rosjanie na razie eskalacji mają po dziurki w nosie.

Znacznie mniejsze zainteresowanie – a szkoda, ale to zjawisko całkowicie normalne – wywołała wypowiedź generała w programie Igora Jankego „Układ otwarty”, w której wyjaśniał on swoje słowa. „Przede wszystkim była to odpowiedź na retorykę Rosjan [...], którzy cały czas uczą Polaków historii. [...] Ta retoryka, sączona przez wiele lat Polakom do głów, powoduje strach i paraliż. Wojna informacyjna polega m.in. na tym, żeby w Polakach spowodować” przekonanie, że mają się „bać tego Kaliningradu”. Generał zwrócił uwagę, że jego wypowiedź miała przede wszystkim na celu pokazanie Rosjanom, że to „Polska jest właścicielem swojej historii” i że dobrze znamy przeszłość tego rejonu. Można zatem medialną akcją byłego szefa polskiego Sztabu Generalnego potraktować jako próbę wyjścia z przekonania-pułapki, że dla Polski w każdej sytuacji najlepsza jest retoryka całkowicie defensywna.

Skoro generał zaprzeczył, jakoby chodziło mu o odwojowywanie obwodu, to jak możemy potraktować te słowa? Czy warto się nad nimi zastanawiać? Z każdym dniem wojny rosną przewagi ekonomiczne Polski nad Rosją i powinno się siłą rzeczy pojawić pytanie, czy obwód kaliningradzki nie stanie się dla Polski naturalnym obszarem wpływu gospodarczego? Czy osamotnienie tego biednego regionu wśród względnie zamożnych państw naszej strefy nie będzie dźwignią dla jego przyszłej europeizacji? Na pewno zaś Polska, jeśli tylko otworzy się odpowiednie okienko negocjacyjne, znów powinna podnieść temat demilitaryzacji tego regionu. Można by taką politykę nazwać właśnie elementem upominania się o polskie interesy nad Bałtykiem.

MNIEJ SKRAJNEJ LĘKLIWOŚCI

Pozytywny wniosek z zamieszania wokół słów gen. Skrzypczaka byłby taki – polską debatę opuszcza skrajna lękliwość, która wcale nie jest wiele lepsza od idealistycznych szarży. Zresztą już od jakiegoś czasu nasze debaty o sprawach strategicznych przechodzą przyspieszone kursy realizmu i roztropności. Nie zawsze jeszcze kończą się zdaniem egzaminem z dojrzałości, ale prawda jest też taka, że nie mamy już czasu na inne rozpoznanie pól dyplomatycznej i informacyjnej walki niż rozpoznanie bojem. Oczywiście mówiąc metaforycznie.

KATARZYNA PINKOSZ: Już ponad miesiąc trwa wojna na Ukrainie. Jak do tej pory w Polsce nie ma wielu rannych. Czy służby medyczne Ukrainy są tak dobrze przygotowane do leczenia rannych, że dają sobie radę?

GEN. DYW. PROF. GRZEGORZ GIELERAK:

Strategia Ukrainy jest w tej kwestii jasna i zrozumiała. W pierwszej kolejności korzystają z zasobów swojego systemu ochrony zdrowia. Jak można przypuszczać, przygotowywali się w tym zakresie, biorąc pod uwagę zagrożenie inwazją. Oczywiście wszystkie tego typu plany ulegają na bieżąco korekcie pod wpływem przebiegu działań wojennych czy stopnia zużycia posiadanych zasobów.

Można przypuszczać, że rannych pojawi się więcej. Gdzie powinni być leczeni? Rany odniesione w wyniku np. ostrzału czy wybuchu są trudniejsze do leczenia?

Tak, to często jest zupełnie inne leczenie. Opierając się na wieloletnich doświadczeniach, mogę z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, że prowadzenie opieki wobec tak specyficznej grupy chorych jest poważnym wyzwaniem, bardzo ważna jest tu kompleksowa opieka. Trzeba mieć wiedzę związaną z metodami leczenia zabiegowego i zachowawczego, często wieloetapowego oraz interdyscyplinarnego. Ponadto konieczna jest pomoc psychologiczna, kierowana zarówno do rannych, jak i do opiekującego się nimi personelu. Pokazuje to, jakie zmiany powinny nastąpić w polskim systemie ochrony zdrowia, aby odpowiedzieć na zagrożenia związane z konfliktem zbrojnym.

Jakie zmiany są konieczne?

Z jednej strony obowiązkowe szkolenie kadr medycznych, z drugiej – przygotowanie struktur państwa zdolnych do skutecznej odpowiedzi na wspomniane ryzyko. Jednym z priorytetowych zadań jest posiadanie odpowiednich rezerw materiałowych oraz przeszkolonego personelu medycznego. Polska jest krajem, który nawet tylko z uwagi na swoje położenie geograficzne oraz otoczenie powinien – wzorem np. Niemiec, Francji, a ostatnio Ukrainy – dysponować zaawansowanymi zdolnościami reagowania kryzysowego, jeśli chodzi o bezpieczeństwo zdrowotne. Powinno ono być realizowane za pomocą wydzielonego rodzaju Sił Zbrojnych – Wojskowej Służby Zdrowia. Wejście w życie przepisów Ustawy o obronie Ojczyzny jest okazją do przeprowadzenia tych niezbędnych zmian.



FOT. PIOTR BLANIKO/FAST NEWS



Z gen. dyw. prof. Grzegorzem Gielera, dyrektorem Wojskowego Instytutu Medycznego rozmawia Katarzyna Pinkosz

Czy szpitale wytrzymają?

W Polsce jest ponad 2 mln uchodźców z Ukrainy, za miesiąc może to być 4–5 mln. Zapewniamy obywatelom Ukrainy ochronę zdrowia na takim samym poziomie jak Polakom. Jak system da sobie z tym radę w sytuacji, gdy już wcześniej zmagaliśmy się z niedoborami kadr?

Nowe okoliczności, które wystąpiły po 24 lutego, trzeba rozpatrywać w szerszym kontekście. Po pierwsze, niemal płynnie

przeszliśmy z kryzysu epidemicznego w kryzys migracyjny. Pozwoliło to zachować służbom państwowym pamięć instytucjonalną w części dotyczącej podejmowania działań ograniczających negatywne skutki zdarzeń kryzysowych. Po drugie, wierzę, że doświadczenia kryzysu pandemicznego dotyczące różnych obszarów funkcjonowania systemu ochrony zdro-

wia pozwolą znaleźć rozwiązania, które skompensują skutki nowych okoliczności. Jako państwo mamy zdolności i możliwości, żeby właściwie zareagować. Należy je umiejętnie wykorzystać, pamiętając, że każde rozwiązanie będzie wymagać zwiększenia wydatkowania środków publicznych na leczenie.

Ministerstwo Zdrowia uspokaja, że w szpitalach jest przygotowanych 7 tys. miejsc dla chorych z Ukrainy. Czy to wystarczy? Z drugiej strony są głosy, że powinniśmy zbudować szpitale polowe. Ma to sens na tym etapie, na jakim jesteśmy?

Przy utrzymującej się od ponad tygodnia dynamice działań wojennych na Ukrainie oraz malejącej dobowej liczbie napływających do Polski osób można uznać, że ta liczba miejsc w szpitalach jest aż nadto wystarczająca. Prawdziwym wyzwaniem organizacyjnym i finansowym jest natomiast zapewnienie opieki medycznej przybyłym do Polski uchodźcom. Ich status zdrowotny, okoliczności, w których się znaleźli, powodują, że przynajmniej w początkowym okresie pobytu w Polsce będą wymagać interwencji statystycznie częściej.

Wiele zależy od tego, na ile skutecznie uda się zorganizować pomoc medyczną na poziomie przychodni oraz w jakim stopniu okaże się możliwe udzielenie kompleksowej pomocy bez konieczności udziału szpitali, w tym SOR. Dziś konieczność wykorzystania infrastruktury szpitali tymczasowych jest ograniczona, choć sieć szpitali w takiej formule, jaka od ponad roku funkcjonuje w Wojskowym Instytucie Medycznym, mogła odegrać dużą rolę na wczesnym etapie przyjmowania uchodźców, gdzie kluczowe znaczenie miały rejestracja, określenie statusu zdrowotnego, w tym epidemicznego, oraz przeprowadzenie podstawowych interwencji medycznych.

W pierwszym momencie największym problemem u pacjentów z Ukrainy było wychłodzenie, wyziębienie, infekcje. Jednak obecnie coraz częściej ratunku w Polsce szukają osoby chore przewlekle, które nie mogą kontynuować leczenia na Ukrainie, m.in. chorzy na nowotwory, na choroby rzadkie. Jak zorganizować dla nich leczenie, by system ochrony zdrowia się nie załamał?

To wrażliwa społecznie kwestia, a jednocześnie poważne wyzwanie organizacyjne i finansowe dla naszego systemu ochrony zdrowia. Zastosowanie prostej estymacji pozwala stwierdzić, jaka jest skala potrzeb zdrowotnych ponaddwu-

milionowej rzeszy uchodźców. Jesteśmy w stanie wyjściowo oszacować, jaka część naszych gości będzie wymagała leczenia onkologicznego, terapii chorób rzadkich czy najczęściej występujących chorób przewlekłych, oraz zapewnić na ten cel niezbędne środki finansowe. Kluczem są finanse, ich racjonalne wydatkowanie oraz organizacja opieki. Warto rozważyć stworzenie modelu opieki opartego na centrach pomocy medycznej wydzielonych na terenie powiatów i województw.

Problemem jest to, że w większości przypadków imigranci nie dysponują jakąkolwiek dokumentacją medyczną, fachowo potwierdzoną informacją na temat przebytych zabiegów, procedur diagnostycznych czy przewlekle przyjmowanych leków. Jeśli chcemy, aby pomoc była możliwie kompletna, co ograniczy krążenie pacjenta w systemie, to musimy zadbać, aby możliwie szeroko go zdiagnozować. Podstawą jest pozabawiona barier językowych i kulturowych fachowa komunikacja z chorym, możliwość wykonania badań diagnostycznych potwierdzających wstępne rozpoznanie oraz określenie stopnia zaawansowania choroby.

Jeszcze przed pandemią zmagaliśmy się z problemami często wielomiesięcznych kolejek do specjalistów. Problemy te zwiększyły się jeszcze w wyniku pandemii. Pacjenci obawiają się, że napływ osób z Ukrainy spowoduje, że te kolejki będą jeszcze dłuższe, a koszty pomocy uchodźcom utrudnią np. refundację nowych leków.

Tak jak wspominałem – to kwestia pieniędzy i dobrej organizacji, czyli tego, czego najbardziej potrzebuje dziś nasz system ochrony zdrowia. Nie chodzi tylko o strumień środków finansowych, lecz także o to, by pacjenci mieli dostęp do większej liczby bardziej technologicznie zaawansowanych usług medycznych. Najważniejsze jest dziś dążenie do poprawy wykorzystania zasobów systemu ochrony zdrowia, tu i teraz, czyli na etapie kształtowania się potrzeb zdrowotnych imigrantów.

Laureat Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii Milton Friedman twierdził: „Tylko kryzys może przyczynić się do prawdziwej zmiany”. Doświadczenia kryzysu pandemicznego wskazują kierunki, w których powinny podążać zmiany organizacyjne. Najważniejszym celem jest utrzymanie, a docelowo poprawa dostępności oraz podniesienie jakości udzielanych świadczeń opieki zdrowotnej.

Brak inicjatywy w tym zakresie może powodować poważne perturbacje. Mogą one ujawnić się nie tylko w relacji społeczeństwo – system ochrony zdrowia, lecz także w nowej jej odmianie: społeczeństwo – imigranci.

Obecny kryzys migracyjny powinien wzmacniać nasze przekonanie o konieczności poprawy sposobu funkcjonowania systemu ochrony zdrowia w Polsce. Nie powinniśmy pozwolić zamknąć się w bańce naszych ograniczeń i lęków, tracąc szansę na przeprowadzenie koniecznych reform.

Które reformy trzeba podjąć jak najszybciej?

Powinno się promować – lepszym finansowaniem NFZ – tworzenie konsorcjów złożonych z placówek podstawowej opieki zdrowotnej, ambulatoryjnej opieki specjalistycznej i szpitali. Poprawi to opiekę nad pacjentem, a jednocześnie pozwoli na lepsze wykorzystanie kadr medycznych. Konieczne jest też stworzenie uregulowań dotyczących warunków funkcjonowania publicznych i niepublicznych placówek ochrony zdrowia. Jest pytanie, na ile sprawnie zorganizowane państwo w sytuacjach kryzysowych powinno korzystać z dobrej woli placówek niepublicznych. Czy nie powinno być to określone umowami (i oczywiście finansowane ze środków publicznych)? Nikomu nie służy utrwalanie stereotypu nastawionego na zys segmentu prywatnego i segmentu publicznego, wykonującego najdroższe, często nieopłacalne zabiegi.

Poważnym problemem jest coś, co nazwę rynkowym pozycjonowaniem personelu medycznego i jego centralną pozycją negocyjacyjną. Powoduje to zwiększenie oczekiwań placówek pracowników. Prowadzi to do wzrostu kosztów przeznaczanych na płace i jednocześnie ograniczenie dostępności środków finansowych na realizację usług medycznych. Pokazuje to, jak bardzo krótkowzroczne było (i jest) unikanie rozwiązań – z powodzeniem funkcjonujących np. w Niemczech i Danii – gdzie wymaga się od każdego lekarza deklaracji wyboru, czy pracuje w prywatnej czy publicznej ochronie zdrowia. W ostatnich dwóch latach doświadczyliśmy kryzysów, które odcisnęły się na zdrowiu Polaków, co widać w statystykach liczby nadmiarowych zgonów. Dlatego konieczne są zmiany. Można wiele stracić, jeśli zrezygnujemy z podejmowania często trudnych decyzji.

Aborcja pierwszej potrzeby



Zuzanna Dąbrowska

Nie dach nad głową, ciepły posiłek czy sweter. Według organizacji „antylife” to dostęp do aborcji jest jedną z najważniejszych potrzeb Ukrainek uciekających przed wojną



Osoby przybywające z Ukrainy do Polski mogą potrzebować przerwania ciąży z wielu powodów. Sam konflikt zbrojny może być powodem, dla którego osoby mogą chcieć przerwać ciążę. Do tej pory żyły w kraju, w którym aborcja jest legalna. Mogły przerwać ciążę w ramach systemu ochrony zdrowia do 12. tygodnia. U nas jest inaczej. Chcemy, żeby osoby przybywające z Ukrainy wiedziały, że pomimo polskiego restrykcyjnego prawa antyaborcyjnego mogą na nas liczyć – tak Aborcyjni Dream Team (ADT), czyli jedna z najbardziej radykalnych organizacji pro-aborcyjnych w Polsce, wyjaśnia, dlaczego postanowiła ułatwić Ukrainkom dostęp do aborcji. – Zmuszanie kogoś do kontynuacji ciąży i porodu to przemoc [...]. Trzeciego dnia konfliktu zbrojnego Women Help Women przetłumaczyła swoje protokoły zażywania tabletek aborcyjnych na język ukraiński i rosyjski. Średnio pięć osób dziennie mówiących w języku ukraińskim kontaktuje się z nami i szuka pomocy w przerwaniu ciąży – chwali się Natalia Broniarczyk z ADT.

Numery kontaktowe i instrukcja dotycząca „bezpiecznej” aborcji w języku ukraińskim są ukazane jako artykuły pierwszej potrzeby dla kobiet, które zostawiły za sobą całe dotychczasowe, niejednokrotnie szczęśliwe i dostatnie życie (i liczą się z tym, że być może już nigdy nie zobaczą swojego domu ani męża). Jak celnie skomentowała wpis ADT jedna z internutek, organizacja chce wpędzić uchodźczynię z jednej traumy w drugą. Z traumy wojny, śmierci, zrujnowanego życia w syndrom poaborcyjny – lęk, poczucie straty i depresję. Oczywiście istnienie tego syndromu aborcjoniści nie tylko przemilczają, lecz także wręcz negują. Byłby przecież zaprzeczeniem forsowanej narracji na temat aborcji, która to rzekomo jest najbardziej fantastyczną i uwalniającą rzeczą, jakiej może doświadczyć kobieta.

MANIPULACJA Z GWAŁTEM

Aktywistki próbują przekonywać, że aborcja jest niezbędna, bo przecież gwałty, a co za tym idzie – niechciane

ciążę to nieodłączna część każdej wojny. Powtarzają te same co zawsze nieprawdziwe stwierdzenia o tym, że w Polsce aborcja jest nielegalna. To może warto przypomnieć po raz kolejny: aborcja jest nad Wisłą zgodna z prawem w dwóch przypadkach – gdy ciąża zagraża życiu matki lub gdy jest wynikiem czynu zabronionego, a więc gwałtu właśnie. Jednak podawanie faktów psułoby narrację o „katofaszystowskim Trybunale Julii Przyłębskiej, który nienawidzi kobiet”. Jednocześnie ADT przekonuje, że przecież skoro na Ukrainie prawo aborcyjne jest bardziej liberalne niż w Polsce, to naszym obowiązkiem jest zapewnienie Ukrainkom takich samych warunków, na jakie mogły liczyć w swoim kraju. To z kolei jest absurd z gatunku tych, które mogą głosić tylko osoby pozbawione przez ideologiczne skrzywienie jakiegokolwiek zdolności logicznego rozumowania. Polska nie jest zobowiązana dać uchodźcom tego, co rozbójniczą napaścią odebrała im Rosja. Dajemy im poczucie bezpieczeństwa, dom, legalny pobyt

i prawo do pracy. Wszystko to, czego potrzebują. Niejednokrotnie nawet więcej.

Na marginesie warto zadać retoryczne pytanie: Jak według działaczy „antylife” ułatwianie aborcji ma pomóc narodowi ukraińskiemu w odbudowie swojego państwa i – pisząc wprost – jego tkanki biologicznej, gdy wojna już się skończy? Jeśli wojna oznacza śmierć, to czy aborcja nie jest jednym z jej odcieni? Każde ukraińskie życie jest teraz na wagę złota. Każde dziecko jest nadzieją dla Ukrainy.

Działaczkom pokroju Broniarczyk wtórują m.in. „Wysokie Obcasy”, roszczące sobie prawo do bycia głosem nowoczesnych, samoświadomych kobiet. „Wsparcie jest potrzebne. Na każdym polu, także praw reprodukcyjnych” – przekonuje dodatek do „Gazety Wyborczej”, zachwalając działalność ADT. Nie jest zaskoczeniem, że medialny mainstream opisuje aborcję propagandę wśród uchodźczyń jako coś godnego pochwały. Prym wiodą wszelkiej maści portale i serwisy zajmujące się tematyką „kobieca” i lifestyle’ową.

Dream Team od zabijania dzieci to niejedyna organizacja, która propaguje aborcję. Amnesty International wzywa europejskich decydentów „do podjęcia skutecznych działań [...] w celu zaspokojenia potrzeb w zakresie zdrowia seksualnego i reprodukcyjnego kobiet”. W mediach społecznościowych opublikowany został też apel Wielkiej Koalicji za Równością i Wyborem do Ministerstwa Zdrowia. „Apelujemy o wprowadzenie wytycznych, które umożliwią placówkom medycznym przyjmowanie i bezpłatne leczenie wszystkich osób uciekających przed wojną, także tych bez paszportu ukraińskiego. Oczekujemy, że poradnie ginekologiczne będą przyjmować uchodźczynie bezpłatnie i bez wyjątku. Domagamy się poszanowania ich godności i podążania za pacjentkami. Jeżeli zdecydują o zakończeniu ciąży, to oczekujemy, że ginekolodzy i ginekolożki będą je wspierać w terminacji” – czytamy w stanowisku, które – jak chwępi się Koalicja – poparło 188 organizacji z całej Polski. Na szczęście z niemal stuprocentową pewnością można zakładać, że resort zdrowia pozostawi ten apel bez odpowiedzi.

KONTRA KAJ GODEK

Reakcją na aktywność aborcjonistów jest inicjatywa Fundacji Życie i Rodzina, której szefową jest najbardziej znana polska proliferka Kaja Godek. Uruchomiono

akcję informacyjną wśród Ukrainek. Fundacja przygotowała ulotkę pt. „Polska chroni życie” w dwóch językach – po polsku i po ukraińsku. Broszurę można pobrać ze strony internetowej organizacji, która zachęca, aby kolportować ją wśród Ukrainek przybywających do Polski. W ulotce czytamy m.in., aby zgłaszać organom ścigania sytuacje, w których ktoś próbuje nakłonić kobietę do aborcji. „Wśród osób uciekających z ogarniętej wojną Ukrainy są również kobiety w ciąży. Organizacje proaborcyjne potraktowały tę sytuację jako okazję, by zabić jeszcze więcej dzieci!” – przekonuje Życie i Rodzina. I twierdzi, że Aborcjiny Dream Team „oferując pomoc w zabijaniu ukraińskich dzieci, żeruje na ofiarach wojny”.

Mediom lewicowo-liberalnym nie spodobało się, że w ulotce umieszczono fotografie abortowanych dzieci, bo to dla uciekinierów wojennych zbyt trudny i traumatyczny widok. Po części można się zgodzić. I nie dlatego, że pokazywanie brutalnej prawdy o aborcji jest z zasady czymś złym (bo prawda jest prawdą, na-

dzieci ciężko chore, w tym także niepełnosprawne lub z chorobami nowotworowymi. Fundacja Małych Stópek ks. Tomasza Kancelarczyka ze Szczecina niemal każdego dnia informuje o nowych inicjatywach – dostarczanie leków dla noworodków z oddziału neonatologii ze Szpitala św. Mikołaja we Lwowie czy zbiórka i transport środków higienicznych do Koszalina dla ukraińskich niepełnosprawnych z domu dziecka to tylko część z działań. Tego samego, co piszę ze smutkiem, nie z satysfakcją, po stronie aborcyjnej po prostu nie ma.

POMOC DLA MATEK

Wygląda na to, że wojna nie skończy się szybko. Każdego dnia w wyniku rosyjskich ataków giną dzieci, kobiety i starcy. Ci, którym udało się uciec do Polski, spotykają się z ogromną serdecznością. I to jest jasna, napawająca nadzieją strona wojennego dramatu, o której warto mówić.

W połowie marca stołeczny ratusz poinformował, że w miejskich szpitalach na świat przyszło już 13 dzieci Ukrainek, które w Polsce znalazły bezpieczne schronienie (liczba ta z pewnością będzie rosła). Warszawa przygotowuje pokoje dla matek z noworodkami, którym trzeba zapewnić lepsze warunki pobytu. Ukraińskie dzieci są zapisywane do polskich szkół, które tworzą dla nich jak najbardziej komfortowe warunki edukacji. W sieci można znaleźć sporo nagrań ukazujących uśmiech maluchów, które po otrzymaniu od polskich wolontariuszy czekoladek i pluszaków nie są w stanie ukryć dziecięcej radości – mimo że są na obcej ziemi, wśród obcych ludzi. Służby, wolontariusze i zwykli Polacy robią wiele, aby najbardziej niewinne ofiary wojny mogły choć na chwilę oddać się beztrosce, która jest prawem każdego dziecka. Ukrainki wiedzą też, że w Polsce, ze strony Polek, czeka dla nich nie tylko oferta pomocy w dokonaniu aborcji. Do rangi symbolu urosły wózki dziecięce pozostawiane na dworcach, które uchodźcy mogą wziąć za darmo.

Resort rodziny poinformował, że rząd otoczył opieką socjalną kobiety z dziećmi – Ukrainkom, tak jak Polkom, przysługujące świadczenie „500+” czy Rodzinny Kapitał Opiekuńczy. Polska i Polacy stają dziś na wysokości zadania. W przeciwieństwie do zacierzewanego aborcjonistów spod znaku błyskawicy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Reakcją na aktywność aborcjonistów jest inicjatywa Fundacji Życie i Rodzina, której szefową jest najbardziej znana polska proliferka Kaja Godek

wet jeśli burzy nasze poczucie estetyki), ale dlatego, że jest mniej skuteczne niż ukazywanie piękna i radości płynących z macierzyństwa. Świat prędzej zrozumie, że osoby z zespołem Downa mają takie samo prawo do życia jak każda zdrowa osoba, jeśli zobaczy, że chorzy też kochają, mają pasje, mogą pracować i budować pełne ciepła relacje. Matkę zastanawiającą się nad aborcją łatwiej zachęcać do rezygnacji z tego pomysłu, zapewniając, że otrzyma pomoc, a dziecko będzie jej największą miłością.

Trzeba zaznaczyć, że środowisko pro-life nie pozostaje głuche na potrzeby uchodźców, szczególnie matek. Zarząd Polskiego Stowarzyszenia Obrońców Życia Ludzkiego postanowił przeznaczyć środki pieniężne dla tych rodzin, które mają dzieci na utrzymaniu. Fundacja Chorego Dziecka stara się wesprzeć



Agnieszka Niewińska

Lekarze, pielęgniarki, graficzki czy zdobniczki bolesławieckiej ceramiki – niektórzy spośród uchodźców z Ukrainy już układają sobie życie zawodowe w Polsce. Czy dla wszystkich znajdzie się zajęcie?

Zaczęłam od 28 marca, a mogłam i wcześniej, tylko nie miałam jeszcze wszystkich dokumentów – opowiada pani Oksana. Do Polski przyjechała w połowie marca ze Lwowa. Zdecydowała się na wyjazd po pierwszych intensywnych bombardowaniach niedaleko miasta. Zabrała synową i niespełna trzyletniego wnuka. Jest dyplomowaną farmaceutką, ale od kilku lat nie pracowała już w zawodzie. Po przyjeździe do Polski dzięki goszczącej ją rodzinie szybko znalazła pracę w aptece. Na razie będzie się przyuczać, wykonywać pomocnicze prace i pełnić funkcję tłumacza przy obsłudze odwiedzających aptekę rodaków. Liczy, że z czasem uda się jej uzyskać polskie uprawnienia do wykonywania wyuczonego zawodu.

Podstawy polskiego już zna, bo przed pandemią pracowała w naszym kraju dorywczo. – Kierownik apteki myśli o otwarciu jednego ukraińskojęzycznego stanowiska, które mogłabym obsługiwać – mówi pani Oksana. – Bardzo się cieszę. Nasza sytuacja idzie ku lepszemu, oby gorzej już nie było – wzdycha z nadzieją.

ŻŁOBEK, PRZEDSZKOLE, GASTRONOMIA

Jedni przybysze zza naszej wschodniej granicy pracę już znaleźli, inni wciąż jej poszukują. Ogłoszenia się mnożą. O pracę pytają głównie panie, bo to one wraz z dziećmi uciekały przed wojną. „Mówiąca płynnie po polsku Ukrainka, mama ośmiomiesięcznego synka chętnie podejmie pracę jako pomoc w żłobku”; „30-letnia Oksana poszukuje pracy jako nauczycielka j. angielskiego lub japońskiego. Przedszkole lub początkowe nauczanie”; „Kucharz, pomoc kucharza, dla 20-letniej Ukrainki, która kilka dni temu uciekła z Kijowa do Warszawy. Ola w tym roku skończyła technikum gastrono-



Ukraińcy chcą pracować

miczne”. To tylko kilka z tysięcy ogłoszeń z serwisów ogłoszeniowych i portali społecznościowych. Czy wystarczy posad dla przybywających z Ukrainy?

– Realnie nasz rynek pracy jest w stanie w ciągu sześciu miesięcy wchłonać ok. 0,5 mln pracowników, a kolejne 200 tys. na dalszym etapie. Stąd w sumie 700 tys. osób jest w stanie znaleźć u nas nie tylko schronienie, lecz także pracę – ocenił Krzysztof Ingłot, założyciel firmy Personnel Service i przewodniczący Platformy HR Pracodawców RP.

Agnieszka Haponik z agencji zatrudnienia LeasingTeam Group jest zdania, że nasz rynek pracy ma wystarczająco dużo wolnych miejsc, by zagospodarować uchodźców z Ukrainy. – Choć według GUS na koniec 2021 r. dostępnych było niecałe 150 tys. wolnych etatów, to naszym zdaniem to niedoszacowane dane i ta liczba powinna wynosić 500–600 tys., a za chwilę być jeszcze większa, gdyż pojawiają się oferty sezonowe. Choć uchodźców już teraz napłynęło do nas więcej, pamiętajmy, że część z nich przemieści się dalej na Zachód, a część z powodów rodzinnych czy zdrowotnych (wieku) nie będzie w stanie podjąć się zatrudnienia. Jedynie mocne spowolnienie gospodarcze spo-

wodowane przedłużającą się wojną może zastopować rozwój rynku pracy – zauważa Agnieszka Haponik.

Zwraca uwagę, że uchodźcy, którzy przyjechali do Polski, to w dużej mierze osoby wykształcone, z klasy średniej, które miały dobrą, stabilną pracę. – Będąc w Polsce, chcieliby żyć na podobnej stopie, dążą zatem do tego, by jak najszybciej się usamodzielnąć i znaleźć zatrudnienie. To nie są ludzie, którzy chcą przeczekać wojnę, będąc na zasiłku. Nie do tego są przyzwyczajeni – mówi Haponik. – Zapotrzebowanie na polskim rynku pracy jest ogromne. Z dużymi niedoborami boryka się branża medyczna. Obecnie Ukrainki mogą pracować głównie na stanowiskach asystenckich, ale rząd pracuje nad uproszczeniem procedur, tak by już niedługo mogły zajmować stanowiska lekarzy czy pielęgniarek. Na dużą skalę poszukiwane są opiekunki w żłobkach i przedszkolach, nauczyciele oraz opiekunki osób starszych. Coraz częściej pojawiają się oferty na obsługę klienta w języku ukraińskim. Ze względu na to, że do Polski przyjechało wielu obywateli Ukrainy, firmy zaczynają proponować obsługę w ich języku. Ukraińcy mogą też liczyć na pracę w centrach usług wspólnych (shared services), które



lecz także chociażby lekarze czy pielęgniarki poszukiwani przez szpitale czy przychodnie. W tych zawodach także potrzebne będą nostryfikacja dyplomu, egzamin zawodowy albo przejście przez procedurę uznania kwalifikacji do wykonywania zawodu lekarza. Bezpłatne wsparcie w załatwieniu formalności zadeklarowało obywatelom Ukrainy wielu prawników i kancelarii. Uniwersytecki Szpital Kliniczny w Białymstoku już ogłosił, że zatrudni lekarzy i pielęgniarki z Ukrainy i zakwateruje ich w mieszkaniach pracowniczych.

– Zainteresowanie jest bardzo duże – informuje nas Katarzyna Malinowska-Olczyk, rzecznik prasowy USK w Białymstoku. – Do tej pory wydaliśmy już promesy zatrudnienia dla kilku lekarzy i dwóch pielęgniarek. – Teraz te osoby muszą pojechać do Ministerstwa Zdrowia, a następnie udać się do izb lekarskich i pielęgniarskich. Dopiero po otrzymaniu warunkowych praw wykonywania zawodu będą mogły rozpocząć pracę w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym. Zachęcamy je, by czas oczekiwania wykorzystały na naukę języka polskiego – dodaje rzeczniczka białostockiego szpitala.

Perspektywy na pracę w zawodzie mają panie z Ukrainy z doświadczeniem w branży beauty. Chętnie zatrudniają je salony manikiuru, gabinety kosmetyczne. Potencjalni pracodawcy wysoko cenią ich umiejętności. Pani Marta prowadzi salon fryzjerski Warsztat Piękna w Książenicach, niespełna 30 km od Warszawy. Myśli o podjęciu współpracy z fryzjerką, która uciekła przed wojną z Żytomierza. Jej dom został zbombardowany. – Natalia miała własny, duży salon fryzjerski. Sprawdziłam jej umiejętności i mogę powiedzieć, że jest mistrzynią. Potrafi zrobić fenomenalne koki i upięcia, świetnie kładzie farbę. Niejeden renomowany warszawski salon fryzjerski mógłby jej pozazdrościć umiejętności. Ma też doświadczenie w szkoleniu fryzjerów – mówi pani Marta. – Jestem otwarta na taką współpracę, ale pozostają do rozwiązania kwestie formalne, załatwienie PESEL-u, kwestia płacy. Polski Ład to duże obciążenie dla pracodawców, muszę rozważyć, czy temu podołamy, czy w tym niespokojnym czasie wciąż przychodzić będą do nas klienci. Także Natalia musi rozważyć, czy zostanie w naszym mieście, czy uda się jej znaleźć mieszkanie. Na razie widzę jej przera-

żenie. Przyjechała z Żytomierza z jedną reklamówką. Uciekła z córką, siostrą i siostrzeńcem. Jej mąż został w Kijowie. Pewna jest tylko tego, że chce podjąć pracę i być niezależna – podkreśla właścicielka Warsztatu Piękna.

DLA MANUALNIE UZDOLNIONYCH

Na osoby uzdolnione manualnie czeka praca przy bolesławieckiej ceramice. Manufaktura Bolesławiec jeszcze przed wojną na Ukrainie chętnie sięgała po pracowników z tego kraju. Teraz przedsiębiorstwo zatrudniło już pierwszych uchodźców. – Chcemy dalej zatrudniać Ukraińców, pomóc im w obecnej sytuacji poprzez pracę. Chcemy, żeby mogli spokojnie pracować i zapewnić swojej rodzinie byt – mówił Paweł Zwierz, prezes fabryki Manufaktura Bolesławiec, dolnośląskiej rozgłośni Muzyczne Radio. – Najchętniej zatrudniamy na stanowisku zdobnik ceramiki, ponieważ mamy tu największe potrzeby. Pracuje u nas 80 kobiet i potrzebujemy ich więcej. Mamy dużo zamówień z całego świata i nie możemy wyrobić się z produkcją. Każda osoba, która ma zdolności manualne, jest mile widziana w naszym zakładzie – zapraszał Zwierz.

Agnieszka Haponik z LeasingTeam przyznaje, że choć od ok. tygodnia zainteresowanie pracą wśród przybyłych Ukraińek zdecydowanie wzrosło, to ocenia, że taka sytuacja nie będzie trwała długo. – Kobiety z Ukrainy, gdy znajdą dzieciom miejsca w szkołach i przedszkolach, nie będą skłonne do zmiany miejsca pracy i zamieszkania, nawet jeśli zaproponujemy im nieco wyższą stawkę godzinową. One cenią sobie bezpieczeństwo i stabilność. Jeśli firmy poszukują pracowników, to teraz jest najlepszy czas na rekrutację. Widzimy zresztą, że duże firmy już się zaangażowały w poszukiwanie pracowników. W tym celu pomagają Ukrainkom w znalezieniu przedszkola czy szkoły dla dzieci, a nawet tworzą w firmach punkty opieki dla pociech. Są też firmy, które decydują się na organizowanie lekcji polskiego dla nowo zatrudnionych pracowników z Ukrainy – mówi.

Pani Oksana, która zaczęła przed tygodniem pracę w aptece, ma nadzieję na to, że wojna się niebawem skończy. – Moja synowa i wnuczek wrócą na Ukrainę, jak tylko to będzie możliwe. A ja? Jeśli sprawdzę się w pracy i będzie taka możliwość, to chyba zostanę. Już myślę o kursie języka, żeby się trochę poprawić.

potrzebują np. pracowników do wprowadzania danych liczbowych. Wykonując taką pracę, wystarczy podstawowa znajomość języka polskiego lub angielskiego. Firmy wychodzą też naprzeciw pracownikom z Ukrainy, budując zespoły polsko-ukraińskie czy łącząc pracowników dopiero co przybyłych z tymi, którzy w Polsce są już od dawna i dobrze porozumiewają się po polsku. Z zatrudnieniem nie powinni mieć problemu pracownicy branży IT czy designu. Są poszukiwani m.in. przez agencje reklamowe i kreatywne czy software house'y. W tych branżach jest duże zapotrzebowanie na pracowników i najczęściej wystarczy znajomość języka angielskiego. Zresztą część firm od dłuższego czasu współpracuje już z pracownikami mieszkającymi na Ukrainie – nie jest to nowość na rynku. Poza tymi branżami dostępne są także oferty pracy w produkcji, logistyce, gastronomii, hotelarstwie, stanowiska przy kompletowaniu wysyłek w firmach e-commerce czy inne prace fizyczne – wylicza przedstawicielka LeasingTeam.

UPIĘCIA I KOKI

Na polskim rynku pracy odnaleźć się mogą nie tylko dyplomowani farmaceuci,

Wielki unik



Piotr Gociek

„CODA” wygrywa, „Psie pazury” przegrywają, a na scenie jeden aktor policzkuje drugiego. Co właściwie wydarzyło się podczas tegorocznych Oscarów?

Jeśli najszerzej komentowanym wydarzeniem oscarowej gali jest nie werdykt jury, tylko eksces prowadzącego i jednego z laureatów, to nastały złe czasy w długich dziejach najszynniejszej nagrody świata filmowego. Chris Rock ryzykownie zażartował z żony Willa Smitha, Will Smith dał po pysku Chrisowi Rockowi. Następnego dnia przeprosił, ale niesmak pozostał. Ani jeden, ani drugi nie zaskarbili sobie chyba sympatii widzów. Widzów, których zresztą z każdym rokiem jest coraz mniej, tak jak coraz mniej w werdyktach Akademii Filmowej jest pewności, że wskazuje nam filmy najlepsze, coraz więcej zaś politycznych kalkulacji.

Zabawna rzecz – tak czy inaczej tegoroczne Oscary będą kojarzyć się ze skandalem, choć Akademia swoimi wyborami czyniła wszystko, by skandalu nie było. Tak odczytuję decyzję o zignorowaniu filmu „Psie pazury” Jane Campion, który nominowany był w 12 kategoriach, otrzymał zaś tylko jedną statuetkę (dla Campion za reżyserię – fakt, że jest to jedna z dwóch najważniejszych statuetek). – Sam fakt nominacji nie oznacza jeszcze, że zasługujesz na Oscara – tłumaczył mi kiedyś Morgan Freeman w Warszawie, gdy promował film „Podejrzany” Stephena Hopkinsa. Ktoś inny dopowie (słusznie), że często taki los spotyka zdecydowanych oscarowych faworytów, gdy wysforują się



na czoło wyścigu zbyt wcześnie. A pochwały pod adresem „Psiich pazurów” płynęły przecież od kilku miesięcy.

Myślę jednak, że wytłumaczenie leży gdzieś indziej, że trzeba spróbować wniknąć głębiej za kuliszy tegorocznej gali, to znaczy podjąć próbę zdekodowania procesów zachodzących w zbiorowym umyśle-ulu, w który zamieniają się głowy tysięcy członków Akademii Filmowej, gdy przychodzi do wypełniania kart do głosowania i zliczania (powiem wprost: uśredniania) wyników. Aby zrozumieć to, co wydarzyło się w Hollywood tydzień temu, musimy zacząć od filmu, który wygrał, zwycięży tyłem zaskakującego, co hojnie nagrodzonego. „CODA” w reżyserii Sian Heder otrzymała aż trzy Oscary, wygrywając każdą kategorię, w której była nominowana – rzadka sztuka!

SIŁA CZY SŁABOŚĆ HOLLYWOOD

„CODA” wchodzi do historii jako pierwszy w dziejach obraz nagrodzony Oscarem dla najlepszego filmu wyprodukowanego przez serwis streamingowy (Apple TV+). To dobry film, nie przeczę, nawet bardzo dobry, nie sądzę jednak, by był lepszy niż „Psie pazury” czy „Belfast”. W dodatku jest to amerykańska wersja hitu francuskiego z 2014 r. „Rozumiemy się bez słów” („La Famille Bélier”). Tak, wiem, Scorsese też został nagrodzony za przeróbkę kry-

minału z Hongkongu, jednak każdy taki przypadek sprawia, że warto zapytać, czy to wyraz siły czy słabości Hollywood? Słabością jest zerowanie na cudzych sukcesach (bo sugeruje brak własnych dobrych pomysłów). Z siłą mielibyśmy do czynienia, gdyby przyjął interpretację, że oto Amerykanie po raz kolejny pokazują, że wszystko potrafią zrobić lepiej – także francusko-belgijskie dramaty.

Mam inne wytłumaczenie. Główna nagroda dla „CODY” jest dla mnie efektem uniku wykonanego przez członków Akademii Filmowej, zejścia z linii strzału i próby uniknięcia ostrych kontrowersji. Film Sian Heder to opowieść ciepła, ładnie zagrana, rodzinna, kiedy trzeba – zabawna, kiedy indziej wyciskająca łzy. Historia utalentowanej dziewczyny marzącej o karierze wokalne, podczas gdy w domu trzyma ją głuchoniema rodzina (Ruby grana przez Emilie Jones jest dla nich główną podporą i najważniejszym kontaktem ze światem). Nagroda dla „CODY” to nagroda bezpieczna, nikt się nie przyczepi, nikt nie będzie protestował, film jest dobry, przesłanie krzepiące, a dodatku laury wpisują się w linię afirmacyjną, czyli hasło „doceniajcie filmy o mniejszościach” (tu: niepełnosprawnych).

Ciekawsze pytanie brzmi: Dlaczego trzeba było taki unik wykonać? Czemu nagle osłabły szanse „Psiich pazurów”?



Kadr z filmu „CODA” FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Dlaczego „Belfast” Kennetha Branagha mimo siedmiu nominacji dostał tylko Oscara za scenariusz? Zaczę od końca – w stawce mieliśmy też filmy idealnie skrojone pod nowe mody afirmacyjne. „King Richard: Zwycięska rodzina” o rodzinie tenisistek siostr Williams czy uwrażliwiona rasowo nowa wersja musicalu „West Side Story”. Ale to filmy przeciętne (ten Spielberga nawet zwyczajnie słaby), więc obciachem i skandalem byłoby ich wyróżnianie w kategoriach film i reżyseria. Zauważmy jednak, że na obydwie produkcje zwrócono uwagę nagrodami w kategoriach aktorskich (Will Smith za rolę główną w „King Richard: Zwycięska rodzina” Ariana DeBose za rolę drugoplanową w „West Side Story”). Co do „Belfastu” Branagha – Akademia stara się trzymać z dala od konfliktów religijnych, a ten wątek był ważny w tym dramacie o wonie domowej w Irlandii Północnej, myślę też, że mogło chodzić o uniknięcie zarzutów, że docenia się nadmiernie filmy o – używając frazeologii BLM – „wewnętrznych sprawach białej rasy”.

TAJEMNICA „PSICH PAZURÓW”

Jeszcze kilka uwag gwoili kronikarskiego obowiązk: „Drive My Car” nie podzieliło sukcesu „Parasite”, bo to film trudniejszy, ale wygrało w kategorii najlepszy film

nieanglojęzyczny. Zgodnie z oczekiwaniami. Podobnie się stało, jeśli chodzi o grad nagród dla „Diuny” za stronę dźwiękową i wizualną. No i wreszcie, znów zgodnie z przewidywaniami, największym tegorocznym przegranym jest Paul Thomas Anderson i jego bardzo dobry film „Licorice Pizza”, skrzywdzony i przy nominacjach (ledwie trzy), i podczas dzielenia nagród (żadnego Oscara).

A co z tajemnicą „Psich pazurów”? Jak to możliwe, że film, w którym aktorzy wykonali fenomenalną robotę, w większości bijąc na głowę konkurentów z innych filmów, stracił pole position? Film stanowiący ekranizację powszechnie szanowanej amerykańskiej powieści?

Znajduję trzy wytłumaczenia. Dwa związane są z domniemanym atakiem na amerykańskie świeckie świętości. Weteran i ikona współczesnego westernu Sam Elliot publicznie podzielił się swoim oburzeniem związanym z filmem Campiona. Głośno powiedział to, co myśli zapewne wielu członków Akademii Filmowej – ciała wciąż mocno konserwatywnego, z przewagą białych weteranów przemysłu filmowego. Otóż wedle Elliota „Psie pazury” to nieudana podróbka westernu, czyli Wielkiego Amerykańskiego Gatunku (może i jedyne Wielkiego Amerykańskiego Gatunku). Cóż to za western – narzekał aktor – który kręcony jest w Nowej Zelandii w krajoobra-

zach w niczym nieprzypominających amerykańskiego pogranicza? Z bohaterami, którzy zdaniem Elliota nie mają pojęcia, jak zachowuje się i ubiera prawdziwy kowboj. No i wreszcie fabuła, rozterki bohaterów, wybory moralne – wszystko to nie ma nic wspólnego z westernem. Kpina! (Włoskie filmy o Dzikim Zachodzie zwano spaghetti westernami. Jak zatem nazwać podobne dzieło z Nowej Zelandii? Może sheep western?). Oczywiście Sam Elliot nie rozumie, że właśnie to, co czyni z „Psich pazurów” „nieudany western”, sprawia jednocześnie, że jest to wielkie kino. Cóż.

Druga świecka świętość współczesnego Hollywood – i tu wkraczamy na kruchy lód – to to, jak ukazany został w filmie Campiona homoseksualny bohater. Zauważmy, że tak naprawdę od paru dekad dozwolone, a nawet pożądane są trzy wersje takiej postaci. Po pierwsze, ofiara prześladowań ze strony opresyjnych rodziców, konserwatywnych polityków i wstrętnych księży. Po drugie, postać tragiczna w kontekście epidemii AIDS. Po trzecie – jeśli już nie ofiara, to postać glamour, ciekawsza, barwniejsza, w pełni ludzka, w odróżnieniu od reszty ciemnego, wstecznego, heteroseksualnego i nietolerancyjnego społeczeństwa.

Phil Burbank z „Psich pazurów”, zagrany rewelacyjnie przez Benedicta Cumberbatcha, nie pasuje do żadnej z tych kategorii. Co gorsza, choć jest postacią tragiczną, to jednocześnie jest bohaterem okrutnym. Potworem cierpiącym męki z powodu braku miłości. Obiekt jego erotycznej fascynacji, młody Peter Gordon (znakomity Kodi Smit-McPhee), także wyłamuje się ze schematów i także okazuje się bohaterem mocno niejednoznacznym. Znów to, co jest siłą opowieści Campiona, zamienia się w wielkie ryzyko na ziemiach Hollywood-landu.

A co po trzecie? Chyba już to wyjaśniłem, używając sformułowania „wielkie kino”. Tak, mam film Jane Campiona za dokonanie wybitne. Będzie po latach analizowane w książkach, tak jak analizuje się filmy Roberta Bressona czy Ingmara Bergmana. A Oscary, i w ogóle Hollywood, to nie jest dobre miejsca na celebrowanie wielkiego kina – no, chyba że ktoś stoi nad grobem i odbiera honorową nagrodę pocieszenia w zamian za to, że nigdy wcześniej nie wygrał w corocznych oscarowych zawodach. Jane Campion ma już swoje miejsce w historii kina. Twórcy „CODY”, mimo licznych nagród (nie tylko Oscarów), muszą na swoje dopiero zasłużyć.



FOT. MATERIAŁ PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE



W cieniu pożądania



★★★★★
REŻ. ADRIAN LYNE
„GŁĘBOKA WODA”
 („DEEP WATER”)
USA 2022,
AMAZON PRIME

wyst. Ben Affleck,
Ana de Armas, Tracy
Letts

Któż, jeśli nie weteran Adrian Lyne bardziej nadawał się do wskrzeszenia gatunku, o którym już trochę zapomnieliśmy: thriller erotycznego dla dorosłych? W streamingu królują propozycje dla dzieciaków, young adultów i kidultów, Lyne tymczasem to twórca tak głośnych swego czasu tytułów jak „9 i pół tygodnia”, „Fatalne zauroczenie” czy „Niemoralna propozycja”. W XXI w. nakręcił już tylko jeden film – „Niewierną” (skądinąd remake filmu Chabrola) – teraz powraca. W dobrym stylu, efektownie, budując napięcie lepiej od całej rzeszy młodszych kolegów po fachu. A ukończył, przypomnijmy, w ubiegłym roku lat 80.

„Głęboka woda” (tytuł raczej pretensjonalny) przypomina nie tylko dawne filmy Lyne’a, przywoła także na myśl dobre kino noir, w którym roilo się od dwuznacznych moralnie zachowań, kobiety bywały mocno fatalne, ale mężczyźni jeszcze gorsi – i w dodatku nieodparcie fascynujący. Spójrzmy na punkt wyjścia. Oto małżeństwo ze sporym stażem, Vic i Melinda. Miłości już między nimi nie ma, pozostał układ. Z rozmaitych względów wygodniej jest, jak jest: otwarte związki, w którym pojawiają się kochanki i kochankowie, byle nie przekraczać granic ostentacji i dobrego smaku. Inna sprawa, że w małym miasteczku, w którym mieszkają, i tak wszyscy wiedzą

o sobie wszystko, więc i sytuacja państwa Van Allen nie jest wielkim sekretem. Brak miłości (wiecie, tej wielkiej, szlachetnej, czystej miłości) nie musi jednak oznaczać braku zazdrości, a skoro jest zazdrość, to i pożądanie.

Pewnego dnia Vic mówi jednemu z kochanków żony, że zamordował jego poprzednika. Czy to prawda? W tej akurat sprawie szybko dostajemy nowe informacje. Ale ziarno niepewności zostało już zasiane – gra nieufności i namiętności zaczyna się komplikować. Zgodnie z regułami gatunku zwroty akcji bywają zawsze mocno zaskakujące, acz czasem nieco naciągane. I zgodnie z regułami gatunku jest ich zbyt wiele. Kluczem w takich historiach jest aktorstwo i tu weteran Lyne wygrywa, bo postawił na parę, między którą jest wielka chemia: Ben Affleck i Ana de Armas. Znów wracamy do lekcji z kina noir: wszyscy są tu charyzmatyczni i pociągający, ale nikt nie jest niewinny, bo miłość, kochani, to gra pożądania dla dorosłych. Gra mroczna, brudna, bez reguł. Miłosne ćwierkania ptaszków zostawmy animacjom Disneya. ©©



NOWE SERIALE: „OSTATNIE DNI PTOLEMEUSZA GREYA”

Ekranizacja prozy Waltera Mosleya, najlepszego z afroamerykańskich twórców kryminałów (znany w Polsce m.in. z powieści „Śmierć w błękitnej sukience” i „Czerwona śmierć”). Sędziwy Ptolemeusz, samotnik dotknięty demencją, korzystając z jednego z ostatnich darów losu (czasowa poprawa pamięci), próbuje rozwiązać zagadkę śmierci

siostrzeńca i poznać kilka innych tajemnic z przeszłości. Wybitna rola Samuela L. Jacksona. Polski przekład powieści pojawi się w księgarniach od 5 kwietnia (nakładem wydawnictwa Replika). ©© **Piotr Gociek**
• **Miniseria „Ostatnie dni Ptolemeusza Greya” („The Last Days of Ptolemy Grey”), USA 2022, Apple TV+**



NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 1 „**Odwilż**”, Polska 2022 **HBO MAX**
- sezon 2 „**Resident Alien**”, USA 2022 **FOX COMEDY**
- sezon 5 „**Szkoła dla elity**” („**Elite**”), Hiszpania 2022

Miłość i swastyka

KINO

Germańska dekadencja nie zawsze jest w dobrym guście, lecz sprawdza się na ekranie. Zwłaszcza jeśli może się poszczycić literackim rodowodem. Erich Kästner pod naciskiem wydawcy skrócił i ocenzurował własną powieść „Fabian. Historia pewnego moralisty”, usuwając z niej co bardziej pikantne sceny. Reżyser je przywrócił, przez co film trwa bite trzy godziny. Książka nie miała szczęścia. Gdy Hitler został kanclerzem, jej egzemplarze spalono razem z innymi „dziełami zdegenerowanymi”. Czytelnicy, zainteresowani metamorfozą narodu poetów w nację zbrodniarzy, sięgnęli zaś po berlińskie opowiadania Christopha Isherwooda, które posłużyły potem jako surowiec

autorom musicalu „Kabaret”. „Fabian”, choć ukazał się kilka lat wcześniej, takiej kariery nie zrobił, gdyż jest prześląknięty pesymizmem. Na kluczowe pytanie: „Czy świat stać na przyzwoitość?” udziela odpowiedzi negatywnej. Tytułowy bohater, w przeci-



★★★★★

REŻ. DOMINIK GRAF
„FABIAN ALBO ŚWIAT SCHODZI NA PSY” („FABIAN ODER DER GANG VOR DIE HUNDE”) NIEMCY 2021

wyst. Tom Schilling, Saskia Rosendahl, Albert Schuch

wieństwie do swego przyjaciela – politycznego idealisty, woli być kochankiem niż wojownikiem, ale rzeczywistość roku 1931 skrzeczy. Recytowane zza kadru fragmenty prozy Kästnera tudzież czarno-białe zdjęcia z czasów Republiki Weimarskiej sugerują podejście rekonstruktorskie, jednak co i rusz spod warstwy historycznej przebija współczesność. Czyżby dzisiejsze Niemcy również schodziły na psy? ©©

Wiesław Chełmniak

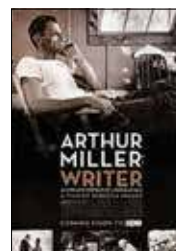


FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W JEGO GŁOWIE

HBOmax

Wiele wskazuje, że Arthur Miller zostanie zapamiętany jedynie jako efemeryczny mąż Marilyn Monroe. A był kiedyś uważany za największego dramaturga XX w. Ludzie oglądali „Śmierć komiwojażera” ze łzami w oczach, a „Czarownice z Salem” otaczała sława politycznego manifestu. Córką (prywatnie żoną aktora Daniela Day-Lewisa) zrozumiał, że nie ma co dłużej zwlekać, wyreżyserowała i wyprodukowała dokument zadający kłam kostycznemu wizerunkowi zmarłego w 2005 r. literata. Większość materiałów pochodzi z domowego archiwum. Miller, zaskakująco wyluzowany, tłumaczy, dlaczego woli tragedię od komedii, narzeka na złe recenzje, przyznaje się do staroświeckich (czytaj: liberalnych) poglądów, małżeńskich porażek i syna, którego po cichu oddał do domu opieki. W autobiografii o tym ostatnim nawet się o tym nie zająknął, więc Rebecca odłożyła swój filmowy hołd ad acta. I to był jej błąd.



★★★★★

REŻ. REBECCA MILLER
„ARTHUR MILLER. PISARZ” („ARTHUR MILLER. WRITER”) USA 2017

PRZEGRYWÓW TRZECH

KINO

Nieudacznik, ulubiona postać polskiej kinematografii XX w., powraca jako bohater zbiorowy. Marcin, Jacek i Albert – przyjaciele od czasów szkolnych – weszli w wiek męski i kłesli. Pierwszy to maminsynek na zasiłku, próbujący zbić fortunę na handlu klapkami. Drugi kradnie psy, by odsprzedać je stęsknionym właścicielom. Trzeci jest zakałą rodziny opierającej egzystencję na programie „500+”. Zaliczywszy wiele bolesnych i kompromitujących wpadek, panowie jednoczą siły, by dokonać skoku stulecia. Tragifarsę, której akcja rozgrywa się między lumpemsem, ogródkami działkowymi i domem weselnym (znowu!), reklamuje hasło: „Ostre jak brzytwa spojrzenie na współczesną Polskę”. Paradoksalnie na ekranie króluje tępota. Wajda – gdyby jeszcze żył – uznałby zapewne, że Jakimów i spółka wiedzą o rodakach coś, czego on sam nie śmiał nawet podejrzewać. ©©



wyst. Sebastian Pawlak, Albert Osik, Dobromir Dymecki

★★★★★

REŻ. SYLWESTER JAKIMOW
„JAKOŚ TO BĘDZIE” POLSKA 2021

recenzuje Wiesław Chełmniak

GRA TYGODNIA: „ASSASSIN'S CREED: VALHALLA – ŚWIT RAGNAROKU”

Trzeci duży dodatek do „AC: Valhalla” to podróż do Svartalfheimu, czyli królestwa krasnoludów. Królestwa przepięknego (landszafty to bardzo mocna strona tego DLC), ale przeżywającego najazd Muspelów, a więc w dużej części zniszczonego i spustoszonego. W środku całego

zamieszania stajemy my, czyli sam Odyn. Pomagamy odeprzeć atak, ale naszym zadaniem jest przede wszystkim uratowanie naszego syna Baldura. Poznajemy przy tym sprawnie nakreślone postacie, fabularnie DLC się broni, choć czasem brakowało mi możliwości wpływu na



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

fabułę za sprawą podejmowanych w grze decyzji. Uwaga: DLC wymaga podstawki i nie wchodzi w skład season pass. ©© **Radosław Wojtas**
• **Gatunek:** Akcja, TPP
• **Platforma:** XSX, XONE, PS5, PS4, PC
• **Producent, dystrybutor:** Ubisoft

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Przypowieść o talentach

Niemal dokładnie w 17. rocznicę śmierci Jana Pawła II nakładem Znaku ukazuje się trzeci tom jego „Dzieł literackich i teatralnych” – „Dramaty. Szkice”, podobnie jak poprzednie, „Juwenuilia (1938–1946)” i „Utwory poetyckie (1946–2003)” wydane w tym samym, wysmakowanym kształcie edytorskim. Tom poprzedzony jest wstępem prof. Jacka Popiela, przewodniczącego Komitetu Naukowego Krytycznego Wydania Dzieł Literackich Karola Wojtyły – Jana Pawła II.

O dramatach Karola Wojtyły nie będę się rozpisywał. Były wielokrotnie wystawiane, znane są także ekranizacje „Brata naszego Boga” (1997) i „Przed sklepem jubilera” (1988). Naturalnie oba te dramaty, jak i trzeci – „Promieniowanie ojcostwa”, opatrzone przypisami i objaśnieniami – znajdziemy w tomie „Dramatów. Szkiców” („Hiob” i „Jeremiasz” weszły w skład „Juwenuiliów”, tak jak pierwsza wersja „Brata naszego Boga”, w której tytułowy „Brat” był jeszcze „Przyjacielem”). To one są tutaj najważniejsze, zwracają jednak uwagę i misteria, i medytacje, jak również, pomieszczony w aneksie, obraz sceniczny „Chrystus Król”, napisany przez 17-letniego Karola Wojtyłę, wystawiony w 1937 r. w Wadowicach z udziałem autora, realizującego swą teatralną pasję zarówno w szkole, jak i w Sodalicii Mariańskiej i w Amatorskim Teatrze Powszechnym u Mieczysława Kotlarczyka, z którym następnie już w Krakowie współtworzyć będzie Teatr Rapsodyczny, a który po tym, gdy powiadomił go o swej decyzji zostania księdzem, powiedział: „Człowieku, co ty robisz? Chcesz zmarnować talent?”.

Znaczenie „Chrystusa Króla” jest istotne ze względu na to, że wadowicki okres biografii jego twórcy – jak pisze prof. Popiel – „szczególnie, gdy chodzi o zainteresowania literacko-teatralne, nadal pełny jest



FOT. ROB. GO

białych plam, stąd odnalezienie i opublikowanie tego tekstu wprowadza nas w świat młodzieńczych religijno-artystycznych zainteresowań przyszłego papieża”.

Jego kulturę literacką ukształtowały lektury wielkich polskich romantyków. Wyspiańskiego, Norwida. Kiedy po latach w 2001 r., w 180. rocznicę urodzin twórcy „Promethidiona”, przyjął w Watykanie delegację Instytutu Dziedzictwa Narodowego z urną zawierającą ziemię z grobu poety we francuskim Montmorency, która trafiła następnie na Wawel, powiedział: „Siła autorytetu, jakim jest Norwid dla »wnuków«, bierze się z krzyża. Jakże wymownie jego scientia crucis odślania się w słowach: »Nie za sobą z krzyżem Zbawiciela, ale za Zbawicielem z krzyżem swoim [...] Ta to jest nareszcie tajemnica ruchu sprawiedliwego...«. Scientia crucis pozwalała Norwidowi oceniać ludzi według tego, czy umieli cierpieć razem ze Zbawicielem, który »korzeniem wszelkiej prawdy jest i był, i będzie«. Słowa, jakimi nasz poeta mówił o wielkości bł. Piusa IX, stanowią jedno z najpiękniejszych świadectw, jakie człowiek może dać człowiekowi: »Jest to wielki XIX-go

wieku człowiek. Umie cierpieć». Znamienne, że według Norwida krzyże powinny być bez postaci Chrystusa, bo wtedy ukazywałyby wyraźniej miejsce, na które ma wejść chrześcijanin. Tylko ci bowiem, w których wnętrzu codziennie rozgrywa się dramat Golgoty, mogą powiedzieć: Krzyż »stał się nam; bramą«”.

Inne ważne wystąpienie papieskie odnoszące się do sfery kultury miało miejsce w 1994 r., podczas odsłonięcia odrestaurowanego fresku Michała Anioła „Sąd Ostateczny”. Tekst homilii wygłoszonej wtedy przez Jana Pawła II w kaplicy Sykstyńskiej odnajdujemy teraz w jego „Dziełach literackich i teatralnych”. Ale najmocniej z tych wszystkich tekstów przemówił do mnie dziś „List do artystów”, słowo papieskie skierowane do ludzi sztuki 4 kwietnia 1999 r. W liście tym przypominał Ojciec Święty: „Artysta w szczególności sposób obcuje z pięknem. W bardzo realnym sensie można powiedzieć, że piękno jest jego powołaniem, zadaniem mu przez Stwórcę, wraz z darem »talentu artystycznego«. Rzecz jasna, także ten talent należy pomnażać, zgodnie z wymową ewangelicznej przypowieści o talentach (por. Mt 25, 14–30).

Tutaj dotykamy samego sedna problemu. Kto dostrzega w sobie tę Bożą iskrę, którą jest powołanie artystyczne – powołanie poety, pisarza, malarza, rzeźbiarza, architekta, muzyka, aktora... – odkrywa zarazem pewną powinność: nie można zmarnować tego talentu, ale trzeba go rozwijać, ażeby nim służyć bliźniemu i całej ludzkości”.

Chciałoby się zapytać wielu mieniących się artystami, komu i czemu dziś służą i na czym im zależy poza osobistymi korzyściami i środowiskowym poklaskiem? Najsmutniejsze, że nie brakuje wśród nich tych, którzy 17 lat temu zapalali znicze na ulicach polskich miast, a teraz z zapalem budują świątynię sztuki bezbożnej. Pustą i wstrętą. ©



★★★★★
JAN PAWEŁ II
„DZIEŁA
LITERACKIE
I TEATRALNE.
TOM III.
DRAMATY.
SZKICE”
ZNAK, KRAKÓW
2022



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Które to piekło

Najnowsza powieść Serhija Żadana to powieść wojenna bez wojny, niesamowita w swej zwyczajności, chwilami odrealniająca opisywany krajobraz, dzięki czemu staje się brutalnie realistyczna. „Internat” ukazał się po polsku w 2019 r., a po ataku Rosji na pełną skalę stał się szybko białym krukiem (rozchwytywany w internetowych księgarniach). Teraz trafia do sprzedaży dodruk. Książka ważna podwójnie – nie tylko dlatego, że to najlepsza powieść w dorobku charkowskiego pisarza (Żadan pozostaje w swym ukochanym mieście w tych trudnych chwilach, niesie pomoc potrzebującym), lecz także dlatego, że jest jednym ze sztanदारowych tytułów nurtu wojenno-donbasowskiego w literaturze ukraińskiej. Pisałem w „Do Rzeczy” o niektórych – wierszach wojennych Borysa Humeniuka czy nie do końca udanej, ale poruszającej powieści „Magnetyzm” Petra Jacenki.

Wojna – przypominał będę do znudzenia – nie zaczęła się dla Ukrainy 24 lutego tego roku, ale w roku 2014, kiedy Rosjanie dokonali zaboru Krymu i rozpoczęli wojnę o Donbas. Tam nie tylko hartowali się armia i ochotnicy nowej Ukrainy, lecz także tam powędrowało serce artystów. Wstrząsający film „Donbas” Siergieja

Łoźnicy był obrazem „nowej normalności” na terenie samowwanych tzw. republik ludowych. „Internat” to odesja przez tamte tereny, ale mocno odmienna w tonie. Łoźnica dał nam czarną groteskę, smutną komedię skrzyżowaną z wielką tragedią. U Żadana trafiamy do współczesnego no man’s landu, do krainy, gdzie „nie ma nic poza brudem i śmiercią”.

Dawny porządek legł w gruzach, nowego nie ma i nie wiadomo, czy kiedykolwiek będzie – tu ktoś grozi bronią, tu straszą świeże zwłoki, tam ktoś kuli się w gruzach. Wędrujący przez piekło Pasza przypomina stalkerów z zony postapo. Nie potrafi nawet wskazać źródła zła – każdy może tu zrobić krzywdę każdemu, w dowolnej chwili, bez powodu. Bo może. Bo wydaje mu się, że powinien. Albo że musi. Albo że nie ma innego wyjścia. Nie ma tu scen szczególnie drastycznych, ale efekt egzystowania w świecie bezsensownej przemocy jest bardziej przerażający

od efektownych opisów hekatomb. Główny bohater zderza się z rzeczywistością, na którą nijak nie jest przygotowany (kto z nas jest?). Wędruje Paszka przez piekło, by odebrać ze szkoły siostrzeńca, i im dłużej idzie, tym mniej rozumie. Aż utraci głos. Czy utraci nadzieję? Doczytajcie do końca. ©©



★★★★★
SERHIJ ŻADAN
„INTERNAT”
WYDAWNICTWO
CZARNE 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Tajemnicza rola losowości w życiu i w rynkowej grze”, czyli książka, od której 20 lat temu zaczęła się wielka światowa kariera amerykańskiego filozofa i ekonomisty, później autora bestsellerów „Antykruchłość” i „Czarny łabędź”.



NASSIM NICHOLAS TALEB
„ZWIEDZENI PRZEZ PRZYPADOK”
ZYSK I S-KA

„Od teorii do zbrodni” – znakomity historyk nie tyle przedstawia historię komunizmu, ile pisze obszerny akt oskarżenia zbrodniczej ideologii, w ujęciu prawnym, politycznym i z długą listą dowodów wziętych z historii.



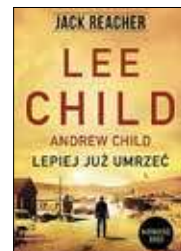
WOJCIECH ROSZKOWSKI
„KOMUNIZM ŚWIATOWY”
BIAŁY KRUK

Nieznam dotąd w Polsce powieść autora „Draculi”. Oryginalnie wydana w 1903 r. jest typowym produktem epoki: mamy tu fascynację starożytnym Egiptem, okultyzm i wątki kryminalne. Książkę kilkakrotnie filmowano.



BRAM STOKER
„KLEYNOT SIEDMIU GWIAZD”
WYDAWNICTWO IX

Jack Reacher po raz 26. W drodze do San Francisco, ale przez Arizone. Przypadkowo napotkana kobieta prosi go o pomoc – szuka zaginionego brata. Tyle że ów braciśzek to niegorszy bandzior. ©©



LEE CHILD, ANDREW CHILD
„LEPIJ JUŻ UMRZEĆ”
ALBATROS

KOMIKS TYGODNIA:

„JEDZENIE/PICIE”

Przykład owocnej współpracy argentyńsko-portugalskiej (Filipe Melo-Juan Cavia) oraz budowania mostów między literaturą a powieścią graniczną. Dwie historie, które powstały na zamówienie pisma literackiego: pierwsza to rzecz o Polaku ze Śląska prowadzącym w hitlerowskim Berlinie restaurację (rzecz inspirowana prawdziwą historią), druga



JUAN CAVIA, FILIPE MELO
„JEDZENIE/PICIE”
MUCHA COMICS
2022

o tajemniczym przybyszu, który przybywa do prowincjonalnej garkuchni, by spełnić życzenie – ale nie swoje. Pierwsza krzepiąca, druga depresyjna – po prostu los człowieka. ©©

poleca Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Błaganie przyszłych sierot

Plenerowy wyciskacz łez. Tytuł wystawy – „Ocal naszego Tatusia! Listy dzieci Żołnierzy Wykolejonych do Bolesława Bieruta” – wyjaśnia wiele. Nie tracimy miejsca, oddajmy głos autorkom dramatycznych listów (pisownia oryginalna).

„Nazywam się Martusia Koba. Pani w szkole mówiła, że Pan Prezydent jest Ojcem wszystkich polskich dzieci i jest bardzo czuły na ich ból i smutek. [...] Wczoraj na rozprawie

pan sędzia powiedział że Tatusz mój jest skazany na śmierć. Panie Prezydencie ratuj mojego Tatusia bardzo gorąco Cię prosimy razem z moim małym bratkiem Wojtusiem”.

„Ja mała Helenka ośmielałam się trudzić Twoją skłopotaną sprawą Państwa głowę moim ogromnym zmartwieniem. Ale wiem, że kochasz dzieci, więc ufam, że się nie pogniewasz na mnie, że mnie wysłuchasz i pomożesz. [...] Nie rozumiem, co to są sprawy polityczne, ale rozumiem, że Tatusz nasz ma zginąć, a my mamy zostać sierotami. [...] Jest jednak Polska, Ta nasza ukochana Ojczyzna, którą Ty Najdostojniejszy Panie przedstawiasz, ona kocha nas najmłodszych obywateli i napewno nie chce nas skrzywdzić”. ©©

GDZIE? Galeria plenerowa Ministerstwa Sprawiedliwości, Al. Ujazdowskie 11
KIEDY? do 10 kwietnia



KOLORY WIELKANOCY

Pisanka i palma wielkanocna to dwa rekwizyty mające szczególne miejsce w obrzędowości świąt Wielkiej. I to właśnie im poświęcona jest wystawa, z którą Muzeum Etnograficzne we Wrocławiu powraca przed Wielkanocą od przeszło pół wieku. Liczba eksponatów nieustająco rośnie, w tym roku wrocławskie muzeum pokazuje ponad 1,2 tys. obiektów. ©©

GDZIE? Muzeum Etnograficzne we Wrocławiu
KIEDY? do 7 kwietnia
(9 kwietnia – kiermasz wielkanocy)



FOT. BIURO KOMUNIKACJI I PROMOCJI MINISTERSTWA SPRAWIEDLIWOŚCI

NA SŁUCH

Śmierć oswojona



GRZEGORZ BRZozowicz

Polskie Znaki, czyli supertrio złożone z Radka Łukasiewicza (Bisz/Radex, Pustki, Artur Rojek), Jarka Ważnego (Kult) oraz Janusza Zdunka (Kult), zmierzyło się w sferze muzycznej z przemianami, ze śmiercią i z żałobą.

Punktem wyjścia do tego projektu były pieśni ludowe zebrane przez Jarka Ważnego, który spędził dziesiątki godzin na rozmowach: „Z pasjonatami tematu z całego kraju; twórcami ludowymi z Zamajszczyzny, Lubelszczyzny i Podkarpacia; wiejskimi kantorami, śpiewakami i śpiewaczkami”. To, co jest tematem tabu w piosenkach popularnej, w tekstach ludowych przewija się od wieków.

Trzech muzyków postanowiło przetworzyć zebrane skarby na język muzycznej alternatywy, nie

tracąc przy tym folkowych korzeni. Udało się! Nagrania posiadają współczesne aranżacje oparte na elektronicznych rytmach, a dzięki wykorzystaniu akustycznych instrumentów zachowują wiejskiego ducha. Co więcej, w nagraniu zupełnie nowe, świetne oblicza pokazali wokaliści niekojarzeni z muzyką etno tacy jak: Sanah, Małyda Damięcka, Michał Szpak czy Vito Bambino. Na szczególnie podkreślenie zasługuje udział w projekcie Marka Lanegana, niedawno zmarłego amerykańskiego artysty

Efekt jest wyniosły. Okazało się, że pieśni śpiewane „a cappella” przez płaczków pogrzebowych brzmią równie poruszająco wykonywane przez muzyków oraz wokalistów i wokalistki, którzy wychowali się w betonowej puszczy. ©©



★★★★★
POLSKIE ZNAKI
„RZECZY
OSTATNIE”
AGORA MUZYKA



★★★★★
MROZU
„ZŁOTE BLOKI”
UNIVERSAL

W tekstach dominuje tęsknota za latami 90., w muzyce słychać echa estrady starszej o dwie dekady. Campowy „dziadziór funk” połączony z energetycznym wokalem wypadają znakomicie (świetny „Poligon”), jednak jak na obecne wyzwania płyta jest miętka w swej wymowie.



★★★★★
**KRZYSZTOF
HERDZIN/ROBERT
MAJEWSKI**
„HEART TO HEART”

Szczerze rozmowy na dwa serca, a głównie fortepian i trąbkę. Szmerząca elektronika, „przeszkadzajki”, pogłosy budują nastrój, w którym łatwo się zatopić. Słychać skandynawski jazzowy ambient, ale i niepokorne bicie Herdzinowego serca. Nocne opowieści o filmowym charakterze. ©©

Spektakl „1.8 M”. Obsada polsko-białoruska, ale nie tylko aktorzy pochodzą tu z różnych światów, języków i tradycji. Przy tej robocie producentki Marina Dashuk i Inna Kavalionak (związane z kulturalnym hubem OK16 z Mińska, obecnie zdewastowanym przez tamtejszy reżim) spotkały się z reżyserem i dramaturgiem Iwanem Wyrupajewem, Rosjaninem od dekad już pracującym w Polsce (może warto w tym miejscu dodać dla uniknięcia nieudomówień: Wyrupajew – autor popularny w Rosji i grany w wielu teatrach, także w tych największych, wprzęgniętych w Putinowską maszynę propagandową – po wybuchu wojny zadeklarował przekazanie wszystkich rosyjskich tantiem na rzecz ukraińskich uchodźców). Miejsca na scenie i w repertuarze użyczył supermodny Nowy Teatr, a więc jednostka warszawskiego magistratu, do budżetu dorzuciły się polskie Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz jeden z francuskich festiwali. Taki to egzotyczny sojusz, w białoruskiej sprawie.

Bo „1.8 M” jest spektaklem stworzonym w pierwszym, potraumatycznym szoku po bezwzględny tłumieniu fali białoruskich protestów. W prosty sposób, w konwencji teatru dokumentalnego, pokazuje, jak dla Białorusinów, którzy mieli odwagę wyjść na ulice, skończył się czas nadziei, od wiosny 2020 r. do wiosny 2021 r. W scenariuszu znalazły się autentyczne zeznania i cytaty z więziennych listów, opatrzone koniecznymi faktograficznymi wtrętami. Ponieważ najwięcej dzieje się w opowieści, w głosie, w języku – nie potrzeba nadmiaru i Wyrupajew słusznie postawił na teatr eliminujący teatralność. Przestrzeń zamyka ogromny ekran, na którym czasem pojawiają się powidoki

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Zaginione w tłumaczeniu



Grzegorz
Kondrasiuk

Dziewczyna obok mnie płakała od początku. Czy mam w takim razie prawo pisać swoją zwyczajną, kolejną recenzję? Pomarudzić? Ocenic – dobre, niedobre przedstawienie?

tamtych protestów, przed nim na podłodze światło odcinające przestrzeń gry. Aktorzy, uruchamiając żywioł opowiadania – najstarszą, archetypiczną formę teatralną – na chwilę wcielają się w kilkanaście postaci. Wątki przenikają się i uzupełniają. Nie ma tu głównych ról, bohaterem jest społeczność – trochę tak jak w reportażach Swiatłany Aleksijewicz, splecionych z wyznani w pierwszej osobie, z historii intymnych, ale i oddających wspólnotę przekonań. Porównanie nieco na wyrost, bo w tych prostych relacjach mało jest kunsztu literackiego, za to bólu – aż nadto. Teatralny standard wzbogaca się tu o dodatkowe piętro: dla jednych jest to spektakl, dla innych – rodzaj zbiorowej terapii, skarga, w której głos należy wyłącznie do ofiar.

Spektakl jest więc, jak to się mówi, podwójnie adresowany: i do publiczności Nowego (wszak empatyzowanie ze wschodnimi sąsiadami jest obecnie na fali), i do warszawskiej białoruskiej czy ukraiń-

skiej diaspory. Każdy mówi we własnym języku. Walentina Sizonenko, Paweł Haradnitski, Palina Dabrawolskaja, Igor Shugaleev, Palina Chabatarova, Oleg Garbuz po białorusku i rosyjsku, a Bartosz Bielenia i Ewelina Pankowska – po polsku, przekładając konsekwentnie i dorzucając komentarze.

Jest to spotkanie dwóch nieprzyległych światów. Po „tamtej” stronie, w „tamtych” językach, śpiewnych, trochę znajomych, ale nie do końca przecież zrozumiałych: relacje z suk i więzień, opowiadania o biciu do nieprzytomności, do śmierci, szok wynikający z nagłego odkrycia natury nagiej przemocy reżimu i z faktu, że biją „swoi”, „nasi”. Ale i wiara w sens tej ofiary krwi: „1.8 M” jest też opowieścią o obudzonej wśród Białorusinów dumie narodowej, o patriotyzmie, wyznawanym tak po prostu, bez tłumaczenia się. Wyraża na przykład ciekawe przekonanie, że na Białorusi terror nie zniszczył, a wzmocnił więzi społecz-

ne. I na końcu – jasno do głosu dochodzi wynikająca właśnie z patriotyzmu nadzieja, że to jeszcze nie koniec tej historii. To po stronie białoruskiej. Bo w polskiej mowie, ustami niezwykle przejętych Sprawą tłumaczy, pojawia się i szczerą chęć informowania, odnotowania zbrodni Łukaszenki, empatyzowania – i absurdalnie w tych warunkach brzmiące infantylne, eufemistyczne ogólniki, w myśli których źródłem przemocy jest jakieś bliżej nieokreślone Zło, wynikające, a jakże, z choroby nacjonalizmu. Nie da się ukryć, coś nam tu zginęło w tłumaczeniu.

Po owacjach i ukłonach nastąpił czas przemówień – to dziś w teatrach właściwie standard. Widownia gromko zareagowała na „Żywie Białoruś!” i „Sława Ukrainie!”. Dziewczyna obok mnie, która dawno już otarła łzy, odpowiedziała odruchowo „Gierojom sława!”. A po wezwaniu „Niech żyje Polska!”, zakrzykniętym przez białoruskiego aktora, na widowni było już znacznie gorzej... Tak czy inaczej – „1.8 M” wpisuję na krótką listę spektakli, które się błyskawicznie i głupio nie zestarzały po 24 lutego. ©

**„1,8 M”
WEDA PROJEKT/FUNDACJA SZTUKI
KREATYWNA PRZESTRZEŃ,
NOWY TEATR W WARSZAWIE
REŻYSERIA: IWAN WYRUPAJEW
PREMIERA: 28 GRUDNIA 2021 R.**



Z prof. Jakubem Politem
z Instytutu Historii UJ
rozmawia Tomasz D. Kolanek

Chiny

– cichy zwycięzca wojny na Ukrainie?

TOMASZ D. KOLANEK: Od początku rosyjskiej inwazji na Ukrainę słyszymy dwie wzajemnie wykluczające się narracje. Pierwsza: Chiny są najwierniejszym sojusznikiem Rosji i wspierają ją w ataku na Ukrainę. Druga: Chiny absolutnie nie wspierają Rosji i są przeciwne jakiegokolwiek wojnie. Jaka jest prawda?

PROF. JAKUB POLIT: Obie wersje mogą być prawdziwe. Jeżeli w pokoju znajduje się tylko jeden ratlerek albo pekińczyk, to jest on zarówno największym, jak

i najmniejszym psem w pomieszczeniu. W tym wypadku sprawa jest równie prosta: Rosja oficjalnie nie posiada żadnych sojuszników, chyba że za jej sojuszników uznamy twory wykreowane przez samą Rosję, takie jak Osetia Południowa czy Abchazja, Republika Doniecka czy Ługańska albo niektóre inne kraje, także nieuznawane na arenie międzynarodowej, jak Naddniestrze. Inny rodzaj rosyjskich „sojuszników” to pewne państwa,

które z Rosją współpracują z musu i tylko w pewnym konkretnym aspekcie polityki międzynarodowej, jak np. Armenia, którą zmusza do tego sąsiedztwo Azerbejdżanu i Turcji.

Niewątpliwie, jeśli chodzi o państwa liczące się w świecie, bo nie warto tutaj wspominać o izolowanym reżimie białoruskim, który bardziej pożąda pomocy rosyjskiej, niż może jej udzielić, to Chiny są najpotężniejszym partnerem – ale właśnie



Natomiast, jeśli mowa o ostatnich 30 latach, czyli o czasie po rozpadzie Związku Sowieckiego, to tutaj rzeczywiście mamy pewien stały kurs. Polega on na tym, że upokorzona Rosja, pozbawiona znacznej części swoich kolonialnych czy też satelitarnych dependencji, przestała być dla Chin niebezpieczna i stała się dla nich swego rodzaju zapleczem surowcowym, wspomóżycielem w zaopatrzeniu w broń i amunicję oraz w inne rozmaite narzędzia zniszczenia. Wymienię tylko lotniskowiec, za pomocą którego Chiny zamierzały rozpocząć budowę swojej floty naprawdę oceanicznej.

Ten kij ma jednak drugi koniec. Mianowicie dzisiejsza Rosja jest skazana na współpracę z Chinami i w tym tandemie rzeczywiście przewagę ma Pekin. Z punktu widzenia historycznych doświadczeń Rosji jest to debiut w takiej roli.

Kim w związku z tym jest Pekin dla Kremla? Dlaczego nazwał go pan partnerem, a nie sojusznikiem?

Jeżeli za sojusznika uważa się kogoś, kto nie tylko głośno mówi pewne zdania dla nas przydatne, lecz także jest państwem, którego interesy są w pewnym przynajmniej stopniu tożsame z naszymi, państwem, wobec którego możemy mieć pewną dozę zaufania, to w przypadku Rosji i Chin należy kolejny raz udzielić odpowiedzi negatywnej. Są to mocarstwa, które wprawdzie potrzebują się na arenie międzynarodowej, ale w ograniczonym zakresie.

Gdybym miał porównać to do jakiegoś przykładu z historii, to przywołałbym stosunki, które łączyły w okresie międzywojennym ZSRS z Niemiecką Republiką zwaną Weimarską. Były to kraje, które miały wspólne cele negatywne, takie jak zwalczanie mocarstw zachodnich, zastraszanie Polski, zwalczanie (do czasu) Ligi Narodów, ale których rzeczywiste cele długofalowe na arenie międzynarodowej były zbyt rozbieżne, żeby mówić o prawdziwej wspólnotocie interesów, a tym bardziej o zaufaniu.

Powiedział pan, że Rosja to przede wszystkim dla Chin zaplecze surowcowe. A czym są Chiny dla Rosji?

Pekin jest w tym wypadku, po pierwsze, silniejszym partnerem, co dla Kremla jest rzeczą głęboko frustrującą i upokarzającą. Właściwie można się zapytać: Dlaczego właśnie zdegradowanie Rosji

partnerem, nie sojusznikiem Rosji. Zapewniam ją pewną swobodę manewrów.

Czy jednak Państwo Środka jest w stanie dać Rosji coś konkretnego w sensie pozytywów, czyli nie tylko nie szkodzić, nie tylko podejmować pewne działania dające Rosji możliwość manewrowania, lecz także zrobić coś konkretnego „pro”, to już zupełnie inna sprawa. Wydaje się, że można tu udzielić odpowiedzi negatywnej.

Czy obecne stanowisko Pekinu jest kontynuacją polityki chińsko-rosyjskiej, z którą mieliśmy do czynienia po roku 1949, kiedy oficjalnie powołano Chińską Republikę Ludową, czy też jej zaprzeczeniem?

Patrząc na cykle i długofalowość polityki chińskiej, która mierzy wszystko nie dziesięcioleciami, a stuleciami, jeśli nie tysiącleciami, to na pewno w skali tylko ostatniego wieku polityka Chin wobec ZSRS i Rosji zmieniała się wielokrotnie.

FOT. ANDRZEJ STOK

■ przez ChRL do roli mocarstwa drugorzędnego nie przesądza o stosunku elit kremlewskich do Chin, biorąc pod uwagę, że Putin i jego ekipa są postrzegani jako ludzie rozumujący chłodno w kategoriach Realpolitik? Odpowiedzi trzeba szukać w sferze emocji. Kierownictwo chińskie nie świętowało upadku ZSRS, tylko raczej upadek ten opłakiwało jako pokrewne ideologicznie mocarstwo. Nie prawilo Rosjanom kazań na temat praw człowieka, nie zamartwiała się sprawami ekologicznymi i tym, że się upuszcza do rozmaitych rzek uboczne produkty wielkiej chemii, nie wytykało, że się kogoś okrada, że się do kogoś strzela, że się kogoś nie tylko w Czeczenii pacyfikuje. Innymi słowy – zachowywało się inaczej niż USA.

Pekin jest przede wszystkim mocarstwem, które pozwala Moskwie na przeżywanie złudzenia, że może ona jak równy z równym rozmawiać ze Stanami Zjednoczonymi. Złudzenia, że jeśli Kreml staje naprzeciwko NATO, to za plecami nie ma się już pustki, czyli wielkiego leja po dawnym sowieckim mocarstwie, tylko zaplecze chińskie umożliwiające wsparcie dyplomatyczne, pomoc materiałową, polityczną i może także wojskową. Niestety, jest to przeważnie właśnie złudzenie.

Reasumując: współpraca rosyjsko-chińska ma charakter negatywny, ma charakter wspólnego cieszenia się, że tego rodzaju duopol może straszyć USA potencjalną kooperacją. Natomiast celów pozytywnych brak.

Czy rosyjski atak na Ukrainę był uzgadniany z Pekinem?

Myśli pan, że dysponuję tu jakimiś informacjami? Gdybym rzeczywiście to wiedział, to byłbym lepiej poinformowany niż służby wywiadowcze większości mocarstw. Mogę jednak zaryzykować odpowiedź, że w sensie bliskim, doraźnym z całą pewnością tak. To znaczy: musiały być wysłane jakieś sygnały, że Putin nie robi tego podczas trwania zimowych igrzysk olimpijskich w Pekinie, co oczywiście zaszkodziłoby ogromnie Chińczykom, przesuwając to sportowe wydarzenie, mające być manifestacją nowoczesności i potęgi Chin, na dalsze strony gazet. Czyli tak: rosyjski przywódca musiał uzyskać jakąś co najmniej milczącą zgodę Pekinu. Ale nie sądzę, żeby istniała daleko idąca koordynacja działań na przyszłość, tym bardziej że prawdopodobnie obecny przebieg wypadków nie jest do końca taki, jakiego się

w Moskwie spodziewano. I może wywołać u Chińczyków zdenerwowanie.

W co tak naprawdę gra Pekin w czasie inwazji na Ukrainę? Na początku słyszeliśmy, że jeśli Europa nie kupi od Rosji surowców, to Chiny z wielką przyjemnością zrobią to i kupią od Rosji wszystko, jak tylko leci. Obecnie jednak ta narracja wyhamowała, a nawet niektóre chińskie podmioty wstrzymują import surowców z Rosji. Czy Pekin przestraszył się, że zostaną nałożone na Chiny jakieś sankcje za handel z Rosją, jak niektórzy sugerują?

Na Pekin żadne sankcje nie zostaną nałożone. Natomiast dla Rosji było rzeczą niezmiernie wygodną, żeby zastraszać państwa zachodnie i oszukiwać własne społeczeństwo, a może i samych siebie, że w razie czego, gdyby Zachód zdenerwował się za bardzo i zakończył import rosyjskich surowców, to Moskwa ma jeszcze alternatywę w postaci wsparcia z Pekinu.

Zapewne Chińczycy byli przekonani, że inwazja Rosji na Ukrainę będzie krótka i że skończy się jakimś szybko wywalczonym, niewielkim, ale realnym sukcesem politycznym Rosji. Albowiem w długofalowym interesie chińskim nie leżą ani rozbiór Ukrainy, ani drastyczna zmiana jej granic, ani nawet zmiana przywództwa. Jest to sprzeczne z chińskim interesem narodowym jako państwa i to niekoniecznie tylko jako państwa komunistycznego.

Przypomnijmy, że Chińczycy mają kłopoty z Tajwanem. Przypomnijmy, że Chińczycy mają kłopoty z Tybetem, który wprawdzie jest całkowicie bezsilny militarnie, ale niezwykle popularny w niektórych sferach, np. w Hollywood. Przypomnijmy, że Chińczycy mają kłopoty w chińskim Turkiestanie, czyli w Xinjiangu, co im psuje relacje ze światem muzułmańskim.

Chiny ciągle mówią o konieczności działania wyłącznie za pośrednictwem ONZ. Jest to oczywiście równoznaczne z twierdzeniem, że nie należy nic robić, ponieważ w ONZ Chiny i Rosja mają tam prawo weta. W końcu: Chiny przypominają w sposób aż nudny zasadę świętości i nienaruszalności granic, no chyba że te granice są zmieniane za obopólną zgodą, tak jak w przypadku likwidacji NRD.

Wyobraźmy sobie, że podobne rozwiązanie, które zastosował Putin, czyli pójście na odsiecz swym braciom jednej krwi i wiary, zalecaliby np. mieszkańcy Kazachstanu czy Kirgistanu wobec

swoich braci w wierze z chińskiego Turkiestanu. Wyobraźmy sobie, że jakieś mocarstwo uznałoby – jak Moskwa Donieck – niepodległy Tajwan, Tybet czy Xinjiang. Pekin ma kibicować takim precedensom?

Kończąc tę przydługą wypowiedź: Chińczycy zapewne, wyrażając zgodę na ukraińską akcję Putina, liczyli na co najmniej dwie rzeczy. Pierwsza jest oczywista: odwrócenie uwagi od Azji Wschodniej, zaangażowanie NATO i USA w Europie i ich uwikłanie tamże. Stany Zjednoczone są wprawdzie trzonem NATO, ale mają zobowiązania nie tylko w Europie. USA nie są już taką potęgą jak kiedyś, żeby toczyć dwie wojny jednocześnie w różnych częściach świata. Związanie NATO w Europie, nawet tylko polityczne, nie wojskowe, dałoby Chińczykom niemal bezkarność w tym rejonie, którym się naprawdę interesują, czyli w Azji Wschodniej i na Pacyfiku.

Po drugie: jeśli Putin odniósłby szybkie zwycięstwo i zdołał narzucić państwu zachodnim swoje warunki, to byłoby to podkopanie prestiżu NATO, podkopanie prestiżu całego świata zachodniego. Pekin mógłby się tylko cieszyć i zacierać ręce.

Jak widzimy, wojna na Ukrainie trwa jednak za długo. Putin zamiast być dla Pekinu pewnym atutem, zamiast być chińskim psem łańcuchowym, który poszczeka, a nawet pogryzie państwa zachodnie, ale tak, żeby nie wywołać konfliktu światowego, powoli staje się dla Chin kimś w rodzaju petenta.

Pojawiły się analizy mówiące, że gdyby inwazja Rosji na Ukrainę trwała maksymalnie 72 godziny i Putin narzuciłby Zachodowi swoje warunki, to mogłoby to rozochocić Chiny do ataku na Tajwan. Czy zgadza się pan z tego typu opiniami?

Decyzje podejmowane przez przywódców na Kremlu, być może także przez przywódców w Pekinie, mają sporą dawkę irracjonalizmu. Gdyby robił pan ze mną wywiad np. 21 lutego, trzy dni przed początkiem rosyjskiej inwazji, i zapytał, czy Putin zaatakuje Ukrainę, to odpowiedziałbym, że nie zaatakuję, bo nie bardzo potrafię zrozumieć, co by na tym mógł zyskać. Powiem szczerze, że w chwili, kiedy rozmawiamy, nadal nie jestem w stanie na to pytanie odpowiedzieć. Putin straszył atakiem na Ukrainę co najmniej kilka miesięcy, przez to zmarnował efekt zaskoczenia, a jednak zaatakował.

Trudno mi uwierzyć, żeby jeszcze teraz, w obecnym stadium spraw, Chiny mogły podjąć się inwazji na Tajwan. Musiałaby to być operacja desantowo-morska, wymagająca przerzucenia przez cieśninę bardzo znacznych sił. Wystarczyłaby nawet nie flota amerykańska, ale japońska, żeby tę całą rzecz zniweczyć.

Oczywiście pozostaje pytanie, czy Stany Zjednoczone pomogłyby Tajwanowi lub czy pozwoliłyby Japończykom na tego rodzaju pomoc i czy pozwoliłyby na to japoński parlament. Formalnie przecież Tokio ma wyłącznie siły samoobrony.

Na miejscu kierownictwa w Pekinie miałbym wątpliwości, czy stać mnie na to, czy starczy mi odwagi, żeby taką rzecz przetestować.

Chińczycy mają słabość do numerologii. Sugeruje się np., że tego rodzaju akcja mogłaby się wydarzyć w roku 2027, kiedy będzie się świętować setną rocznicę utworzenia Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Byłby to taki mocny akord. Przewodniczący Xi na pewno jeszcze, jeśli nie zdarzy się nic nieprzewidywanego, będzie wówczas u władzy. Jeśli jednak nie uda się tego zrobić za jego kadencji, to drugą kuszącą datą jest rok 2049, czyli stulecie utworzenia Chińskiej Republiki Ludowej. Trudno jednak uwierzyć, żeby Chińczycy obecnie, w czasie trwania akcji ukraińskiej, zechcieli zaatakować Tajwan. Prawdopodobnie po prostu by im się to nie opłacało, chociaż mówię to z wahaniem: opłaca się – nie opłaca... Tutaj w grę wchodzi czynnik nielogiczny.

W związku z tym, co właściwie Chiny mogą zrobić dla Rosji i co mogą jej zaoferować?

Teoretycznie mogą zrobić bardzo wiele. Mogą naciskać na Zachód, żeby nie zrywał z Rosją wszelkich stosunków ekonomicznych. Mogą umożliwić Rosji kontakty gospodarcze, które by rozhermetyzowały blokadę zastosowaną przez państwa zachodnie. Mogą podjąć akcję propagandową na terenie krajów dawnego Trzeciego Świata, która rozmywałaby całe znaczenie wojny na Ukrainie jako „wojny białych ludzi”. Tylko powstaje pytanie: Po co miałyby właściwie to robić? Rosja jest krajem, który powinien się Chinom na coś przydać, natomiast wszystko to, o czym powiedziałem, byłoby dla Chin obciążeniem. Rosja byłaby dotowana, jak dotuje się wasala. Ale nie jest to kraj będący drugim Mandżukuo czy drugą Abchazją. Nie byłaby to, bo nie

mogłaby być, całkowita marionetka w rękach chińskich, nie byłaby to pacynka. Czyli w takim razie po co to wszystko robić, po co się obciążać?

Możliwa jest jeszcze jedna opcja, o której przebąkują rozmaite media, że mianowicie od Chińczyków Moskwa potrzebowałaby jakiejś pomocy zbrojnej. Nie chodzi tutaj raczej o czołgi czy okręty, bo tego w Rosji dostatek, ale np. o jakieś podzespoły i części elektroniczne albo o to, co dostarczali Rosji w czasie drugiej wojny światowej Amerykanie, czyli o konserwy, o żywność dla wojska. Tylko że to również mija się z celem, a ponadto byłoby dla Rosji głęboko upokarzające. Byłoby to przyznanie się, że druga armia świata, która zajmuje to miejsce na podium tylko z jednego powodu – liczby głowic nuklearnych – po trwającej miesiąc wojnie nie jest już w stanie działać sama. Czyli nie jest tym, za co ją miano.

Powolałam się na przykład z historii. W roku 1956 Wielka Brytania w towarzystwie Francji i Izraela dokonała inwazji na Egipt. Kiedy premier Anthony Eden zażądał tego od swego sztabu generalnego, powiedziano mu, że nie można tego zrobić natychmiast, ponieważ trzeba na opracowanie planu inwazji od czterech do sześciu tygodni. Kraj, który nie potrafi przeprowadzić natychmiastowej inwazji na małe, słabe państwo arabskie, a takim był wówczas Egipt, nie jest supermocarstwem i powinien zająć się czymś innym. Wtedy uwidoczniło się jak na dłoni, że Wielka Brytania wypadła z ligi supermocarstw. Jeżeli Rosja rzeczywiście poprosiłaby Chiny o pomoc, nie mogąc sobie poradzić z Ukrainą, ze swoją byłą kolonią, która dotąd nie była szczególnie znana z efektywności militarnej, która w roku 2014 nie mogła zrobić nic wobec aneksji Krymu, ponieważ skuteczny opór stawili wówczas Rosjanom tylko ochotnicy, przybywający jak w czasach kozackich z własną strzelbą i amunicją, to byłaby to dla Rosji skrajna kompromitacja. Nie można byłoby jej ukryć wobec świata, a co dopiero wobec kierownictwa w Pekinie.

Czy Chiny będą cichym zwycięzcą wojny na Ukrainie? Już teraz niektórzy przywódcy Zachodu powtarzają za Chinami: zakończyć wojnę, rozpocząć negocjacje...

Jeśli mówiąc o przywódcach Zachodu, ma pan na myśli przywódców Izraela, to w pewnym sensie tak. Pozwolę sobie

na małą złośliwość. Prezydent Zełenski w chwili, kiedy rozmawiamy, ma przemawiać w parlamencie japońskim, co okrzyknięto pierwszym występm ukraińskiego polityka w parlamencie azjatyckim. Jak wiadomo, przemawiał już w Izraelu, ale widocznie – zapewne z powodu udziału Izraela w Eurowizji – nie jest on uważany za kraj azjatycki.

Pyta pan, czy Chiny będą zwycięzcą? Na pewno nie będą przegranym. Gdyby Zachód zmusił Rosję do w miarę szybkiego wycofania się z Ukrainy na takich warunkach, żeby Rosja w zasadzie nic nie osiągnęła, to byłoby to potężne zwiększenie prestiżu USA. Taki obrót sprawy byłby dla Chin niekorzystny. Chińczycy dali zielone światło tej akcji, sądząc, że Putin wojnę wygra, a tymczasem wygląda na to, że nie potrafi. Z tego punktu widzenia mogą się pojawić na Kremlu (w otoczeniu dyktatora) i w Pekinie oznaki niezadowolenia z Putina.

Na pewno samo zdetonowanie tego konfliktu było dla Chin przydatne, ale jego rezultat jest niewiadomy. Aczkolwiek raz jeszcze muszę się zastrzec. Przypomnijmy sobie takie wydarzenie jak wojna ZSRS z Finlandią w latach 1939–1940. Zaczęła się ona jako gigantyczna kompromitacja Armii Czerwonej, świat się rozkleiwał nad bohaterstwem Finów, zapowiadano wysłanie oddziałów wojskowych, w tym polskich, na pomoc ofierze agresora. Ale koniec końców ZSRS połknął jedną piątą Finlandii, a Finom nie udzielono żadnej pomocy. Agresor odniósł więc sukces, chociaż niewątpliwie w niezbyt porywającym stylu. Obecnie Ukraina broni się od miesiąca. W przeliczeniu na wojnę fińską jest to w przededniu 1940 r., wtedy również przewidywano różne rzeczy.

Przypomnę tylko, że wojnę fińską obserwował z wielkim zaciekawieniem przyjaciel Stalina, Adolf Hitler, odgrywający wówczas wobec Moskwy taką rolę, jaką odgrywa obecnie Pekin wobec Putina. Tutaj zakończę, ponieważ nie chciałbym, żeby dalsze analogie były kontynuowane i historia się powtórzyła, tyle że z innymi rozgrywanymi.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Jakub Polit – polski historyk, który specjalizuje się w historii powszechnej XX w., a zwłaszcza w historii Chin.



Przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski abp Stanisław Gądecki wysłał list do swojego odpowiednika z Niemiec – bp. Georga Bätzinga FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Jak wygrać ze współczesną herezją



Paweł Chmielewski

W ciągu niespełna miesiąca hierarchowie z kilku krajów publicznie upomnieli Konferencję Episkopatu Niemiec z powodu herezji Drogi Synodalnej. Swoistą ofensywę ortodoksji zapoczątkował abp Stanisław Gądecki. Takie działania muszą być lepiej przygotowane

Czytelnikowi, który nie jest zaznajomiony z Drogą Synodalną Kościoła w Niemczech, przypomnę w największym skrócie: Droga Synodalna ruszyła w grudniu 2019 r. Kościół za Odrą chce na niej przegłosować (sic!) zniesienie celibatu, kapłaństwo kobiet,

demokratyzację władzy kościelnej oraz legalizację homoseksualizmu i antykoncepcji. Na te plany papież jak dotąd nie reagował. Zareagowali jednak kardynałowie i biskupi z kilku krajów świata.

Jako pierwszy zrobił to 22 lutego przewodniczący Konferencji Episkopatu

Polski abp Stanisław Gądecki. Wysłał list do swojego odpowiednika z Niemiec – bp. Georga Bätzinga. Zwrócił mu uwagę na błędną perspektywę, jaką przyjął niemiecki proces reformistyczny. Polski hierarcha odwołał się zarówno do Pisma Świętego, jak i do wielu dokumentów Stolicy Apostolskiej. Wreszcie wezwał bp. Bätzinga do wierności Ewangelii.

3 marca na łamach austriackiego portalu Kath.net artykuł pod wymownym tytułem „Quo vadis, Germania?” opublikował emerytowany kardynał kurialny Walter Brandmüller. Oskarżył Kościół katolicki w Niemczech o uleganie błędnej w jego ocenie filozofii Hegla oraz przyjmowanie herezji neomodernistycznej. Według purpurata Droga Synodalna zmierza w prostej linii do „ateizacji” chrześcijaństwa.

9 marca w tej samej sprawie wypowiedzieli się biskupi z północy Europy. Konferencja Episkopatu Skandynawii skierowała list do bp. Bätzinga, w którym w zasadniczych kwestiach powtórzyła argumenty abp. Gądeckiego, przestrzegając Niemca przed zastępowaniem Ewangelii duchem czasu.

Wreszcie 15 marca były prefekt watykańskiego Sekretariatu ds. Ekonomii, kard. George Pell – ten sam, który spędził ponad rok w australijskim więzieniu z powodu fałszywych oskarżeń o nadużycia seksualne – wezwał Stolicę Apostolską do formalnej interwencji w sprawie dwóch niemieckojęzycznych hierarchów, bp. Bätzinga i kard. Jeana-Claude’a Hollericha z Luksemburga, w związku z ich wypowiedziami na temat homoseksualizmu.

ZNACZENIE DROGI SYNDALNEJ

Ta bezprecedensowa fala krytyki jest związana z rosnącym znaczeniem Drogi Synodalnej na świecie. Trwa przecież globalny proces synodalny: już w tym roku hierarchowie z całej Europy będą musieli się zebrać i wypracować wspólną wizję przyszłości. Niemcy oferują gotowy pakiet rewolucyjny. Sądzą, że ich propozycje perfekcyjnie pasują do problematyki, którą nakreślił, rozpoczynając proces synodalny watykański Sekretariat Synodu. Chodzi o kryzys spowodowany nadużyciami seksualnymi oraz współczesne przemiany społeczne. Franciszek utrzymuje z Niemcami dobre relacje, a wiele jego decyzji personalnych wskazuje, że chce wzmocnić ich pozycję. Tacy hierarchowie jak abp Gądecki rozu-

mieją, jak duże jest zagrożenie: niemieckie błędy mogą rozlać się poprzez proces synodalny na cały świat, tym bardziej że podobnie jak w Niemczech myślą też liberałowie w wielu innych krajach.

MODERNIZM JAK DOTĄD NIEPOKONANY

W tej trudnej i potencjalnie bardzo niebezpiecznej sytuacji każdy głos sprzeciwu cieszy podwójnie. Problem polega na tym, że wystąpienia abp. Stanisława Gądeckiego, Episkopatu Skandynawii oraz kardynałów Brandmüllera i Pella, choć ważne i cenne, są głęboko niewystarczające. W żadnym z nich nie podjęto zaawansowanej i złożonej próby rozprawienia się z niemieckimi błędami. Bez tego tymczasem nie ma mowy o trwałym unieszkodliwieniu Drogi Synodalnej. Na tę trudność zwrócił zresztą uwagę sam kard. Brandmüller. W swoim artykule przyznał, że w ciągu XX w. papież nie podjął nigdy wysiłku gruntownego skrytykowania błędów modernistycznych; wskutek tego błędy te mogły się dalej rozprzestrzeniać, czego efektów jesteśmy dziś świadkami.

Kardynał ma rację: sytuacja pogarsza się w istocie z roku na rok. Jestem, oczywiście, pełen wdzięczności dla bł. Piusa IX i św. Piusa X za ich pisma przeciwko modernizmowi; z perspektywy czasu trzeba jednak powiedzieć, że okazały się one zbyt ogólne i proste, by stawić czoła wyzwaniu. Ideologia modernistyczna była już wówczas ideologią wysublimowaną; dziś jest taka w jeszcze większym stopniu, posiłkując się nie tylko szeroko współczesnymi naukami, takimi jak psychologia i socjologia. Wymaga poważnej odpowiedzi, która nie będzie uchylała się przed dyskusją teologiczną na najwyższym poziomie.

LIST BP. BÄTZINGA

Co ciekawe, do tego właśnie zaprasza sam protagonista Drogi Synodalnej, bp Georg Bätzing. Konferencja Episkopatu Niemiec poinformowała, że 16 marca udzielił listownej odpowiedzi abp. Gądeckiemu. Tekst repliki nie został ogłoszony w całości. Z omówienia przygotowanego przez media Episkopatu wyłaniają się co najmniej dwa ważne wątki.

Po pierwsze, bp Bätzing zachęcił abp. Gądeckiego do lektury tekstów przyjętych na ostatnim Zgromadzeniu Synodalnym i zaprosił go w tym kontekście

do dialogu teologicznego. Niemiec jest świadomy swojej przewagi w tym zakresie: za Odrą teologiczne fundamenty pod nowe rozumienie seksualności, kapłaństwa i roli kobiet są przygotowywane od lat. Niemcy dysponują olbrzymią liczbą profesjonalnych publikacji, które próbują uzasadnić postulat rewizji nauczania kościelnego. Można, oczywiście, ogłosić to po prostu herezją i wezwać do wierności Ewangelii, jak uczynili to de facto – słusznie zresztą – wspomniani biskup i kardynałowie. Rzecz jednak w tym, że samymi cytatami z Pisma Świętego czy nieco mechanicznym odwoływaniem się do kilku dokumentów Urzędu Nauczycielskiego nie tylko nie da się nikogo przekonać, lecz także nie da się nawet skutecznie obronić prawdy. Potrzebna jest jeszcze systematyczna i gruntowna refleksja nad stawianymi przez adwersarza problemami.

POTRZEBA WYSŁUKU TEOLOGII

Podam przykład. W „Tekście orientacyjnym” przyjętym na ostatnim Zgromadzeniu Synodalnym Niemcy wymieniają sześć loci theologici, źródeł teologii, czyli miejsc, z których czerpiemy swoją wiedzę o Bogu. Wskazują na trzy miejsca tradycyjne, czyli Pismo Święte, żywą Tradycję oraz Urząd Nauczycielski. Proponują jednak jeszcze trzy nowe: znaki czasu, zmysł wiary wierzących oraz naukę teologiczną.

Ten konkretny pomysł Niemców ma olbrzymie znaczenie, bo uzasadnia „otwarcie” Kościoła na zupełnie nowatorskie idee. W moim przekonaniu dobry teolog nie miałby żadnej trudności z wykazaniem, że niemiecki katalog loci theologici jest błędny i w istocie należy go na powrót zawęzić do trzech tradycyjnych kategorii. W swoim liście abp. Gądecki odniósł się do tych spraw bardzo krótko; byłoby dobrze, gdyby mógł wskazać na obszerne prace konkretnych autorów.

Podobnie jest w innych sprawach. Przykład: abp Gądecki odrzucił postulat Drogi Synodalnej dotyczący święceń kobiet. Posłużył się przy tym jednak tylko kilkoma bardzo ogólnymi argumentami, z których czołowym jest odwołanie się do autorytetu nauczycielskiego św. Jana Pawła II. To znowu za mało. Konieczne jest przygotowanie poważnej, fundamentalnej odpowiedzi, która obroni związek święceń z płcią, uwzględniając jednak współczesny kontekst społeczny.

Druga sprawa to kwestia wiarygodności Kościoła. Przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec zwrócił w swoim liście uwagę metropolity Poznania na to, że Droga Synodalna chce być odpowiedzią na kryzys nadużyć seksualnych. Jest to tylko część prawdy, bo zasadnicze idee Drogi są przecież modernistyczne, a więc pochodzą z czasów, gdy o nadużyciach nikt jeszcze nie słyszał; rzeczywiście jednak w dzisiejszym kontekście niemiecka synodalność jest skutecznie prezentowana jako remedium na moralny kryzys Kościoła.

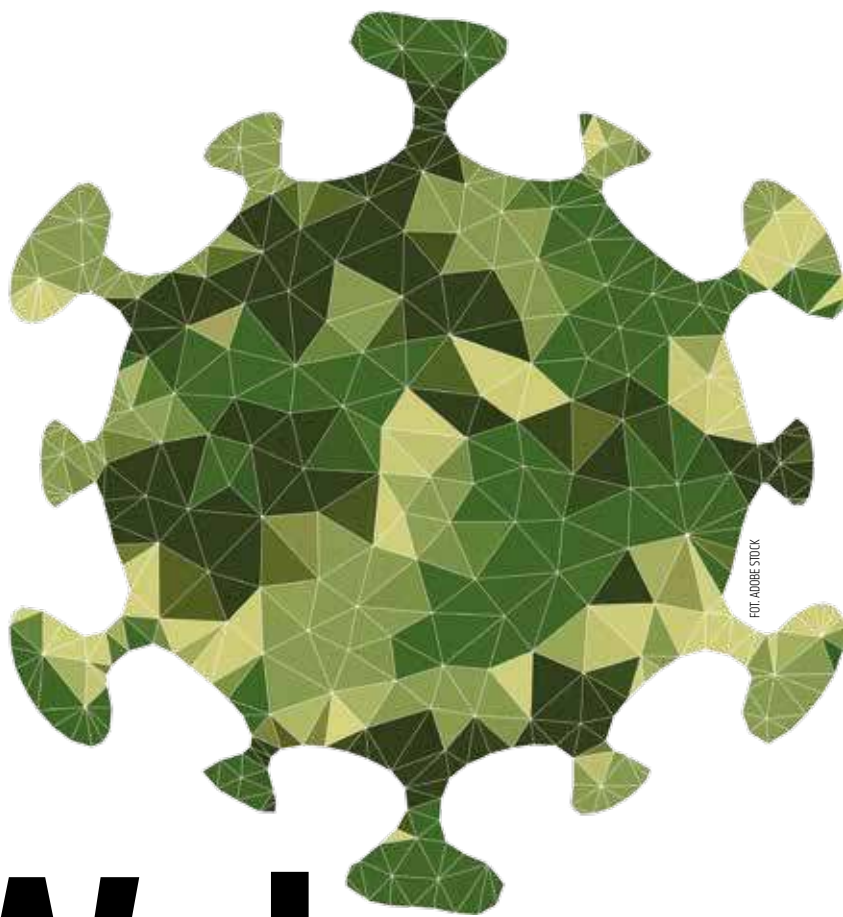
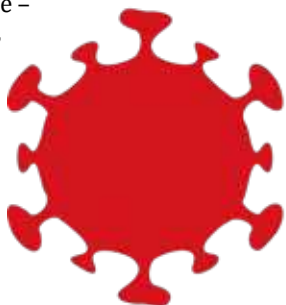
Biskup Bätzing zapytał abp. Gądeckiego o to, jakie on ma propozycje na wyjście z tego kryzysu. To bardzo celne pytanie: Co chcemy zrobić w obliczu kompromitacji katolickiej hierarchii z powodu problemu pedofilii? Mam wrażenie, że Kościół w Polsce nie chce robić niczego, uznając, że należy to przeczekać. Nie wykluczam, że jest to właściwa strategia, bo problem nadużyć, jak wiadomo, ma w ogromnej mierze przyczyny pozakościelne. W każdym razie jednak taką strategię trzeba oficjalnie zaprezentować i uargumentować. Nie można krytykować Niemców, jeżeli nie ma się kontrpropozycji. To samo dotyczy krytyki przedstawionej przez Skandynawów czy kardynałów Brandmüllera i Pella.

SKUTECZNOŚĆ

Rewolucjoniści chcą zmienić Kościół w sposób sprzeczny z Ewangelią. Dysponują jednak na tyle wyrafinowanymi narzędziami, że sama świadomość tego, iż mamy rację, nie wystarczy. Katolicka teologia wykonała ogromny krok do lepszego zrozumienia Bożej rzeczywistości, walcząc na przestrzeni dziejów z różnymi herezjami. Dzisiaj mierzymy się być może z jednym z najtrudniejszych przeciwników w historii. Trzeba pójść na konfrontację z właściwym przygotowaniem.

Mam nadzieję, że ofensywa, którą rozpoczął abp Gądecki swoim listem z 22 lutego, okaże się w tej batalii jedynie pierwszym krokiem, a pójdzie za nią systematyczna praca prawowiernych teologów, którzy drobiazgowo wykażą błędy Drogi Synodalnej i zaproponują zgodne z Ewangelią rozwiązania współczesnych problemów. Bez tego przekonamy jedynie przekonanych. To za mało: musimy bronić wiary Chrystusowej nie tylko mężnie, lecz także skutecznie.

Wojna, wojna, wszędzie wojna. Ale są tacy, którzy biją na alarm, że pod spodem wciąż tlą się stare procesy, ba – nawet przyspieszają. No bo gdzie się podział COVID? Nie ma. Jak się zaraz okaże, to jest, ale – patrz punkt pierwszy, czyli wojna. Mamy dziś pierwszy w historii przypadek pogodzenia ze sobą narracji dotąd walczących ze sobą stron: tzw. koronaentuzjastów i koronarealistów, przez tych pierwszych przezywanych foliarzami. Obie strony głośno mówią, że wojna wojną, ale wirus działa, trzeba o nim pamiętać. I tu się drogi rozjeżdżają, bo koronaentuzjaści wzywają do utrzymania, nawet rozszerzenia obostrzeń, a dla płaskoziemców obecny stan utrzymywania obostrzeń jest kolejnym dowodem na dętość całej sprawy i próbę ukrycia winnych.



FOT. ADAM STUCK

GDZIE JEST WIRUS?

Co się z wirusem dzieje? Ano dalej sobie hasa, tyle że oczy kamer się odwróciły od niego. I jest tu różnie. W zależności od odległości od wojny na Ukrainie intensywność tematu pandemii się zmienia. Musimy pamiętać, że ta wojna to dla nas tylko jest jakiś przełom i ważna sprawa. Dla ludzkości, w dodatku tej mniej zorientowanej, czyli większości, to kolejny konflikt typu Syria, Libia czy Jugosławia. Daleko, nie nasza sprawa i zbyt to złożone jest, bo tych narodów tam jak mrówek. I dla takiej większości krajów temat covidowy jest dalej na topie, odbywają się wielotysięczne manifestacje przeciwko obostrzeniom, konwoje jadą już przez połowę zachodniego świata, a na ulice kanadyjskich miast, po odwołaniu tam stanu wojennego, znowu wrócili protestujący. Tylko u nas temat zdechł, bo zagłuszają go odgłosy bliskiej wojny.

Dzieją się też ważne rzeczy covidowe w zakresie podsumowywania skuteczności przyjętych strategii, ich kosztów względem zysków, sensowności lockdownów, kwarantann czy maseczkowania. Wypadają one coraz gorzej dla sanitarystów, ale znowu – przynajmniej u nas – nie słyszy się o tym, bo znowu ta wojna, a przyłapani na kłamstwach,

Wojna i koronawirus



Jerzy Karwelis

Okazało się, że szczepionki zabijają częściej niż wirus, a testy, kwarantanny i maseczkowanie się skompromitowały. Jednak to zamiata się teraz pod wojenny dywan. Szczególnie w Europie, zwłaszcza w Polsce

łącznie z mediami, nie są zainteresowani w nagłaśnianiu kompromitujących rewelacji. Skuteczność akcji szczepiennej upadła kompletnie, obecnie nie tylko zakażonych, nie tylko hospitalizowanych, lecz także zmarłych jest więcej (nawet proporcjonalnie) wśród zaszczepionych niż niezaszczepionych. Akcja „dopalania się” kolejnymi dawkami doszła do granic

absurdu, bo to one są coraz częściej odpowiedzialne za przyrosty zakażeń i ogólne osłabienie odporności organizmu.

WYCHODZĄ SKRYWANE TAJEMNICE

Ciekawy przykład tego zjawiska miał niedawny finał afery z Pfizerem, producentem najpopularniejszych szczepionek

antycovidowych. Przed amerykańskim sądem federalnym trwa proces o zmuszenie FDA (Federalnej Agencji ds. Żywności i Leków, odpowiedzialnej za dopuszczenie lekarstw do obrotu) do opublikowania badań, na podstawie których wydano zgodę na szczepienie jej obywateli. Federalna Agencja – a jakże! – wraz z prawnikami Pfizeru walczyła o to, by móc spełnić ten wymóg dopiero w roku... 2085, czyli za 75 lat. Po wielu bataliach sąd nakazał opublikowanie 55 tys. stron dokumentacji. I wyszło kilka niefajnych rzeczy. Skupmy się na dwóch, zasadniczych. Sama lista Niepożądanych Odczynów Poszczepiennych zajmuje dziewięć stron i jest porażająca. (Dla ciekawskich podaję adres do tej listy: [twitter.com/ KarolPrillwitz/ status/149908655481629696?t=vUTRoNPdmVupFlo_0GWXw&s=03](https://twitter.com/KarolPrillwitz/status/149908655481629696?t=vUTRoNPdmVupFlo_0GWXw&s=03)). Jest tam takie bogactwo powikłań, że już sama ta lista warta była walki o odrzucanie jej publikacji o 75 lat.

Drużyna sprawka to analiza badań własnych Pfizeru, które są częścią tej dokumentacji. Wynika z nich, że szczepionka jest 30 razy bardziej śmiertelna niż sam wirus, przeciwko któremu jest stosowana (znowu dla ciekawskich podaję adres do tego fragmentu: <https://twitter.com/JulianIsWithUs/status/1499009879478054914?t=F4rum-LVyRoYQ-wjEX8WqQ&s=03>). Czyli, jak pisałem, wojna wojną, a tu miliony ludzi chodzą z czymś takim w żyłach i niektórzy nawet walczą w tym konflikcie.

KOLEJNE FALE

W wielu krajach pojawiają się kolejne fale wzrostu zakażeń. Niemcy nie wiedzą, co mają z tym zrobić, zachorowalność rośnie, i to gwałtownie, nawet w dotychczas wzorcowej Korei Południowej. Ale te wzrosty były i są powszechne, bo przypominają, że z jakiś miesięcy „przed wojną” mieliśmy do czynienia z fenomenem korelacji państw, które im bardziej się zaszczepiły, tym bardziej się zakażały. Ta fala rośnie, ale nie wiadomo, co z nią zrobić. Szczepionki, jak widać, mają wręcz ujemną skuteczność, lockdowny, testy, kwarantanny i maseczkowanie się skompromitowały, nie widać więc, co władze miałyby zrobić, by to powstrzymać. Postanowiono więc zastosować starą zasadę Wałęsy: „Nie chcesz mieć gorączki, to słuchaj Pan termometru...”. I sprawę się zamyka pod wojenny dywan. Szczególnie w Europie, zwłaszcza w Polsce. Ale np. w Stanach ten numer nie przejdzie, bo dla nich ta wojna to jakieś peryferie

i tam się wzięto mocno za rozliczanie COVID. Coraz to przed jakimiś komisjami stają eksperci, jedni w roli oskarżycieli, drudzy w roli oskarżonych. Ostatnio właśnie szefowie Pfizeru i Moderny przyznali, że ich szczepionki są terapią genetyczną, preparat jest słabo przetestowany i producenci nie wiedzą, co będzie dalej. U nas tego państwo nie usłyszą, co nie likwiduje problemu z tym, co zaszczepieni, nawet w strefie wojny, mają w żyłach. I cała ludzkość będzie to miała o wiele dłużej, niż będzie trwał ten konflikt.

Jedyny pozytywny efekt tej sytuacji to jest jakiś powrót do normalności. Wiele krajów zadeklarowało, że będą traktować koronawirusa bez szczególnej uwagi, czyli jak każdą z możliwych chorób zakaźnych skutkującą infekcją dolnych dróg oddechowych. I tyle. Żadnych ekstraprocedur, innych niż te znane sprzed „pandemii”. I widać, jak to działa. Normalnie. Ale popatrzmy: zamykaliśmy się na cztery spusty, kiedy śmiertelnych przypadków było w Polsce do policzenia na jednej ręce, zakażeń (dodajmy, skompromitowanymi testami) były zaś dziesiątki, potem setki. Grubo poniżej grypy, ale tej nigdy przecież nie testowaliśmy na taką skalę. I się zamknęliśmy. A teraz, kiedy w innych krajach mamy rekordowe wzrosty... otwieramy się. Porównajmy – zakażeń w dniu 18 marca 2020 r.: 59, dwa lata później, czyli 18 marca 2022 r.: 10 379, zgonów – 18 marca 2020 r.: 5, 18 marca 2022 r.: 86 (dzięki Pawłowi Klimczewskiemu za pomoc w dogrzebaniu się do danych). Czyli jak u Lejzorka Rojtszwańca: jeśli zwalniamy, to znaczy, że będą przyjmować, czyli jeśli mieliśmy mało, to się zamykaliśmy, a jeśli mamy więcej, to się otwieramy.

EPIDEMIA CZY KONTROLA?

Coraz bardziej potwierdza się więc moja teza, że znaczenie koronawirusa w miarę pandemii przenosiło się z kwestii epidemiologicznej na propagandową. Kompromitacja wszelkich działań mających powstrzymać wirusa, której kulminacją były katastrofa szczepienna i ich utrzymywanie, walka z nieskutecznością obostrzeń poprzez ich kumulację prowadziła do tego, że zmieniał się cel. Z powstrzymania wirusa na mnożenie form kontroli ludności. Dla samej kontroli, bo epidemiologicznie nie miało to sensu. I znowu ostatni zejdziemy z tej dziurawej łódki.

No bo popatrzmy – szczepionki nie działają, a więc więcej szczepionek. Testy powodują pełzający lockdown,

a więc testowa dla wszystkich. W szkołach armagedon, a więc więcej zdalnego nauczania, choć szkolnictwo to żadne ognisko zakażeń, a młodzież praktycznie nie choruje, a w ogóle na to nie umiera. Ale brniemy dalej, w te maseczki, w te szpitale specjalnego przeznaczenia, w te dodatki covidowe, które działały przecież w pełnej skali do końca marca.

UKRAIŃSKI DOWÓD

Mamy też do czynienia z ciągłym nawrotem byłych ekspertów. Jeszcze walczą, ostrzegają, chcą być wciąż popularni, a więc kasandryczą, gdzie się da. Ostatnio dr Grzesiowski, ten od komentarzy na święta i milionów zakażeń w lutym, znowu się odezwał. Teraz piosenka jest taka – od Zachodu idzie kolejna (szósta? kto to zliczy?) fala, a my tu zrywamy interes, łącznie ze szpitalami covidowymi. I gdy do nas przyjdzie, to zostaniemy bez niczego. A więc dalej wysadzamy te pociągi. Ale doświadczenie uczy czegoś dokładnie odwrotnego. Wpuściliśmy do Polski ze 2 mln Ukraińców, kolejny milion poszedł przez inne kraje. Stopień ich zaszczepienia, o distancingu nie wspomnę, jest symboliczny, testów – zero, tak samo z izolacją i kwarantannami. Jest już prawie miesiąc tego proceduru. Z punktu widzenia epidemiologicznego powinna u nas być zaprawdę pandemiczna fala zakażeń, rozlewająca się na Europę. I co? I nic? Szpitale covidowe pójdą, a właściwie powinny pójść, na centra dla uchodźców. I to będzie z nich jedyny pożytek.

Zacznijmy, wzorem innych krajów, traktować koronawirusa jak każdą inną chorobę zakaźną. Tylko tyle i aż tyle. Niedzielski, który mówi, że będziemy musieli nosić maseczki, by chronić się przed ukraińskimi patogenami, daje głos nie jako osoba odpowiedzialna za zdrowie publiczne, ale jako jatrzyca suflujący podziały na winnych i ofiary, co jest szczególnie podłe w czasach, kiedy wspina się na szczyty poświęcenia, budując mosty przyszłej przyjaźni między Polakami a rodzącym się narodem ukraińskim.

Trzeba było aż wojny, by wrócić do rozumu? Czyżby głupi żart, że Putin powinien dostać Nagrodę Nobla w dziedzinie zdrowia, bo w dwa tygodnie wykurzył koronawirusa, miał być okrutnym skrótem całej dwuletniej przygody? Wirus zniknął z mediów, a więc i ze społecznej wyobraźni. Ale – co dziwne – zniknął także z nauki, która przecież przekonywała nas przez ostatnie dwa lata, że jest okrutnie obiektywna.



Paweł Skubisz

Kiedy podczas rewolucji węgierskiej w 1956 r. mieszkańcy Pomorza Zachodniego zaangażowali się w oddolnie organizowaną i wszechstronną pomoc Węgrom, podobnie jak dziś czynią to na rzecz poszkodowanych Ukraińców, w Szczecinie doszło do ataku na konsulat ZSRS

Pierwsze informacje dotyczące rewolucji węgierskiej zostały zamieszczone w szczecińskiej prasie 25 października 1956 r. Cztery dni później redakcja „Głosu Szczecińskiego” (oficjalny organ prasowy Komitetu Wojewódzkiego PZPR) ogłosiła apel Polskiego Czerwonego Krzyża do mieszkańców miasta o oddawanie krwi dla rannych Węgrów. Nazajutrz w „Kurierze Szczecińskim” ukazała się informacja o zbiórce pieniędzy, środków pierwszej potrzeby, żywności, leków oraz środków medycznych. Do akcji włączyli się uczniowie, studenci, robotnicy.

Tragedia Węgrów poruszała nawet najmłodszych mieszkańców miasta. Ośmioletnia Ewa Stasinowska przekazała pieniądze i list o treści: „Zamiast krwi składam dla rannych Węgrów 50 zł z własnych zaoszczędzonych na słodyczach pieniędzy”.

W dniach od 31 października do 3 listopada szczecińscy studenci prowadzili kwestę na pl. Przyjaźni Polsko-Radzieckiej (obecnie pl. Zgody) pod hasłem „Cześć i chwała bohaterom narodu węgierskiego”. Łącznie zebrano 11 tys. zł. W dniu wkroczenia armii sowieckiej do Budapesztu – 4 listopada – podobną kwestę przeprowadziły redakcje gazet „Głosu” i „Kurierza”.

Organizacja pomocy nabrała tempa wraz z zawiązaniem się 27 listopada 1956 r. Komitetu Pomocy Węgrom, na czele którego w Szczecinie stanął przewodniczący Jerzy Zieliński (późniejszy polski ambasador na Węgrzech). Pod auspicjami komitetu, przy czynnym udziale redakcji lokalnych gazet oraz młodzieży i studentów już 2 grudnia zorganizowano „Węgierską niedzielę”. Świadkowie



Atak na konsulat

tamtych wydarzeń zgodnie wspominają, że „na Węgrów dawali wszyscy”. Równolegle prowadzono zbiórki żywności oraz środków medycznych.

Dary zebrane dla Węgrów w 1956 r. w Szczecinie przekazano do miasta partnerskiego Csepel, czyli XXI dzielnicy Budapesztu. Symbolem tego wydarzenia stał się znaczek okolicznościowy przedstawiający dwie robotnicze dłonie – polską i węgierską – zaciśnięte w braterskim geście solidarności.

Trudno ustalić, kiedy wyruszył pierwszy transport z darami do Csepel. Z całą pewnością wiadomo, że trzy ciężarówki wyjechały wieczorem 17 grudnia 1956 r. Transport ten wyróżniały napisy „Dzieci Szczecina – dzieciom Csepel na Gwiazdkę”. Być może w tym transporcie, w jednej z paczek przygotowanej przez rodzinę 16-letniego Jana Gorzelanego, znalazła się duża lalka. Jaś uważał, że „nie tylko chleb jest potrzebny do normalnego życia”. Do lalki załączył mały liścik, dzięki któremu w latach 70. rodziny darczyńców i obdarowanych mogły się spotkać podczas pobytu na wczasach w Jugosławii.

31 grudnia 1956 r. Komitet Pomocy Węgrom ogłosił koniec akcji pomocowej. Szacunkowa wartość darów zebranych w Szczecinie wynosiła ponad milion ówczesnych złotych (przeciętna pensja

w Polsce wynosiła wówczas ok. 1120 zł miesięcznie). Zebrane pieniądze oraz spieniężone dary rzeczowe, które nie zostały przewiezione na teren Węgier, na skutek zahamowania akcji przez Komitet Centralny PZPR, zasiliły specjalne konto Oddziału PCK w Szczecinie. Z pieniędzy tych, wiosną i jesienią 1957 r., sfinansowano podróż i pobyt nad Bałtykiem dzieci, głównie sierot węgierskich. Przyjeżdżały one do Polski w bardzo złym stanie psychicznym i fizycznym, niedożywione, często bez potrzebnej garderoby. Ich sytuacja materialna była tak zła, że pracownicy PCK musieli nawet nabyć bieliznę osobistą.

ZAMIESZKI

Zaangażowanie mieszkańców Szczecina w pomoc Węgrom, a także skomplikowana sytuacja polityczna w Polsce po Poznańskim Czerwcu 1956 r. i zmianie ekipy rządzącej po dojściu do władzy Władysława Gomułki wpłynęły na radykalizację zachowania szczecinian. Wystarczył jeden incydent, aby doszło do zamieszek.

Wieczorem w poniedziałek 10 grudnia 1956 r. dwaj funkcjonariusze Komendy Miejskiej Milicji Obywatelskiej w Szczecinie zatrzymali na pl. Przyjaźni Polsko-Radzieckiej Stanisława Barto-



Wnętrze zdemolowanego przez
szczecinian konsulatu ZSRS
FOT. IPN

ZSRS

sika. Ten 30-letni pomocnik murarza, będąc pod wpływem alkoholu, krzyczał: „Za co mnie zamykacie?” oraz: „Jestem Polakiem!”. Wywołało to interwencję przechodniów, którzy utrudniali działania milicji. Wstrzymany został ruch tramwajów i utworzyło się zbiegowisko. Z tłumy dały się słyszeć głosy nawiązujące do wydarzeń Października 1956 r. z charakterystycznym śpiewem „Sto lat” na cześć Władysława Gomułki, nowego I sekretarza KC PZPR. Następnie manifestanci skierowali swoją niechęć przeciwko strażnikom systemu komunistycznego – obecnym na miejscu funkcjonariuszom MO i UB. Tłum skandował: „Milicja morduje ludzi!”, „Trzymać blacharza, lać go!”, „Bić blacharzy!” oraz: „Hura! Bracia stalinowców!”. Doszło do zamieszek. Manifestanci zaczęli przechodniów, próbowali wyprowadzić na ulicę robotników szczecińskich przedsiębiorstw, rozpowszechniając informacje o wybuchu powstania. Porównywali wydarzenia w Szczecinie do rewolucji węgierskiej. Równocześnie wznosili okrzyki: „Precz z rządem Kádára!” i „Wojsko na Węgry!”.

Szczecinianie z okrzykami nawołującymi do rozbicia jednostek MO udali się w kierunku dwóch szczecińskich komisariatów. Jedna z tych grup w trakcie przejścia przez al. Wojska Polskiego

odśpiewała „Rotę” zaintonowaną przez Tadeusza Szczurowskiego i zaatakowała I Komisariat MO przy pl. Zwycięstwa. Jego obsada zdążyła zabarykadować drzwi. Manifestantom udało się tylko wytłuc szyby w oknach. Podobny przebieg miały wypadki pod II Komisariatem MO przy ówczesnej al. Jedności Narodowej. Władze bezpieczeństwa wezwały na pomoc żołnierzy 12. Pułku Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego Ziemi Szczecińskiej, które wspólnie z milicjantami miały chronić więzienie centralne i prokuraturę wojewódzką. Około godz. 20.30 demonstranci podjęli próbę szturm na więzienie. Siły bezpieczeństwa użyły gazów łzawiących i pałek, udaremniając te próby. Po obu stronach konfliktu pojawili się pierwsi ranni.

Po godz. 22 siły porządkowe wyparły protestujących ze ścisłego centrum miasta i zapewne przypadkowo skierowały w kierunku konsulatu ZSRS położonego przy ul. Piotra Skargi 14. Manifestacja przybrała charakter wystąpienia antysowieckiego. Uczestnicy krzyczeli „Bracia, na ambasadę!” i śpiewali hymn narodowy. Ponownie pojawiły się hasła nawiązujące do sowieckiej interwencji na Węgrzech, głównie: „Wypuście Imre Nagya!”. Nad głowami protestujących powiewały nieliczne transparenty. Na jednym z nich, wykonanym naprędce ciemnym atramentem na połowie białego restauracyjnego obrusa, znalazło się charakterystyczne dla tego czasu hasło: „Precz Sowietom od Węgier, precz od Polski!”, w innym: „Precz z Rosjanami!”. Około północy tłum manifestantów wyłamał bramę konsulatu sowieckiego i wtargnął do środka. Obsługa przedstawicielstwa uciekła w popłochu lub schowała się w piwnicy. Próba podpalenia konsulatu spełzła na niczym i po półgodzinnym oblężeniu budynku demonstrantów wyparły oddziały KBW i MO. Niemniej w środku placówki dyplomatycznej mieszkańcy Szczecina dali upust swojej niechęci wobec Sowietów. Zniszczono pomieszczenia konsulatu i zdeptano portrety jej przywódców, w tym Nikity Chruszczowa.

ROZLICZENIA

Według różnych statystyk zatrzymano od 93 do 95 demonstrantów, osiem osób trafiło do szpitali, a kilkunastu osobom udzielono pomocy ambulatoryjnej. Aresztowano 79 osób. Osobisty nadzór nad sprawą objął Marian Rybicki, prokurator generalny PRL. Podejrzani znaleźli

się pod silną presją ze strony funkcjonariuszy, którzy wymuszali zeznania szantażem, grożąc m.in. wieloletnimi karami więzienia, a w niektórych wypadkach nawet pobiciem.

Na początku 1957 r. skierowano do Sądu Powiatowego dla miasta Szczecina sześć aktów oskarżenia. We wszystkich sprawach zapadły surowe wyroki, jak na czasy popaździernikowych przemian, od czterech lat do pół roku więzienia. Zaledwie dwóch oskarżonych uniewinniono z powodu braku dowodów.

Wydarzeń z nocy z 10 grudnia 1956 r. nie dało się ukryć przed mieszkańcami Szczecina. Władze przystąpiły do masowej akcji propagandowej mającej na celu przedstawienie manifestantów jako „chuliganów, pijaków i wichrzycieli”. Nagonka prasowa przybrała identyczną formę jak po wydarzeniach Poznańskiego Czerwca 1956 r. Zaangażowano do tego redakcje dwóch największych szczecińskich gazet – „Głosu Szczecińskiego” oraz „Kurier Szczeciński”. Do Szczecina przyjechała nawet ekipa Polskiej Kroniki Filmowej, która utrwaliła na taśmie filmowej skutki manifestacji oraz wizerunki części zatrzymanych osób.

Drugi etap kampanii propagandowej wiązał się z procesami wytoczonymi uczestnikom zamieszek. Na łamach prasy publikowano relacje i komentarze z procesu oraz zdjęcia oskarżonych. Zostali oni przedstawieni jako „degeneraci społeczni, alkoholicy, złodzieje i wandy”. Do publicznej wiadomości podano również ich adresy zamieszkania i miejsca pracy, tym samym władze wymierzyły im dodatkową karę, zanim zapadł wyrok skazujący.

Dziś wydarzenia z 10 grudnia 1956 r. nazywane są nocną rewoltą. Dzięki staraniom prokuratorów Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN w Szczecinie dokonano unieważnienia niesprawiedliwych wyroków skazujących szczecińskich demonstrantów. W miejscu zamieszek umieszczony został pomnik Chłopca z Pesztu, ufundowany przez władze węgierskie. Jego kopia znajduje się w Budapeszcie. Dwa bliźniacze pomniki są symbolem braterstwa mieszkańców Csepel i Szczecina. Dla nas z historii tej płynie nadzieja, że w przyszłości będziemy mogli cieszyć się podobnym, wspólnym braterstwem z mieszkańcami wolnej Ukrainy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dyrektorem Oddziału IPN w Szczecinie.



Paweł Porański

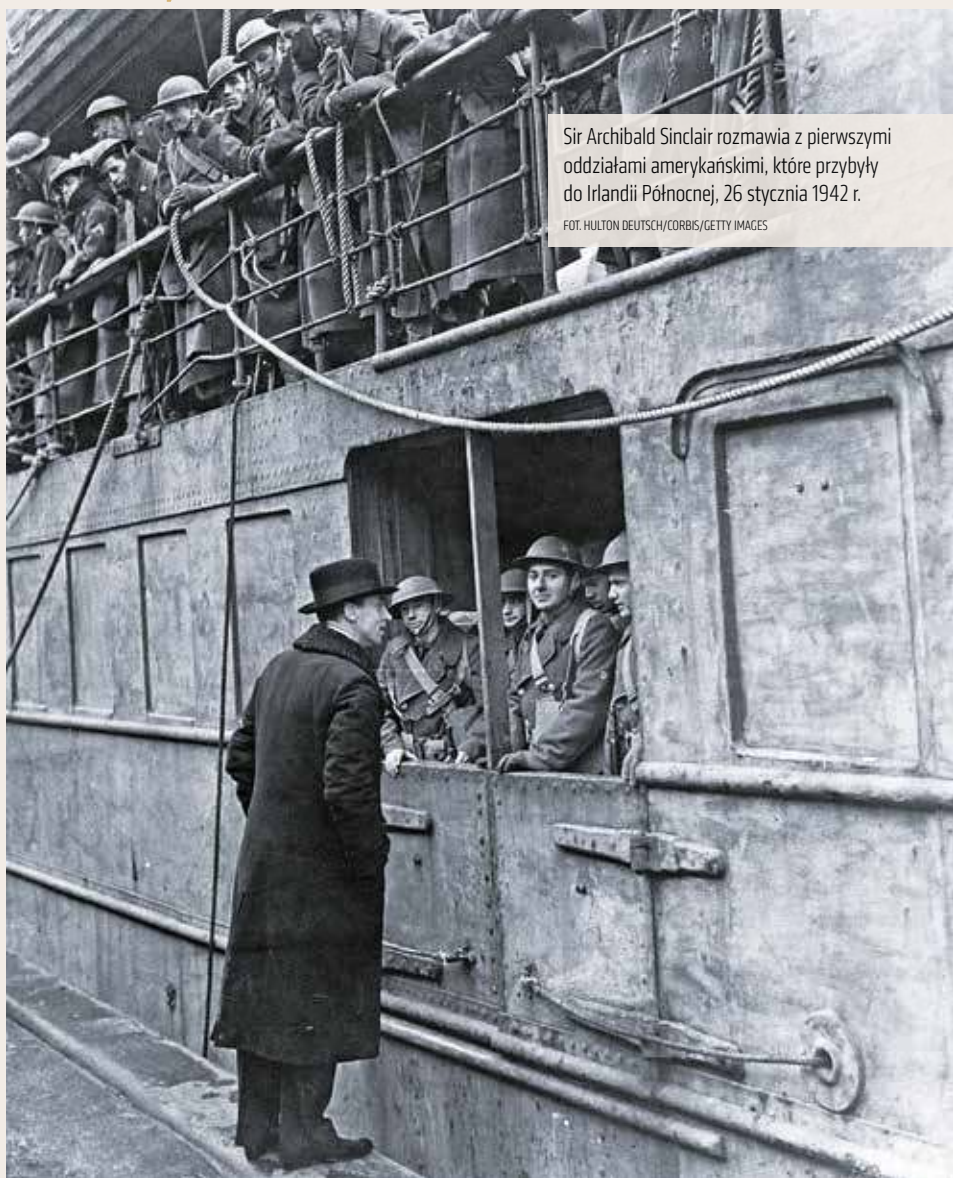
Właśnie minęło 80 lat od momentu, kiedy pierwszy żołnierz amerykański wylądował na brytyjskiej ziemi

Amerykańskich chłopców powitano w Belfaście z ciekawością i nadzieją. Amerykanów wyobrażano sobie jako wysokich, przystojnych mężczyzn – jak w filmach z Hollywood. Młodszym Amerykanin kojarzył się z gangsterem, który rozbija się po Chicago z pistoletem maszynowym w ręku, lub jawił się jako Teksaszyk z nieodłącznymi coltami i kapeluszem.

Zanim jednak pierwsze konwoje wyruszyły z Nowego Jorku, należało zabezpieczyć ich trasę oraz przygotować bazy wojskowe. Młoda Republika Irlandii zachowała neutralność wobec konfliktu w Europie. Najbardziej wysuniętą na zachód częścią Zjednoczonego Królestwa była Irlandia Północna. Pierwsi technicy amerykańscy pojawili się w Belfaście latem 1941 r. Rozpoczęto budowę baz dla latających łodzi patrolowych – wodnopłatów Catalin w Ely Lodge i Killladeas. We wrześniu 1941 r. utworzono Dowództwo Sił Myśliwskich w Irlandii Północnej i rozpoczęto budowę bazy w Langford Lodge. Latem 1942 r. do bazy zaczęli przybywać cywilni pracownicy ze Stanów. Baza ta była jednym z trzech gigantycznych zakładów naprawczych, które powstały w Zjednoczonym Królestwie. Pierwsze liberatory B-24 zmontowano w październiku 1942 r. W kolejnych miesiącach montowano, modyfikowano lub naprawiano w bazie każdy typ samolotów używany przez 8., 9., 12. i 15. Armię Powietrzną Stanów Zjednoczonych. Baza w Langford Lodge była całkowicie samowystarczalna, zapewniała 4 tys. swoich cywilnych pracowników nie tylko miejsca pracy i zakwaterowanie, lecz także obiekty socjalne, np. kinoteatr na 700 miejsc czy szpital. W wolnym czasie pracownicy mogli korzystać z licznych obiektów sportowych, m.in. z boisk do badmintonu, baseballu, siatkówki czy tenisa.

PIERWSZY JANKES W ALBIONIE

Pierwszy transport żołnierzy amerykańskich o kryptonimie NA1 wypłynął



Sir Archibald Sinclair rozmawia z pierwszymi oddziałami amerykańskimi, które przybyły do Irlandii Północnej, 26 stycznia 1942 r.

FOT. HULTON DEUTSCH/CORBIS/GETTY IMAGES

Inwazja „kuzynów”

z Brooklynu 15 stycznia 1942 r. Na pokładach dwóch transportowców znajdowało się 4058 żołnierzy z 34. Dywizji Piechoty, tzw. Czerwonych Byków (Red Bull). Ponieważ była to jednostka Gwardii Narodowej, a nie regularna armia, władze brytyjskie zdecydowały

się poczekać z oficjalnym powitaniem. Oficjalnie pierwszym jankesem na ziemi brytyjskiej, uwiecznionym na licznych fotografiach, został szeregowy Milburn Henke z 133. Pułku Piechoty z Minnesoty. Strumień żołnierzy amerykańskich płynął przez miasta Szkocji, Anglii

i Irlandii Północnej jeszcze przez wiele miesięcy. W samym Belfaście wylądowało do końca wojny 300 tys. z półtoramilionowej rzeszy amerykańskich żołnierzy i personelu wojskowego.

Amerykański Departament Wojny zdawał sobie sprawę, że duża liczba żołnierzy zza oceanu spowoduje liczne konflikty wynikające z różnic kulturowych. Przygotowano więc poradnik dla żołnierzy przybywających do Irlandii. Poradnik napominał szeregowych: „Każdy żołnierz amerykański jest nieoficjalnym honorowym ambasadorem Stanów”. Ten sam poradnik informował dalej: „Chociaż dziewczęta irlandzkie są przyjacielsko nastawione, to tradycyjne normy moralne są przestrzegane w rejonach wiejskich”. Poradnik również informował o napięciach religijnych na tle podziału Irlandii na część północną i południową. Wkrótce wydano również poradnik dla żołnierzy udających się do Brytanii. Instrukcja pełna była porad: „Nie przechwalaj się”, „Nigdy nie krytykuj Króla i Królowej” oraz koronne: „Brytyjczycy nie wiedzą, jak zaparzyć porządnie herbatę, nawet im o tym nie wspominaj!”.

Nie wszystkim żołnierzom Wielka Brytania spodobała się od razu. W zachowanej korespondencji w Narodowym Muzeum II Wojny Światowej w Orleanie znajdziemy list szeregowego Earla Jenkinsa, w którym możemy przeczytać: „Słońce rzadko wychodzi tu zza chmur”, „Sam nie wiem, po co tu przyjechałem. Czasami są przejaśnienia, ale rzadko”. Poznana nieco dokładniej Anglia jawiła się niektórym całkiem znośnie. Szeregowy John Kusak tak opisał przepustkę w Londynie, pisząc do przyjaciela: „Chłopie! Tak długo, jak długo jestem w Anglii, nie muszę się martwić, że jestem kawalerem”. Zachwalał: „Schrony przeciwlotnicze są idealnym miejscem na zapoznanie jakiejś panny!”. Szeregowy miał poczucie humoru i zachował dystans do samego siebie. Na końcu listu zanotował: „Czasami mam wrażenie, że to nie mój urok osobisty, a guma do żucia i cukierki tak działają na dziewczyny”. Obecność setek tysięcy Amerykanów, którzy podrywali najpiękniejsze dziewczęta, z czasem zaczęła budzić nieskrywaną niechęć w spiarzy. Amerykanów opisywano jako: napalonych, przepełnionych i w dodatku tutaj (overpaid, oversex and over here). Żołnierze amerykańscy rewanżowali

się opinią o Anglikach: niedopieczeni, bez kasy i pod dowództwem Eisenhamera (underpaid, undersex and under Eisenhower).

NAPIĘCIA NA TLE RASOWYM

Naturalną konsekwencją przybycia żołnierzy amerykańskich na Wyspy było pojawienie się żołnierzy czarnoskórych. Przed wojną w Wielkiej Brytanii mieszkało zaledwie 8 tys. czarnoskórych obywateli, głównie w dużych miastach portowych. W latach 40. ubiegłego wieku w Stanach Zjednoczonych panował system segregacji rasowej, nieznaną Brytyjczykom. Żołnierze czarnoskórzy nie mogli służyć we wszystkich rodzajach broni, dla nich zarezerwowane były głównie oddziały inżynierskie i kwatermistrzowskie. Problem rasizmu wyprzedził „amerykańskich chłopców” za sprawą sprowadzonych z Hondurasu Brytyjskiego (dziś Belize) drwali. Latem 1941 r. brytyjskie Ministerstwo Zaopatrzenia podjęło decyzję o zwiększeniu wyrebu lasów w Szkocji. Początkowo „drwali z importu” rozlokowano w obozach w południowej Szkocji. Praca była ciężka, a warunki socjalno-bytowe więcej niż kiepskie. O zagospodarowaniu czasu wolnego pracowników zza Atlantyku nikt nie pomyślał. Sami w leśnej głuszy przeżywali ciężkie chwile, mierząc się z samotnością i chorobami wynikającymi ze zmiany strefy klimatycznej. Sam Martinez trafił do obozu w zachodnich Highlandach, tak opisał pierwszą wizytę w pobliskim miasteczku Ullapool: „Poszliśmy grupą do miasteczka na zakupy. Na nasz widok dzieciarnia rozbiegła się z okrzykiem – górnicy przybyli! Nawet sprzedawczyni w sklepie znikła na zapleczu, w końcu obsłużył nas mężczyzna. Ewidencje obawiał się nas, myślę, że pierwszy raz w życiu widział czarnoskórego człowieka”. Z czasem „stosunki szkocko-hondurskie” poprawiły się na tyle, że nowo powstały zespół jazzowy mógł zacząć przygrywać na potańcówkach. Historia Sama zakończyła się happy endem. Po wojnie Sam zdecydował się pozostać w Szkocji i ożenił się z miejscową dziewczyną. Jednak dla wielu jego rodaków pobyt w Szkocji był koszmarem.

Życie w Wielkiej Brytanii nie skąpiło trudności amerykańskim szeregowym, a także wyższym szarżom. Przekonał się o tym gen. Omar N. Bradley, dowódca 1. Grupy Armii, co zanotował jego

adiutant. Po udanej kampanii włoskiej we wrześniu 1943 r. generał przybył na Wyspy, lądując na lotnisku Prestwick pod Glasgow. W drodze do Londynu zdecydował się zjeść śniadanie w Grand Hotelu. Kiedy panowie zapytali obsługującą ich kelnerkę o gorące śniadanie, usłyszeli po raz pierwszy w życiu Glaswegian, ciężki akcent z robotniczych dzielnic tego miasta. Były dwie opcje śniadania do wyboru. Pierwsza okazała się całkowicie niezrozumiała dla obu panów, więc zamówili opcję drugą, która brzmiała nieco swojsko, a okazała się gotowaną rybą z pomidorami. Do śniadania panowie chcieli zamówić dzbanek wody – w amerykańskim angielskim „a pitcher of water”. Skonfundowana kelnerka przyniosła im garnek z gorącą wodą. Zdumienie wypisane na twarzach gości skłoniło kelnerkę do refleksji: „Panowie chcieli się napić wody?”. Kiedy przyszło do płacenia rachunku przy kasie, system imperialnej waluty pokonał gen. Bradleya i zdumiona Szkotka musiała z ręki generała odliczyć należność. Następnie panowie zapytali dyskretnie: „Która moneta jest odpowiednia na napiwek dla kelnerki?”. Uczynna kasjerka pomogła również w tym kłopotcie. Jak zanotował adiutant: „Niosąc tę monetę do stolika, poczułem się obco w tym kraju, do pewnego stopnia dużo bardziej obco niż w Afryce czy na Sycylii”.

PRZEMIANY KULTUROWE

Trudno ocenić, jak na przemiany kulturowe i społeczne w Wielkiej Brytanii wpłynęła obecność przez wiele miesięcy kilku milionów żołnierzy amerykańskich i kanadyjskich. Jedni wskazują na upowszechnienie muzyki jazzowej, bluesa czy rhythm and bluesa – muzyki, której na próżno było szukać w rozgłośni BBC, a która królowała w kantynach i świetlicach żołnierskich. Innym amerykańska kantyna kojarzy się z automatami do gier (tzw. pinballe) i szafami grającymi oraz oczywiście z gumą do żucia. Młodzi mężczyźni na pewno nie stronili od zawierania znajomości z miejscowymi dziewczętami. Dane statystyczne wskazują, że 60 tys. amerykańskich żołnierzy poślubiło angielskie dziewczyny, a 1,8 tys. wojaków zza oceanu ożeniło się z dziewczętami irlandzkimi. Wiele takich par wyjechało po wojnie do Stanów Zjednoczonych czy Kanady.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Amerykanka w Warszawie

Ann Waterman Cooley w 1946 r. ukończyła college. Specjalizacja: literatura angielska. Młoda Amerykanka nie wiedziała, co robić po studiach. Wtedy dowiedziała się, że w dalekiej Polsce, na Uniwersytecie Warszawskim, pilnie potrzebny jest nauczyciel angielskiego.

Cooley podjęła wyzwanie (pomógł jej w tym Czesław Miłosz): wsiadła na statek i popłynęła do Polski. Jej wspomnienia – których fragmenty opublikowała „Karta” – są dla Polaka bezbrzeżnie smutne. Amerykanka była zszokowana widokiem Warszawy.

„Mało kto – pisała – mógłby być równie źle przygotowany jak ja na ów tragiczny i niezwykle widok. Wsiadłam z pociągu wśród warszawskich gruzów. Mijaliśmy zrogowaciałe, wyciągnięte ręce żebraków, gdy spoglądałam na miasto posępnych, bezbarwnych ruin z bryłami popękanego betonu i wąskimi, nierównymi przejściami.

Warszawa właściwie nie była miastem, nawet nie była wsią, z tą masą kamieni i stosami cegieł, zwalonych po bokach przemoconych deszczami ulic. Zwróciłam uwagę na brak drzew i ponurą monotonną szarość otoczenia. Nie dało się dostrzec żadnych sklepów. To, co mogło być kiedyś latarniami ulicznymi, obecnie było poskręcany metalowymi słupami leżącymi na ziemi”. O tym, że Warszawa nie została zburzona przez trzęsienie ziemi lub inny kataklizm, przypominały tablice. „Wielokrotnie przystawałam – pisała – aby przyjrzeć się liczny miescom pamięci z ich spłowiałymi wstążkami, uschniętymi kwiatami. Polscy przyjaciele tłumaczyli mi napisy: »Tutaj z zimną krwią rozstrzelano 300 Polaków« i »Zamordowano mojego jedyne go brata«. Miasto zostało zburzone przez Niemców, a teraz – gdy Cooley wykładała na UW – było oplecione mackami Sowietów. Amerykanka szybko znalazła się na oku bezpieki. Śledzono ją, inwigilowano ludzi, z którymi się kontaktowała. W końcu Cooley postanowiła wyjechać.

W nowej „Karcie” znalazł się też zbiór relacji na temat projektu realizowanego przez Niemców w okupowanej Polsce. Mowa o autostradzie Berlin – Poznań. Niemcy budowali ją m.in. rękoma żydowskich niewolników. ©

„KARTA”
110/2022

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Szablista – szpieg

To była prawdziwa sensacja, gdy wiosną 1975 r. nagle zniknął Jerzy Pawłowski – ulubieniec całego kraju, wielokrotny medalista igrzysk olimpijskich i mistrzostw świata, któremu przyznano tytuł szablisty wszech czasów. Media milczały na ten temat, a nazwisko szermierza w ogóle przestało być wymieniane. To zrodziło

dek mienia oraz degradację do stopnia szeregowca.

Wyrok uznano za niezrozumiały i zastanawiano się, dlaczego sportowiec uszedł z życiem. Czyżby ekipa Gierka obawiała się reakcji światowej opinii publicznej? Ostatecznie nie były to czasy, w których wieszano (czy rozstrzeliwano) znanych na całym świecie sportowców, i rządzący mogli się więc obawiać międzynarodowych reperkusji. Sytuację dodatkowo komplikowało to, że akurat ten sportowiec był posiadaczem legitymacji partyjnej z osobistym podpisem Władysława Gomułki.

„Publicznie ogłoszono jedynie wyrok, bez uzasadnienia, i to było pewne zaskoczenie – wspominał Janusz Atlas. – Oficer służby czynnej przyłapany na szpiegostwie i po udowodnieniu przez sąd winy może dostać tylko jeden wyrok: czapę! Ale sądy Peerelu miały swoiste poczucie sprawiedliwości. Pawłowskiemu podarowano głowę za ćwierć wieku odsiadki. [...] Wysoce prawdopodobne, że wysokość wyroku dla »Pawła« ustalał nie sąd wojskowy, tylko Biuro Polityczne KC PZPR, zwłaszcza że miało już wprawę w takiej robocie”.

Jedni podejrzewali, że być może w przyszłości Pawłowski będzie potrzebny na wymianę szpiegów, inni twierdzili, że musiał w śledztwie zdradzić wiele tajemnic, za co kupił sobie życie. Nikt nie przypuszczał, że działalność wywiadowcza szablisty była po prostu tragifarsą, a on sam miał na sumieniu współpracę z organami bezpieczeństwa i kontrwywiadem PRL... ©

Opinia społeczna spodziewała się najwyższego wymiaru kary

plotkę, że sportowiec został zastrzelony przez SB na Okęciu, gdy próbował uciec do USA. Od lat miał być amerykańskim szpiegiem, który za sowitą opłatą przekazywał na Zachód tajne informacje.

Pogłoski o szpiegostwie niebawem się potwierdziły – w połowie czerwca „Trybuna Ludu” zamieściła informację o prowadzonym przeciwko szablistcie śledztwie oraz o jego aresztowaniu. Opinia społeczna spodziewała się najwyższego wymiaru kary (zawodnik był majorem LWP), a sprawą dyskusyjną było tylko to, czy szermierza powieszą czy rozstrzelają. Okazało się jednak, że władze wybrały inne rozwiązanie.

Niemal dokładnie rok później, 8 kwietnia 1976 r., Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego skazał Pawłowskiego na 25 lat pozbawienia wolności, utratę praw publicznych na 10 lat, przepa-

12. ROCZNICA KATASTROFY SMOLENSKIEJ

niedziela
10 kwietnia 2022 r.
studio specjalne
w Telewizji Republika

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, za pośrednictwem Internetu oraz drogą naziemną w systemie DVB-T (Katowice i bliska okolica), a także w systemie DVB-T2 (Warszawa, Wrocław i okolice tych miast).



Ze Swiatłaną Cichanouską, liderką białoruskiej opozycji
rozmawia *Maciej Pieczyński*

Zwycięstwo Ukrainy

byłoby szansą dla wolnej Białorusi

MACIEJ PIECZYŃSKI: „Mam nadzieję, że pan Putin jest mądrym człowiekiem i mądrym przywódcą. [...] Powinien zrozumieć, że Białorusini nie akceptują żadnych ustaleń, uzgodnionych przez niego z Łukaszenką, ponieważ nie uważają już Łukaszenki za swojego prezydenta” – stwierdziła pani podczas naszej ostatniej rozmowy dla „Do Rzeczy”, jesienią 2020 r. A co dziś myśli pani o Putinie?

SWIATŁANA CICHANOUSKA: Oczywiście od tamtego czasu sytuacja bardzo się zmieniła. W zasadzie już kilka miesięcy po tym, jak rozpoczęło się powstanie na Białorusi, stało się oczywiste, że Kreml dokonał wyboru i postanowił wspierać reżim Łukaszenki. Dziś już wiemy, że prawdziwym celem Moskwy jest ponowne podporządkowanie sobie państw byłego Związku Sowieckiego oraz umacnianie potęgi „rosyjskiego świata”. Nie jest ważne, co ja myślę o Putinie. Ważna jest opinia moich rodaków. Jeszcze do niedawna Białorusini nie

mieli negatywnego stosunku do Rosji czy nawet do Kremla. Również dlatego, że większość z nich nieszczególnie interesowała się polityką. Dziś natomiast staje się oczywiste, że działania Kremla zagrażają bezpieczeństwu również Białorusinów...

A kiedy to się stało oczywiście? Po tym, jak Putin poparł Łukaszenkę w walce z rewolucją czy dopiero po inwazji na Ukrainę?

Przez półtora roku po sfałszowanych wyborach prezydenckich poziom sympatii prorosyjskich na Białorusi spadał, ale bardzo powoli. Mimo wszystko momentem przełomowym była jednak inwazja na Ukrainę. Białorusini bardzo się boją, że ich kraj może zostać wciągnięty bezpośrednio do wojny. Młodzi ludzie w wieku poborowym masowo uciekają za granicę. Jadą na Zachód, nie do Rosji. A to dlatego, że dziś na Białorusi Rosja kojarzy się z wojną, a Zachód – z pokojem.

Czyli jeszcze przed wybuchem pełnowymiarowej wojny na Ukrainie miała pani pewne nadzieje, że białoruska opozycja może w sprzyjających okolicznościach dojść do jakiejś formy porozumienia z Putinem?

Nie, nie miałam takiej nadziei. Podkreślałam jednak, że nie walczymy z żadnym wrogiem zewnętrznym, ponieważ naszym celem jest pokonanie wroga wewnętrznego – reżimu Łukaszenki. Dlatego nie chcieliśmy psuć relacji z jakimkolwiek państwem, ponieważ rządy państw się zmieniają, ale ludzie pozostają. Nie chcieliśmy więc nazywać Rosji naszym wrogiem, bo to nie byłaby prawda.

Również jesienią 2020 r. mówiła mi pani w wywiadzie, że wolna Białoruś powinna utrzymywać dobre relacje zarówno z Europą, jak i z Rosją. Dalej pani tak uważa? Czy może jednak w obecnej sytuacji lepszy byłby kurs jednoznacznie prozachodni?

Silne związki, jakie łączyły Białorusi-
nów z Rosjanami, mogą zostać utracone
na długie lata. Wiele zależy od tego, czy
wojska białoruskie wkroczą na Ukrainę.
Niezależnie jednak od rozwoju sytuacji
widać wyraźnie, że Rosja obecnie nie
może być gwarantem bezpieczeństwa,
również gospodarczego, dla Białorusi.
Sankcje już teraz powodują drastyczny
spadek poziomu życia w Rosji. A będzie
coraz gorzej. Białorusini to dostrzegają
i rozumieją. Rosja jest w kryzysie.
Europa zaś rozkwita. Dziś to właśnie
Europa gwarantuje stabilizację, która dla
moich rodaków jest wartością niezwykle
ważną. Ja im jednak nie będę narzucać
kierunków geopolitycznych. Oni sami je
w przyszłości wybiorą.

Ale gdyby jednak pani mogła o tym zdecydować, to jaki kierunek by pani wybrała: dalsza integracja z Rosją, neutralność, wejście do NATO czy Unii Europejskiej?

Nie mogę dziś mówić w swoim imieniu jako osoby prywatnej, powinien pan to zrozumieć. Zapytajmy Białorusinów.

Czy wojna na Ukrainie to wojna Putina czy Rosjan?

Mimo wszystko jest to wojna Kremla. Chociaż widzimy, że według sondaży ok. 70 proc. Rosjan ją popiera. Myślę jednak, że przyczyną tak dużego poparcia dla wojny w Rosji jest bardzo skuteczna praca kremłowskiej propagandy. Rosjanie nie znają prawdy o tzw. operacji specjalnej. Albo nie chcą tej prawdy znać. Bezrefleksyjnie powtarzają opowieści o „ukraińskich nazistach” czy o „zagrożeniu ze strony NATO”, ponieważ nie wiedzą bądź też woła dla świętego spokoju nie wiedzieć, co się dzieje. Mimo wszystko to jest wojna Kremla, nie Rosjan.

Imperializm rosyjski nie narodził się wraz z przyjściem do władzy Putina. Może więc problem tkwi w Rosji i Rosjanach, a nie w obecnych lokatorach Kremla?

Równie dobrze można byłoby powiedzieć, że coś nie tak jest z Niemcami. Ja jednak uważam, że o kierunku polityki państwa decyduje przywódca, a nie zwykli ludzie, którzy są podatni na wpływy propagandy. Jeśli cały czas im się wmawia, że ich kraj jest imperium, które powinno odzyskać dawne granice, to oni zaczynają w to wierzyć. Gdyby w Rosji pojawił się lider o poglądach prozachodnich i nagle by ogłosił, że NATO nie jest zagrożeniem, to ludzie też by go posłuchali.

Był taki jeden. Borys Jelcyn. Dziś wielu Rosjan źle go wspomina.

Rosjanie mają swoją ugruntowaną mentalność. Białorusini również pozostają pod jej wpływem. Oba narody przez wieki swojej historii przywykły, że zawsze stał nad nimi gospodarz z pałką i knutem, którego trzeba było słuchać albo ignorować i robić swoje. Ale świat się zmienia. Również w Rosji, choć z uwagi na wielkość tego kraju zmiany zachodzą tam wolniej.

Rozmawiamy 27 marca. Ponad miesiąc od wybuchu pełnowymiarowej wojny. Dlaczego Białoruś Łukaszenki wciąż jeszcze nie napadła na Ukrainę?

Na pewno nie dlatego, że Łukaszenka tego nie chce. Przez 27 lat rządów Łukaszenka balansował pomiędzy Rosją a Zachodem. Zawsze potrafił znaleźć dla siebie jakieś dobre wyjście. Przypomnijmy sobie jego retorykę w pierwszych dniach wojny. Zapewniał wtedy, że Rosjanie podbiją Ukrainę w ciągu kilku dni. Powtarzał: „My z Putinem zajmujemy Kijów”. Był wówczas przekonany, że stoi po stronie zwycięzcy. Zmienił ton, gdy rosyjska ofensywa wyhamowała. Teraz jest bardziej ostrożny. Próbuje wmówić światu, że Białoruś nie bierze udziału w wojnie i nigdy na Ukrainę nie napadnie. A w tym samym czasie na ukraińskie miasta spadają rakiety wystrzeliwane z białoruskiego terytorium. Część ekspertów uważa, że Łukaszenka nie chce wziąć bezpośredniego udziału w wojnie, ponieważ wówczas utraciłby wszelkie możliwe jeszcze kanały kontaktu z Zachodem.

Może więc Zachód powinien to wykorzystać i usiąść do rozmów z Łukaszenką, żeby rozbić sojusz Rosji i Białorusi? Propaganda Mińska pochwała działania Moskwy, ale zapewnia też, że Białorusini nie będą walczyć na Ukrainie. Może jest jakieś pole do rozmów? Być może zmiana kary dla Andżeliki Borys jest sygnałem, że Łukaszenka słabnie i jest gotów do ustępstw...

Możliwe. Pytanie jednak, czy Polska miałaby usiąść do rozmów tylko dlatego, że jednej etnicznej Polce zmieniono sposób odbywania kary z więzienia na areszt domowy. Oczywiście cieszę się, że sytuacja Andżeliki Borys się

polepszyła. Trzeba jednak pamiętać, że Łukaszenka wciąż przetrzymuje tysiące więźniów politycznych. Jeszcze parę miesięcy temu Łukaszenka zarzekał się, że nigdy z naszego terytorium nie wyruszą czołgi na Ukrainę. Temu człowiekowi nie można wierzyć. Moim zdaniem Łukaszenka nie chce wejść do wojny, ponieważ nie jest pewien lojalności ze strony własnej armii. Nie ma pewności, ■

FOT. JACEK DOMINSKI/REPORTER



■ czy żołnierze go posłuchają, gdy wyda rozkaz do ataku na Ukrainę.

Jaki jest stosunek Białorusinów do tej wojny?

Według badań tylko ok. 4,8 proc. Białorusinów uważa, że należy wysłać wojska na Ukrainę. Łukaszenka cieszy się obecnie mniej więcej 15–20-procentowym poparciem. A to oznacza, że nawet jego zwolennicy nie chcą tej wojny. Nawet oni rozumieją, jakie konsekwencje musiałaby ponieść Białoruś, gdyby wzięła czynny udział w konflikcie.

Czyli Białorusini pani zdaniem nie wejdą na Ukrainę?

Myślę, że nie. Oczywiście nie wiadomo, czy i jak mocne będą naciski ze strony Kremla...

Jeśli Putin próbuje zmusić Łukaszenkę do agresji, a ten odmawia, to by znaczyło, że białoruski dyktator nie jest aż tak wiernym wasalem Moskwy.

Jest wasalem. Być może jednak gra na czas, licząc, że wskutek wojny Putin straci władzę. Łukaszenka jak zwykle chce po prostu uniknąć odpowiedzialności. Część ekspertów uważa jeszcze inaczej – że Kreml wcale nie chce, aby Mińsk wziął czynny udział w wojnie. Obecnie Rosja może wykorzystywać Białoruś do omijania sankcji. To się zmieni, gdy z powodu napaści na Ukrainę również Białoruś zostanie objęta ograniczeniami. Inna sprawa, że Łukaszenka nie kontroluje żołnierzy rosyjskich stacjonujących na naszym terenie. Pytanie, czy w ogóle kontroluje wojska białoruskie, pozostaje otwarte... Możliwe, że w przypadku agresji doszłoby do masowych dezercji. Żołnierze białoruscy mogliby składać broń i oddawać się do niewoli. Zarówno Mińsk, jak i Moskwa na pewno zdają sobie sprawę z takiego ryzyka.

Nie boi się pani, że z powodu napaści na Ukrainę świat zapomni o Białorusi?

Obecna sytuacja geopolityczna dobitnie pokazuje, że walka o wolną Białoruś jest konieczna również dla bezpieczeństwa w regionie. Świat to doskonale rozumie. Agresywny reżim w Mińsku zawsze będzie stwarzał zagrożenie zarówno dla Ukrainy, jak i dla Zachodu. Robimy, co możliwe, aby świat o nas nie zapomniał. Trzeba pamiętać, że tysiące niewinnych ludzi siedzi w białoruskich więzieniach. Dziś trochę mniej się o nich mówi. To o tyle zrozumiałe, że sytuacja na Ukrainie jest obecnie o wiele poważ-

Uchodźców należy przyjmować wyłącznie wówczas, gdy uciekają przed prawdziwym zagrożeniem. Takim, jakim dziś jest wojna na Ukrainie

niejsza niż na Białorusi. Ale nie można licytować się, kto odczuwa większy ból. Bólem trzeba się za to dzielić z innymi, bo wtedy jest lżej. Dlatego my, białoruscy opozycjoniści, wspieramy Ukrainę, ale przy tym nie zapominamy o naszych ludziach.

Biało-czerwono-biała rewolucja poniosła porażkę. Nie udało się obalić Łukaszenki. Nie straciła pani jeszcze nadziei na demokratyzację Białorusi?

Wie pan, Solidarność też nie wygrała od razu. Czekają na zwycięstwo z komunizmem prawie dekadę. Nie składała broni. Nie przegraliśmy. Dalej walczymy. Rzeczywiście, na początku wydawało nam się, że jeszcze chwila i obalimy dyktatora. Nie doceniliśmy okrucieństwa i bezwzględności Łukaszenki. Ale on wie, że ta walka jeszcze się nie skończyła.

W jaki sposób możecie jeszcze wygrać? Ma pani jakiś konkretny plan, scenariusz?

Wiele się jeszcze może wydarzyć. Jeśli Rosja upadnie pod ciężarem wojny, to Łukaszenka będzie musiał ratować swoje życie. On wie, że bez pomocy Kremla nie utrzyma się przy władzy. Zapewne ucieknie z kraju. Nie będzie mógł wziąć udziału w żadnych wolnych wyborach, bo nigdy nikt go nie wybierze. Łukaszenka będzie walczył o siebie, o swój los, a nie o swój kraj.

Gdy w 2014 r. demokratyczna opozycja obaliła w Kijowie prorosyjskiego satrapę, Rosja zajęła Krym i Donbas. Osiem lat później napadła na resztę kraju. Czy nie obawia się pani, że podobnie byłoby w przypadku Białorusi? Że gdybyście obalili Łukaszenkę, Putin wysłałby czołgi na Mińsk?

Gdy zaczynaliśmy walkę o wolność, nie obawialiśmy się żadnej wojny. Przyszłość Białorusi zależy w dużej mierze od rozwoju sytuacji na froncie rosyjsko-ukraińskim. Siły świata demokratycznego są zjednoczone i zaangażowane w pomoc dla Ukrainy. Jeśli jednak, czysto hipotetycznie, ta jedność i zaangażowanie okazały się niewystarczające i Kijów upadnie, to o wolnej Białorusi będzie

można zapomnieć na długie lata. Oby narodom pozostanie wojna partyzancka. Jeśli zaś Ukraina zwycięży, to będzie to oznaczało ogromną szansę dla Białorusinów. Wówczas staniemy jeszcze raz do walki i dokończymy to, co zaczęliśmy w sierpniu 2020 r.

W zemście za wsparcie waszej rewolucji Łukaszenka wywołał na granicy m.in. z Polską kryzys migracyjny. Mógł wygrać, bo szermował popularną na Zachodzie lewicową retoryką, próbując wymusić przyjęcie „uchodźców” w myśli „europejskich wartości”. A jednak, wszystko na to wskazuje, przegrał. Dlaczego?

Łukaszenka wywierał potężne naciski na Warszawę, aby przyjęła uchodźców. Również wiele środowisk w samej Polsce przekonywało, że trzeba ich wpuścić. Ale uchodźców należy przyjmować wyłącznie wówczas, gdy uciekają przed prawdziwym zagrożeniem. Takim, jakim dziś jest wojna na Ukrainie. Wszyscy na Zachodzie wiedzieli, że kryzys migracyjny był tak naprawdę zaplanowanym i zorganizowanym przez Łukaszenkę atakiem hybrydowym na Litwę i Polskę. Bardzo dobrze, że nie poddałście się temu szantażowi. Jedyne, z czym ciężko mi się pogodzić, to budowa murów między naszymi krajami. Rozumiem, że to było konieczne, ale mam nadzieję, że te mury kiedyś runą.

Jak pani ocenia zaangażowanie Polski na wschodzie – najpierw wsparcie waszej opozycji, teraz wsparcie Ukrainy?

Polska jako państwo graniczne Unii Europejskiej i NATO zderzyła się z agresywną polityką Rosji i białoruskiej dyktatury. Uważam, że idealnie radzicie sobie z wynikającymi stąd problemami. Od półtora roku pomagacie Białorusinom. Teraz przyjęliście ponad 2 mln uchodźców z Ukrainy. Ponosicie ogromny ciężar, ale wciąż dajecie radę. Głos Polski na arenie międzynarodowej jest śmiały i donośny.

Niedawno pani mąż, Siarhiej Cichanouski, został skazany na 18 lat pozbawienia wolności za działalność opozycyjną. Co pani poczuła na wieść o tym?

Byłam gotowa na to, że dostanie wysoki wyrok. Oczywiście i tak to był pewien szok. Zrozumiałam jednak, że niezależnie od tego, ile lat reżim zasądził mojemu mężowi i innym opozycjonistom, naszym obowiązkiem jest walczyć o ich wolność. Nie chcę, by moje dzieci dorastały bez ojca. 18 to tylko liczba. Wierzę, że mój mąż nie spędzi za murami aż tylu lat.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

STRAŻNIK PAMIĘCI

2022



DO
RZECZY

HISTORIA
RZECZY



PARTNER
STRATEGICZNY

Aktywiści broniący „praw kobiet”
do aborcji, Los Angeles, 5 marca 2022 r.
FOT. SARAH MORRIS/GETTY IMAGES



Piotr Włoczyk

Jeżeli nikt nie zatrzyma tego szaleństwa, to niedługo Kalifornia będzie pozwalała na dzieciobójstwo

Ustawa, która wywołała szok i niedowierzanie w amerykańskim środowisku pro-life, nazwana została AB 2223. Zgłosiła ją w marcu Buffy Wicks, przedstawicielka Partii Demokratycznej ze Zgromadzenia Stanowego Kalifornii. Początkowo zdziwienie budził język ustawy, który „unowocześniał” aborcyjną nomenklaturę. Wszystkie „kobiety” i „matki” mają zostać na mocy nowego prawa zastąpione „osobami w ciąży”. Dodatkowo zwrócono uwagę na wprowadzenie do kalifornijskiego prawa aborcyjnego elementu „sprawiedliwości rasowej”. AB 2223 przedstawia bowiem aborcję bez żadnych ograniczeń jako wyraz pełnej emancypacji mniejszości etnicznych.

Dopiero później proliferzy zwrócili uwagę na dwa słowa – „śmierć okołoporodowa” – które pojawiają się w projekcie ustawy w bardzo niepokojącym kontekście.

Propozycja zmiany prawa stanowi bowiem, że „osoba” nie będzie odpowiadała ani pod względem karnym, ani cywilnym, jeżeli jej działania czy zaniechania doprowadzą do jakiegokolwiek „wyniku ciąży”, wliczając w to poronienie, martwy poród, aborcję lub śmierć okołoporodową. Prawo popierane przez demokratów z Kalifornii pozwala na ubieganie się o odszkodowanie, gdyby organy ścigania chciały mimo wszystko badać okoliczności śmierci noworodka.

„To prawo jest barbarzyństwem, którego żadne cywilizowane społeczeństwo nie powinno nawet omawiać. Wszyscy ludzie posiadający sumienie, którzy uznają wartość życia ludzkiego, muszą się temu prawu stanowczo sprzeciwić” – mówi Charles LiMandri, amerykański adwokat, współpracownik Thomas More Society, konserwatywnej organizacji z Chicago broniącej tradycyjnych wartości.

FURTKA DO ZABIJANIA

W związku z tym, że w AB 2223 nie doprecyzowano, jak dokładnie rozumieć okres okołoporodowy, amerykańscy pro-



liferzy alarmują, że prawo to w rzeczywistości otwiera furtkę nie tylko aborcji bez żadnych ograniczeń, lecz także wręcz pozwala na zabijanie noworodków.

„AB 2223 dosłownie legalizuje dzieciobójstwo” – przekonuje w specjalnym komunikacie amerykańska organizacja pro-life Right to Life League.

– To prawo bazuje na fałszywej narracji forsowanej przez ponad pół wieku przez lobby aborcyjne: nikt nie wie, kiedy zaczyna się życie – mówi Charles LiMandri w rozmowie z portalem Life Site News. – Żadna zdrowa na umyśle osoba nie zaprzeczy, że noworodek jest w pełni ukształtowanym człowiekiem, który jest zdolny odczuwać ból. A jednak włączając do wyjątków „okres okołoporodowy”, ustawa pozwalałaby de facto na mordowanie noworodków.

Jak zwracają uwagę amerykańscy pro-liferzy, projekt tej proaborcyjnej ustawy stoi w sprzeczności z Born-Alive Infants Protection Act, prawem uchwalonym w 2002 r. przez Kongres USA. Ustawa ta, której wielkim zwolennikiem był George

żyli aborcję jak najbardziej dosłownie, czyli lekarze chcieli ich zabić w łonach ich matek, ale oni jakimś cudem to przeżyli – powiedziała w rozmowie z „Do Rzeczy” Melissa Ohden. – Ja osobiście weszłam w kontakt z 253 osobami, które przeżyły aborcję. Ci ludzie czują się z tym bardzo samotni, wiedza o narodzinach w wyniku aborcji może zrujnować psychikę. Tych, którzy przeżyli, zatruwa myśl, że byli niechciani.

Choć Melissa Ohden urodziła się w trakcie aborcji żywa, lekarz wyrzucił ją do pojemnika na odpadki medyczne. Język, jakim napisana jest AB 2223, pozwala, by do takiego horroru dochodziło w majestacie prawa.

– Miałam tam zginąć. Uratowała mnie pewna pielęgniarka, którą poruszyło sumienie. Niedawno skontaktowała się ze mną inna pielęgniarka z tego szpitala – opowiada Ohden. – Powiedziała mi, że od lat śledzi moją działalność pro-life i zastanawiała się, czy to ja jestem tym dzieckiem po aborcji, które na jej oczach zostało wniesione na intensywną terapię

napotkać problemy. W zeszłym miesiącu podpisał on prawo, na mocy którego w rządzonym przez niego stanie nie trzeba będzie płacić za aborcję. Obecnie zaś w stanowym parlamencie omawiany jest projekt ustawy, który stworzyłby specjalny fundusz pozwalający mieszkankom innych stanów przyjechać do Kalifornii, by dokonać aborcji. Szczególnie złą sławą cieszy się wśród władz Kalifornii Teksas, w którym od pół roku obowiązuje najbardziej restrykcyjna ustawa aborcyjna w USA. Zakazuje ona aborcji od momentu, gdy można wykryć bicie serca (zazwyczaj ma to miejsce ok. szóstego tygodnia ciąży). I to właśnie głównie do mieszkańców Teksasu gubernator Newsom kieruje swoje proaborcyjne przesłanie.

Jak zwracają uwagę amerykańscy prawnicy ze środowiska pro-life, AB 2223 pozwalałaby legalnie działać w Kalifornii Kermitowi Gosnellowi. Ten potworny amerykański aborcjonista z Filadelfii specjalizował się właśnie w późnych aborcjach i osiadał obecnie dożywocie, m.in. za zamordowanie trzech noworodków, które jakimś cudem nie zginęły w trakcie przeprowadzanych przez niego aborcji. Jakby tego było mało, AB 2223 przewiduje dodatkowo, że osoba, wobec której organy ścigania wszczęłyby dochodzenie w związku ze śmiercią noworodka, może domagać się zasądzenia odszkodowania za „nękanie”...

AB 2223 to w tym momencie najbardziej skrajny przykład ulegania wpływom lobby aborcyjnego, ale podobna ustawa, choć nie tak ekstremalna, powstała niedawno w zgromadzeniu stanowym Maryland. Tamtejsi demokraci postanowili zalegalizować uśmiercanie noworodków, do którego doszłoby z powodu „zaniedbania opieki”, czyli np. chore dziecko można by w majestacie prawa pozostawić po urodzeniu bez jakiegokolwiek opieki.

„Jedną ustawę, która wychodzi z niebieskiego stanu [kolor Partii Demokratycznej – przyp. red.] i pozwala na uśmiercenie noworodka poprzez zaniedbanie, można traktować jako anomalię. Jednak druga ustawa, która pozwala na to samo, a nawet idzie w tym dalej, ponieważ w zasadzie pozwala również na dzieciobójstwo, to już model działania. Jak widać, kulturowa lewica przeciera nowy szlak w barbarzyństwie” – podsumowuje całą sprawę na łamach „National Review” Wesley J. Smith, konserwatywny publicysta i adwokat z Discovery Institute. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Noworodki poza prawem

W. Bush, miała na celu nałożenie na służby medyczne obowiązku ratowania dzieci, które urodziły się w wyniku „nieudanej” aborcji. Chodziło o to, by ofiary tzw. późnych aborcji (w niektórych amerykańskich stanach aborcji można dokonywać bez żadnych przeszkód aż do dziewiątego miesiąca ciąży), które jakimś cudem przeżywają te „zabiegi”, nie zostały zamordowane po niechcianych narodzinach.

W Stanach Zjednoczonych istnieje wyspecjalizowana organizacja pro-life, która prowadzi działania mające na celu wyeliminowanie późnych aborcji. Abortion Survivors Network kieruje Melissa Ohden, która w 1977 r. sama cudem przeżyła własną późną aborcję. Ginekolog starał się ją zabić roztworem soli, ale akurat tym razem metoda ta nie zadziałała.

– Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, że wśród nas żyją ludzie, którzy prze-

zez pewną pielęgniarkę. Ta kobieta powiedziała poruszające dla mnie słowa: „To dziecko walczyło, żeby nabrać powietrza. Walczyło o każdy haust. Nie mogłam pozwolić, by umarło”.

„ABORCYJNE SANKTUARIUM”

Dlaczego demokraci z Kalifornii pozwalają, by taka propozycja trafiła pod obrady Zgromadzenia Stanowego? Otóż gubernator Gavin Newsom (polityk Partii Demokratycznej) zapowiadał, że Kalifornia stanie się pod jego rządami „aborcyjnym sanktuarium”.

Kalifornia ma być aborcyjnym „prymusem” wśród grona najbardziej progresywnych stanów. W związku z tym, że coraz więcej stanów rządzonych przez republikanów wprowadza daleko idące restrykcje, Newsom zaprasza do Kalifornii wszystkie „osoby w ciąży”, które w swoich własnych stanach mogą



KONIEC WAKACJI W NORYLSKU!

Wiele krajów świata nałożyło sankcje na Rosję po tym, jak ten kraj najechał Ukrainę. Rosyjskie samoloty uziemiono, a wielu oligarchów i polityków dostało zakaz wjazdu. Rosjanie uznali te kraje za „wrogię”. I odpowiedzieli własnymi sankcjami. Siergiej Ławrow, szef MZS Rosji, zapowiedział, że obywatele „krajów wrogich” będą mieli zakaz wjazdu na teren Rosji. I co mają zrobić ci wszyscy, którzy wybierali się na wakacje do Norylska czy innego Czelabińska, by inhalować się przemysłowym smogiem i drzeć z zimna?

FOT. SICHENOV VLADIMIR/ADBE STOCK

POJECHALI NA WOJNĘ, ZOBACZYLI ASFALT

Nagrania rosyjskich żołnierzy, które przechwytują i publikują ukraińskie służby, są przeważnie wstrząsające. Trafiają się też jednak i takie, które sporo mówią o tym, jak bardzo mlekiem i miodem płynącą krainą jest Rosja. Z wielu rozmów wynika, że agresorzy są zaskoczeni poziomem życia Ukraińców. „Niektórzy po raz pierwszy zobaczyli asfalt i uliczne latarnie” – napisał na Twitterze Siergiej Sumlenny, ekspert ds. Europy Wschodniej, były dyrektor kijowskiego oddziału Fundacji im. Heinricha Bölla.

RADIOAKTYWNE OKOPY

Czerwony Las to najbardziej skażony teren w okolicach elektrowni atomowej w Czar-nobyli. Według szefa rady nadzorczej w Państwowej Agencji Ukrainy do Zarządzenia Strefą Wykluczenia – Ołeksandra Syroty – rosyjscy wojskowi dostali rozkaz okopania się właśnie tam. „Z całego serca życzę im: kopać głębiej, siedzieć dłużej!” – napisał w Internecie Syrota.

NIEFORTUNNE ŻYCZENIA

Wiceminister obrony Federacji Rosyjskiej Junus-biek Jewkurow odwiedził w szpitalu żołnierzy, których jego kraj wysłał, by napadli na Ukrainę. Urzędnik wręczył rannemu medal. I na koniec spotkania powiedział, że ma nadzieję, iż „żołnierz szybko stanie na nogi”. Wojak, do którego to mówił, na Ukrainie stracił nogę.

LUNAPARKI ROZDZIELNE PŁCOWO

W Kabulu wciąż działają jeszcze parki rozrywki. Rząd talibów postanowił jednak uporządkować korzystanie z nich. Afgańskie Ministerstwo Promocji Cnót i Zapobiegania Występkom poinformowało, że wyznaczono oddzielne dni, w których z takich przybytków będą mogły korzystać kobiety, i oddzielne, w które zabawa w lunaparkach będzie wyłącznie dla mężczyzn. Kobiety dostały trzy dni (niedziela, poniedziałek i wtorek), a mężczyźni pozostałe cztery. ©©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Podążać za prawdą

Elon Musk, ekscentryczny miliarder, który marzy o kolonizacji Marsa, wyzwał na pojedynek Władimira Putina, a nad objętą działaniami wojennymi Ukrainą uruchomił satelitarny Internet w zaledwie kilka godzin po tym, jak poprosił go o to na Twitterze ukraiński wicepremier i minister transformacji cyfrowej Mychajło Fedorow.

Wkrótce szef takich firm jak Tesla oraz Space X może rzucić rękawicę Twitterowi. Musk oskarża bowiem technologicznego giganta o ograniczanie wolności słowa. „Biorąc pod uwagę, że Twitter służy jako swego rodzaju publiczny,

miejski plac, nieprzestrzeganie zasad wolności słowa zasadniczo podważa demokrację” – podkreślił miliarder, sugerując, że rozważy uruchomienie własnej platformy.

Wcześniej konkurencję dla Twittera i Facebooka próbował stworzyć m.in. były prezydent Donald Trump. Jego serwis – Truth Social – zachęca, aby „podążać za prawdą”, choć obecnie serwis Trumpa jest dostępny tylko w USA. Nawet w Ameryce trudno na razie mówić o tym, aby Truth Social odniósł spektakularny sukces. Wielkiej popularności nie zdobyły też inne serwisy, tworzone jako konkurencja dla Twittera

czy Facebooka, jak choćby Parler, Rumble, Gettr czy Gab. Nie udało się również próba stworzenia polskiej alternatywy dla amerykańskich mediów społecznościowych.

Miejmy więc nadzieję, że Musk poważnie weźmie się za stworzenie platformy, opartej na otwartym, przejrzystym algorytmie i dającej pełną swobodę wypowiedzi osobom o najróżniejszych poglądach. Utrudniłaby ona obu gigantom ograniczanie wolności słowa i ukróciłaby harce lewicowych cenzorów, dających głos talibom, a jednocześnie blokujących posty konserwatywnych polityków. ©©



W internetowym oceanie **NIE DAJ SIĘ** złapać na haczyk!

- Jak dbać o swoje dane w sieci?
- Jak nie dać się oszukać?
- Co zrobić, jeśli zostałeś oszukany?



Sprawdź na: **tauron.pl/bezpieczenstwo**

eprasa.pl d64f26bbe1

Odkręcanie zmian



Łukasz Warzecha

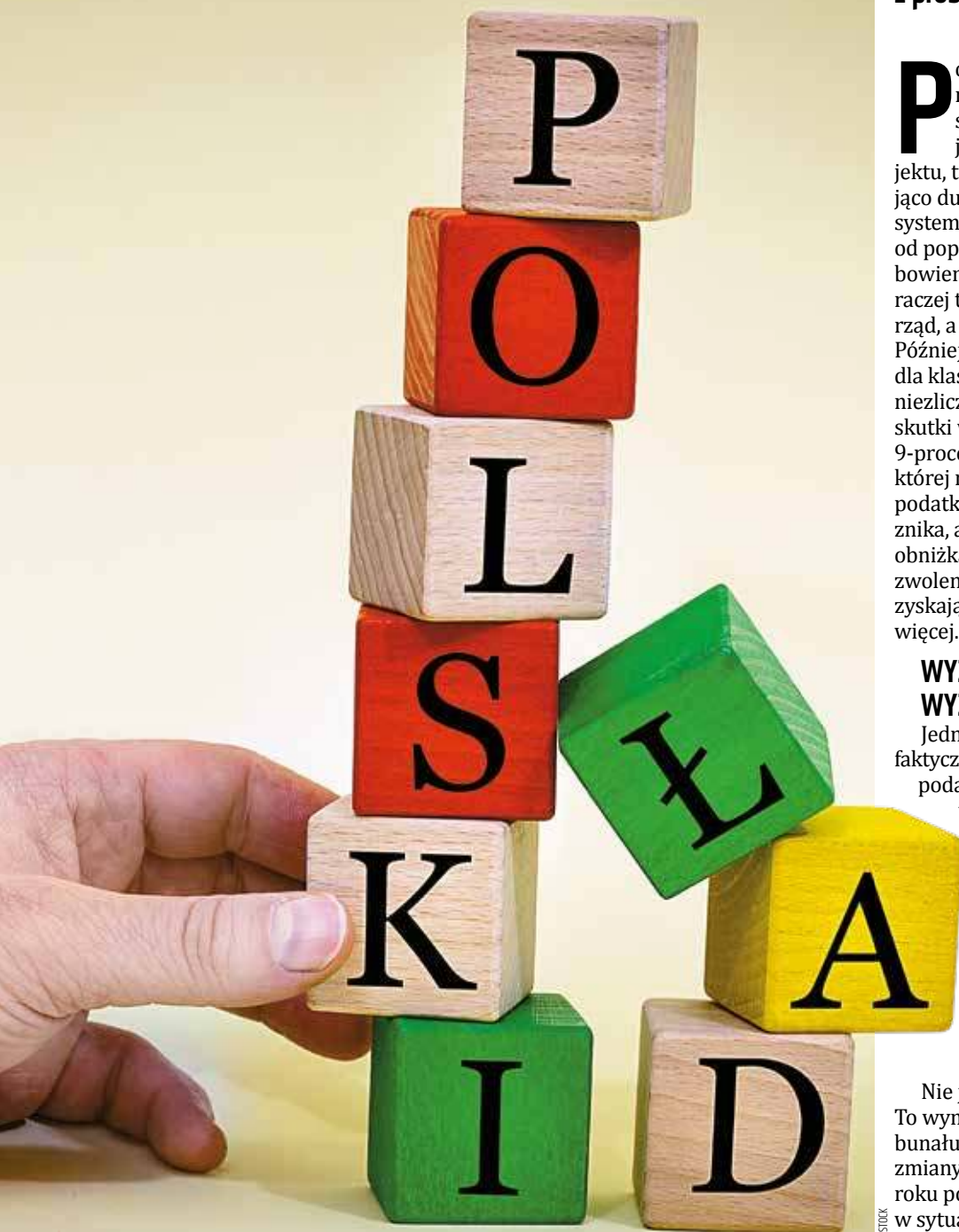
Rząd najpierw wprowadził Polski Ład, a teraz go rozmontował. Będzie lepiej, ale nadal wiąże się to z problemami dla podatników

Polski Ład został w dużej mierze rozmontowany. I chociaż najnowsze rządowe propozycje nie mają jeszcze kształtu gotowego projektu, to wiadomo już o nich wystarczająco dużo, żeby stwierdzić, że powstaje system podatkowy znacznie odchodzący od poprzednich założeń. Pierwotnie bowiem miało być gorzej bogatym, czy raczej tym, których za bogatych uznawał rząd, a odrobinę lepiej biedniejszym. Później pojawiła się niezgłębiona ulga dla klasy średniej, będąca inspiracją dla niezliczonych memów, nieco łagodząca skutki wprowadzonej przez Polski Ład 9-procentowej składki zdrowotnej, której nie można było już odliczać od podatku. Teraz ulga dla klasy średniej znika, a w zmian wchodzi generalna obniżka obciążeń, która budzi sprzeciw zwolenników redystrybucji. Na zmianie zyskają bowiem ci, którzy zarabiają więcej.

WYŻSZA KWOTA WOLNA, WYŻSZE PROGI

Jedno trzeba uczciwie przyznać: teraz faktycznie mamy do czynienia z obniżką podatków, którą można zmierzyć przewidywanym ubytkiem wpływów dla budżetu. W stosunku do poprzedniej wersji Polskiego Ładu jest to dodatkowo 15 mld zł, a w sumie ok. 31 mld zł. Jak oznajmił wiceminister finansów Artur Soboń, którego wysłano do Ministerstwa Finansów, aby zreperował kulejący projekt – z dotychczasowych rozwiązań zostanie wszystko to, co dobre.

Nie jest to jednak dobra wola władzy. To wymóg potwierdzany wyrokami Trybunału Konstytucyjnego. Zgodnie z nimi zmiany prawa podatkowego w ciągu roku podatkowego są możliwe jedynie w sytuacji, gdy są korzystne dla podatników. W innym przypadku musiałyby zostać poczynione do końca listopada



FOT. ADRIAN STOK

poprzedniego roku. Choć – jak zaznaczał TK np. w wyroku z 2012 r. dotyczącym zmian w podatku od kopalin – zasada ta nie obejmuje absolutnie wszystkich zmian w systemie podatkowym, a jedynie te, w przypadku PIT i CIT, które dotyczą przedmiotu, podmiotu, podstawy opodatkowania oraz stawek podatkowych.

Skoro jednak rządzący trzymają się koncepcji, że Polski Ład ma dać wyborcom powód do głosowania na PiS w wyborach jesienią przyszłego roku, to zmiany w systemie musieli wprowadzić w taki sposób, żeby były one dla podatników korzystne. Zostają zatem te punkty, które stanowią swego rodzaju rewolucję podatkową. Po pierwsze – podniesienie granicy drugiego progu podatkowego z 85 do 120 tys., a więc zmiana od dawna postulowana. Progi podatkowe nie były zmieniane od dobrze ponad dekady, a wynagrodzenia w tym czasie rosły, więc coraz więcej osób wpadało w drugi próg ze stawką 32 proc. Po drugie – podniesienie kwoty wolnej dla wszystkich podatników do 30 tys. zł.

Wreszcie trzecia rzecz, nowość w aktualnej wersji Polskiego Ładu, to obniże-

Zmiana w Polskim Ładzie daje korzyści w stosunku do poprzedniej wersji, ale i tak jest znacznie gorzej niż w poprzednim systemie

nie stawki podatku w pierwszym progu z 17 do 12 proc. Ale uwaga: wszystkie zmiany, zmniejszające obciążenia podatkowe, które pojawiły się w poprzedniej wersji Polskiego Ładu, trzeba było widzieć w kontekście znaczącego wzrostu składki zdrowotnej, niemożliwej do odliczenia. Przy określonym poziomie przychodów okazywało się zatem, że podwyższona znacząco kwota wolna nie ma właściwie znaczenia, ponieważ zjada ją całkowicie właśnie składka zdrowotna.

Wysoka składka zdrowotna uderzyła najmocniej w przedsiębiorców. Jedynie liniowcy, płacący 19-procentowy podatek, zyskali – również dzięki naciskowi rzecznika małych i średnich przedsiębiorców Adama Abramowicza

– swego rodzaju przywileju w postaci składki zdrowotnej obniżonej do 4,9 proc., lecz wciąż niemożliwej do odliczenia. Teraz rząd zapowiedział, że część prowadzących działalność gospodarczą swoje składki będzie jednak mogła odliczać od podstawy opodatkowania (czyli na ogół od przychodu). Ma to dotyczyć uproszczonych i popularnych form opodatkowania: właśnie podatku liniowego, ryczałtu oraz karty podatkowej.

NADAL NA MINUS

Nie jest jednak tak różowo, jak mogłoby się wydawać. „Dziennik Gazeta Prawna” opublikował analizę firmy Grant Thornton, pokazującą sytuację przedsiębiorcy na podatku liniowym. Okazuje się, że, owszem, zmiana w Polskim Ładzie daje korzyści w stosunku do poprzedniej jego wersji, ale i tak jest znacznie gorzej niż w poprzednim systemie. Dla przykładu: przy miesięcznym dochodzie brutto na poziomie 5 tys. zł liniowiec zyskuje w stosunku do poprzedniej wersji Polskiego Ładu rocznie 616 zł, ale traci aż 1925 zł względem starego

REKLAMA

**SKĄD BIERZE SIĘ BIEDA?
CZY KRYSYŚÓW EKONOMICZNYCH
NAPRAWDĘ NIE DA SIĘ UNIKNĄĆ?**

**KSIĄŻKA KTÓRA INSPIRUJE
DO MYŚLENIA, DYSKUSJI
I STAWIANIA PYTAŃ**

RM

■ systemu. Przy miesięcznym dochodzie na poziomie 30 tys. zł różnice są już bardzo uderzające: na plus w stosunku do dawnej wersji Ładu – 1653 zł rocznie, ale na minusie aż 14636 zł w relacji do dawnego systemu podatkowego.

Przedsiębiorcy padli także ofiarą niemiłosiernego zamieszania, które rząd wprowadził Polskim Ładem, i to już w dwóch wersjach. Problem wielu z nich polega na tym, że kierując się poprzednimi regulacjami, wybrali korzystniejszą według nich formę opodatkowania. Tyle że teraz zasady się ponownie zmieniają i poprzedni wybór może już nie być optymalny. Pytany o to wiceminister Soboń przyznał w Polskim Radiu 24, że „przedsiębiorcy, kiedy dokonywali wyboru metody opodatkowania w lutym, nie mieli pełnej wiedzy”. Zapowiedział, że pracuje z Krajową Izbą Doradców Podatkowych nad wprowadzeniem przepisu, który pozwalałby na ponowny wybór formy opodatkowania ex post, czyli przy rozliczaniu roku podatkowego.

Jest zatem trochę lepiej, ale wciąż wyraźnie gorzej niż poprzednio. A przypomnieć trzeba, że możliwość dokonania odliczeń nie dotyczy przecież etatowców. Oni nadal będą płacić 9-procentową składkę zdrowotną bez możliwości odliczenia jej od podatku albo choćby od przychodu, tyle że zamiast rekompensaty w postaci ulgi dla klasy średniej dostaną niższą stawkę PIT w pierwszym progu.

CICHY ODWRÓT OD IDEI

Dlaczego w takim razie niektórzy mówią o rozmontowaniu Polskiego Ładu i czy jest to uzasadnione stwierdzenie? Otóż – w znacznym stopniu tak. Nawet nie z powodu szczegółowych zmian (które dotyczą jeszcze m.in. rozliczeń samotnych rodziców czy korzystniejszych zasad pobierania zaliczek od osób składających nieszczęsny PIT-2), ale wydzwiku całości. Ekonomiści będący zwolennikami agresywnej redystrybucji i wyciskania pieniędzy z lepiej zarabiających – czyli de facto finansowej urawniłowki – nie są zachwyceni, ponieważ zauważają, że w nowej wersji Polski Ład, jeśli nadal można tej nazwy używać, daje korzyści nawet części osób z górnego decyla podatników (aczkolwiek względnie niewielkie i nie wszystkim). Oznacza to zatem ciche zerwanie z podstawową ideą programu, którą było równanie w dół i uderzenie w najlepiej zarabiających.

Z wyliczeń Centrum Analiz Ekonomicznych wynika zaś, że przy nowych regulacjach największy miesięczny zysk odczują małżeństwa w wieku emerytalnym, małżeństwa bez dzieci i małżeństwa z dziećmi, natomiast najmniej zyskają osoby samotne i samotni rodzice.

Generalnie mamy do czynienia z dobrą zmianą – niższe podatki to słuszny kierunek. Są też jednak gorsze strony Polskiego Ładu 2.0. Pierwsza z nich to sam fakt, że program, który i tak przebudowywał fundamentalnie system podatkowy, zostaje gruntownie zmieniony zaledwie po trzech miesiącach (choć

W nowej wersji Polski Ład daje korzyści nawet części osób z górnego decyla podatników (choć względnie niewielkie i nie wszystkim)

zmiany miałyby zacząć obowiązywać od połowy roku). Wydawnictwa, które zdążyły już przygotować świeże poradniki, jak sobie radzić z Polskim Ładem, rwą włosy z głowy, bo jeśli coś już poszło do druku, to można to spokojnie wysłać na przemiał (a papier drogi!). Księgowi muszą się uczyć wielu rzeczy od nowa, a podatnicy, którzy nie rozumieli już wcześniej, jak się właściwie mają rozliczać i co ich czeka w kwietniu przyszłego roku, teraz rozumieją jeszcze mniej.

To nie jest tylko kwestia psychicznego dyskomfortu. To wymierne straty. Wzrosną znów ceny usług księgowych, czas poświęcony przez przedsiębiorców na rozliczanie się z fiskusem albo zmianę formy działalności to również pieniądze, a niestabilność systemu podatkowego to czynnik zniechęcający do inwestowania, a nawet w ogóle do prowadzenia działalności gospodarczej.

Jest wreszcie kwestia luzowania fiskalnego w obecnej sytuacji gospodarczej. Właściwie dobrze jest, jeżeli podatnikom zostaje w kieszeni więcej pieniędzy. Problem w tym, że dzieje się to w momencie, gdy zbiega się bardzo wiele negatywnych czynników, a część z nich ta sytuacja może wzmocnić.

NAPĘDZANIE INFLACJI

Po pierwsze – więcej pieniędzy na rynku to wyższa inflacja. Luzowanie

fiskalne oznacza zneutralizowanie jakiegokolwiek antyinflacyjnych zabiegów Rady Polityki Pieniężnej w postaci podwyższania stóp procentowych, a to z kolei skłoni RPP do ich podwyższania nawet do poziomu – jak prorokują niektórzy ekonomiści – 7 proc. To zaś oznacza dramat co najmniej setek tysięcy kredytobiorców złotówkowych, których raty będą wyższe miesięcznie przynajmniej o kilkaset złotych w stosunku do drugiej połowy ubiegłego roku. W połączeniu z inflacją, która nieuchronnie zmierza ku poziomowi powyżej 10 proc., może to skutkować problemami ze spłatą kredytów, a to z kolei może być ciosem w stabilność systemu bankowego.

Po drugie – niższe podatki to mniej pieniędzy w budżecie o wspomniane 15 mld zł. Tymczasem zbiega się to z ogromnymi wydatkami na uchodźców z Ukrainy. Minister funduszy i polityki regionalnej Grzegorz Puda wyłożył sumę 24 mld zł tylko w tym roku (ministerstwo poinformowało o tym na Twitterze, po czym po paru godzinach tweet skasowało).

Po trzecie – w życie weszła Ustawa o obronie Ojczyzny, która zakłada podwyższenie wydatków na wojsko już w przyszłym roku do 3 proc. PKB. Pytanie jest oczywiste: Skąd brać te pieniądze?

Po czwarte – ogłoszona właśnie decyzja o jednostronnej rezygnacji Polski z rosyjskich surowców energetycznych oznacza nieuchronny wzrost cen ropy, węgla (Polska nie jest w stanie własnym wydobyciem uzupełnić luki, będzie więc zmuszona sprowadzać droższy od rosyjskiego węgiel z zagranicy), być może także gazu (zależy, co pod koniec tego roku popłynie przez Baltic Pipe), co z kolei oznacza jeszcze jeden impuls inflacyjny. Na to nałożą się pieniądze pozostające w kieszeniach Polaków w związku ze zmianami. A teraz – patrz punkt pierwszy.

Próżno szukać dziś całościowej ekonomicznej analizy, która byłaby w stanie uwzględnić wszystkie działające czynniki, również dlatego, że wojna na Ukrainie wciąż trwa, a dopóki tak jest, dopóty polska, europejska i światowa gospodarka są w stanie rozdraganie. Jedno natomiast jest pewne: instalowanie Polskiego Ładu w jego pierwotnej postaci było kosztownym absurdem.

VII Europejski Kongres Samorządów

11-12 kwietnia 2022, Mikołajki

BUDOWANIE WSPÓLNOTY PRZYSZŁOŚCI



Najważniejsze spotkanie przedstawicieli
władz regionalnych i lokalnych
z krajów Europy z przedstawicielami
polskich władz centralnych oraz Unii Europejskiej



- 10 ścieżek tematycznych
- Ponad 100 wydarzeń:
paneli, bloków programowych,
wykładów, warsztatów



Platforma wymiany poglądów
blisko tysiąca liderów samorządów
z biznesem, organizacjami samorządowymi
i pozarządowymi oraz przedstawicielami ministerstw i agend rządowych



RYSZARD GROMADZKI: Czy wojna na Ukrainie i sankcje nałożone na Rosję mogą skutkować kryzysem żywnościowym na świecie, a głodem w krajach uzależnionych od importu ukraińskiej i rosyjskiej pszenicy?

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI: Niestety, to realny scenariusz. Produkcja żywności na świecie z trudem nadąża za wzrostem demograficznym. W tej sytuacji każde wypadnięcie z rynku dużego producenta, a Ukraina należała przecież do wiodących eksporterów zboża, oleju słonecznikowego, rzepaku, soi, a w ostatnich latach także mięsa drobiowego, ma daleko idące konsekwencje. Rosja również jest dużym producentem zbóż, który teraz został objęty sankcjami. To powoduje, że wyrwa w produkcji żywności dla tych krajów, które z przyczyn klimatyczno-glebowych nie mogą u siebie rozwijać rolnictwa, jest bardzo duża. Cieszę się, że w tym bardzo trudnym okresie politycy Unii Europejskiej zaczęli to w końcu dostrzegać. Ostatnio o groźbie głodu na świecie, zwłaszcza w Afryce, mówił wprost minister spraw zagranicznych Francji.

Ci, którzy analizują sytuację żywnościową na świecie, od dawna wiedzą, że produkcja żywności musi rosnąć, jeżeli nie chcemy doprowadzić do katastrofy i śmierci głodowej milionów ludzi. W związku z tym trzeba podejmować działania zarówno doraźne, jak i długofalowe. To duże wyzwanie, bo w rolnictwie, gdzie wszystko odbywa się w cyklach vegetacyjnych, nie jest łatwo zastosować zmiany. W Europie na kryzys związany z wojną na Ukrainie nałożył się dodatkowo atak – jak wszystko wskazuje – zaplanowany przez Rosjan, na rynek energii. Atak dotkliwy ze względu na uzależnienie rynku Unii Europejskiej od rosyjskiego gazu i ropy. To doprowadziło do ogromnego wzrostu cen, który przekłada się na koszty w rolnictwie. Wysokie ceny nawozów, środków ochrony roślin i pasz, paliwa do napędu ciągników i maszyn rolniczych.

To znaczy, że czeka nas postępująca drożyzna żywności?

To jest nieuchronne. Pytanie, które stawiam, brzmi: Co powinny robić kraje takie jak Polska, które mają pewne możliwości zwiększania produkcji rolniczej, kraje, które mają korzystne warunki do uprawy zbóż i hodowli zwierząt?

Jestem przekonany, że powinniśmy rozwijać produkcję żywności zarówno ze względu na potrzeby wynikające z sytuacji demograficznej na świecie, jak i z po-



Z Janem Krzysztofem Ardanowskim, przewodniczącym Rady ds. Rozwoju Rolnictwa i Obszarów Wiejskich przy Prezydencie RP, byłym ministrem rolnictwa

rozmawia Ryszard Gromadzki

Szacunek dla chleba

wodu tej ogromnej wyrwy na światowym rynku żywności, która została wywołana zniszczeniem przez Rosję rolnictwa ukraińskiego. Rolnictwo Ukrainy może przez wiele lat nie stanąć na nogi. Życzę Ukraińcom jak najlepiej, żeby wytrwali i obronili swój kraj. Jeśli jednak pola nie zostaną obsiane, a wszystko wskazuje na to, że w tym roku niewiele z nich będzie obsianych, mężczyźni są w wojsku, traktory nie wyjeżdżają w pola – a na południu Ukrainy siewy powinny się już dawno rozpocząć – to wszystko razem spowoduje, że Ukraina w tym roku nie wyprodukuje wystarczającej ilości żywności.

To otwiera perspektywy dla polskiego rolnictwa, pod warunkiem że nie będzie skrópowane gorsetem unijnych regulacji związanych z tzw. Zielonym Ładem...

Dokładnie. Możemy w związku z wyrwą na globalnym rynku żywności spowodowaną przez wojnę na Ukrainie wzmocnić nasze rolnictwo. To nie ma nic wspólnego z czyhaniem na cudze nieszczęście. Patrząc chłodno, kraje, które mają możliwości rozwoju rolnictwa, mogą w obecnej sytuacji bardzo to rolnictwo wzmocnić. Mamy pewne doświadczenia w eksporcie, który rośnie z roku na rok. Umiemy poszukiwać nowych rynków zbytu. W 2021 r. nasz eksport rolno-spożywczy wyniósł 37,5 mld euro, z solidnym bilansem

w postaci kilkunastu miliardów nadwyżki eksportu nad importem. Musimy podsumować działania już w tym roku, bo w tej chwili trwają siewy. Powinniśmy apelować do rolników o to, by pomimo trudności ekonomicznych, drożyzny, niedostępności nawozów obsiali wszystko, co się do obsiania nadaje. Zagospodarować nieużytki, zwiększać powierzchnię upraw. To nasz strategiczny interes.

Ziemi uprawnej w Polsce nie brakuje?

Nie. Co więcej, mamy możliwość przyrostu. Spora część gruntów w Polsce nie jest uprawiana lub jest uprawiana bardzo ekstensywnie. Rolnictwo niemieckie czy francuskie dysponujące większymi od nas areałami powierzchni uprawnej produkuje na pełnych obrotach i nie są w stanie zwiększyć produkcji żywności. Natomiast my możemy. Żeby wykorzystać ten potencjał, potrzebne są pewne działania rządu, które mogłyby zapewnić rolnikom dostępność nawozów azotowych, bo co do fosforowo-potasowych, jeśli ziemia była nawożona poprawnie, to wytrzyma rok bez nawożenia. Natomiast azot, który zasadniczo nie jest przechwytywany w glebie, jest co roku niezbędny do uzyskania satysfakcjonujących plonów.

Do produkcji nawozów azotowych potrzebny jest nam rosyjski gaz.



FOR. ADRIEN STOKER

użytki, do których wyłudzone są dopłaty bezpośrednie. Tam powinno być wypasane bydło mięsne, owce, gęsi, czyli te gatunki, które żywią się zieloną, sianem i kiszonką.

Wcześniej dotknął pan sprawy, która wydaje się być jedną z podstawowych. Na świecie prawie miliard ludzi głoduje, porażające i niemoralne jest to, o czym mówi ONZ, że co 18 sekund na świecie z głodu umiera dziecko. Obecnie niedostatek żywności z Rosji i Ukrainy spowoduje, że 100 mln ludzi dołączy do głodujących. Rozruchy i niepokoje społeczne zaczynają się w Egipcie i krajach Zatoki Perskiej, gdzie brakuje żywności. W takiej sytuacji trzeba zwiększać produkcję żywności, a nie przez głupoty zapisane w Zielonym Ładzie produkcję żywności ograniczać. To jest oczywiste, ale wcale nie mam pewności, czy to jest oczywiste dla Komisji Europejskiej zapatrzonej w ekologiczną utopię i niepoliczonych oraz niezwyfikowanych pomysłów. Komisja wcale nie kwapi się, żeby zmienić cele Zielonego Ładu.

A gdzie jest nasz komisarz ds. rolnictwa pan Wojciechowski? On też nie widzi tych oczywistości?

Zgadza się, że unijny komisarz odpowiedzialny za rolnictwo i żywność powinien pierwszy zabiegać o zmianę celów Zielonego Ładu. Nie widzę tego. Słyszę, że Komisja Europejska chce jedynie odejść od własnego absurdu pomysłu przymusowego odłogowania gruntów, czyli wyłączenia części pól z uprawy. Dobrze, że od tego chcą odejść. Niestety, pozostałe priorytety Zielonego Ładu, czyli obniżenie nawożenia, środków ochrony roślin, zmuszanie rolników do przechodzenia na rolnictwo ekologiczne mimo wiążącego się z tym spadku produkcji, w dalszym ciągu podtrzymuje. Komisarz Wojciechowski mówi, że to są bardzo dobre założenia i nie powinno się z nich rezygnować. Ja tego nie rozumiem. To jakaś aberracja. Dawno nie było takiej sytuacji, kiedy rolnicy europejscy są zawiedzeni komisarzem ds. rolnictwa, który powinien interesów rolniczych bronić, zwłaszcza że one odpowiadają wprost oczekiwaniom konsumentów.

Polski rząd powinien bardzo zdecydowanie domagać się od Komisji Europejskiej wstrzymania realizacji Zielonego Ładu, który – przypomnę – ma być wdrażany już od 1 stycznia 2023 r. To nie tylko moralny obowiązek, lecz także szansa ekonomiczna państw, które mają możliwość produk-

wania i eksportowania żywności. Państwo powinno umiejętnie zarządzać strategicznymi zapasami, ale też być gotowe do interwencji w sytuacji zagrożenia rynku wewnętrznego. Do nowych zbiorów pozostało kilka miesięcy. Nową pszenicę i żyto będziemy mieli dopiero pod koniec sierpnia. Do tego czasu będziemy musieli żywić Polaków i kilka milionów Ukraińców, którzy do nas wciąż przybywają.

Samowystarczalność żywnościowa Polski jest zagrożona?

W tej chwili nie. Mamy wystarczające zasoby żywności. Zapewne ceny żywności będą rosły, ale nie ma obawy, że głód zajrzy nam w oczy. Trzeba zauważyć, że ze względu na drastyczny wzrost zapotrzebowania na zboża na świecie ceny pszenicy i innych zbóż oszalały. Wielu rolników zainteresowanych jest eksportem. Tu trzeba trzymać rękę na pulsie, żeby się nie okazało, że wyeksportujemy za dużo i sami będziemy mieli kłopot z zaopatrzeniem rynku wewnętrznego. Tu konieczna jest stabilizująca rola państwa. Każdy z nas jednak, bo przecież bez tego naszego chleba powszedniego nie możemy się obejść, jest w stanie przyczynić się do poprawy naszego rynku żywnościowego poprzez niemarnowanie żywności. Marnujemy ok. 30 proc. żywności w Polsce. To jest rzecz niedopuszczalna. To grzech i głupota, że marnujemy żywność, której innym ludziom na świecie brakuje.

Na myśl przychodzi norwidowska fraza: „Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba / Podnoszą z ziemi przez uszanowanie Dla darów Nieba...”. Zatraciliśmy szacunek dla chleba?

Tak, szanowanie żywności było żywe u naszych przodków, bo wtedy właściwie każde pokolenie doświadczało głodu. Ludzie cenili żywność, wiedzieli, że trzeba jej kupić tyle, ile jest niezbędne. Dziś ulegamy presji nachalnej promocji, pilnujemy obsesyjnie mitycznych terminów ważności, co powoduje, że wielu ludzi wyrzuca żywność, która wcale nie uległa zepsuciu. To trzeba naprawić.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jan Krzysztof Ardanowski

– przewodniczący Rady ds. Rozwoju Rolnictwa i Obszarów Wiejskich przy Prezydencie RP, były minister rolnictwa, w latach 2007–2010 doradca prezydenta Lecha Kaczyńskiego ds. wsi.

Jesteśmy w sytuacji wojny. Konieczne jest wsparcie ze strony państwa nie tylko dla rolników, żeby mogli te nawozy kupić, lecz także dla zakładów państwowych, które te nawozy produkują. Ten rok – jeśli chodzi o zbiory – i tak będzie gorszy z powodu niedostatku nawozów, ale róbmy wszystko, żeby zminimalizować te straty. Mój apel do rolników o zwiększenie powierzchni zasiewów dotyczy także wszystkich tych, którzy dysponują działką, ogródkiem, jakimkolwiek kawałkiem ziemi, którą można uprawiać. Niektórzy się mogą zachęcać na to, co mówię, ale jeśli ktoś ma możliwość uprawiania warzyw na swoje potrzeby, to powinien to czynić. W ten sposób obniża presję popytową, nie będzie musiał wszystkiego kupować. To ulży rolnikom towarowym, których produkty muszą pozwolić na wykarmienie naszego narodu, a także dodatkowo kilku milionów Ukraińców, którzy uciekli do Polski przed wojną, i pozwoli na eksport do tych krajów, w których głód zagląda ludziom w oczy. W perspektywie kilkuletniej trzeba zmieniać strukturę zasiewów, trzeba wprowadzać więcej roślin, które nie potrzebują tak wysokiego nawożenia, przede wszystkim roślin bobowatych, warzyw, powinniśmy również wrócić do uprawy ziemniaków, które kiedyś były naszą specjalnością. Trzeba wykorzystać także użytki zielone. Mamy ich ponad 2 mln ha. Często są to praktycznie nie-



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Czy jest w tym jakaś logika?

Jak naprawdę mają się finanse publiczne Polski? Czy Polska aż tak bardzo cierpi na brak pieniędzy i tak potężnie jest zadłużona, że z obawy przed przekroczeniem konstytucyjnego limitu zadłużenia i możliwą za jakiś czas odmową finansowania naszego długu publicznego przez „rynk finansowe” – po wyprowadzeniu poza budżet państwa finansowania (rzecz jasna, na kredyty) najpierw „tarczy antycovidowych” – teraz wyprowadzać musi finansowanie (rzecz jasna, także na kredyt) pomocy dla uchodźców z Ukrainy (do Funduszu Pomocy) i rozbudowę polskiej armii przewidzianą przez Ustawę o obronie Ojczyzny (do Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych)?

Czy – przeciwnie – Polska ma aż tak dużo pieniędzy, jest aż tak finansowo mocarna, tak zasobna, że cały czas może sobie pozwalać, a to na wprowadzanie – i to jedna po drugiej – właściwie niczym nieograniczonych „tarcz antyinflacyjnych”, czyli obniżać – niektóre wręcz do zera – podatki od energii i paliw, co pozbawia budżet grubych miliardów złotych rocznie, a to na kolejne obniżenie, oczywiście tylko najniższej stawki podatku PIT (z 17 proc. do 12 proc.) – co kosztuje budżet kolejne kilkanaście miliardów złotych rocznie, a to na obniżenie wpływów podatkowych z powodu dopuszczenia jednak możliwości odliczenia od podatku części składki

zdrowotnej (którą to możliwość niedawno zupełnie wykluczono), a to wreszcie na dalsze, niczym niezakłócone fundowanie co roku emerytur 13. i 14. oraz ekstraordynaryjnych, „inflacyjnych” podwyżek świadczeń emerytalnych, których koszty idą już w grube dziesiątki miliardów złotych rocznie?

A zatem – czy Polska jest aż tak biedna czy aż tak bogata? Albowiem w obu tych, zarysowanych wyżej i stosowanych jednocześnie rodzajach działań, delikatnie rzecz ujmując – mało spójnych, nie widać żadnej, nawet elementarnej logiki. Rzecz jasna, poza jedną – żelazną logiką rozkręcaną kampanii przedwyborczej – przed nadchodzącymi wyborami do Sejmu i Senatu. Logiką, której zdaje się być podporządkowane wszystko, a finanse publiczne Polski – zadłużone już na ok. 1,5 bln zł – gdy niecałe dwa lata temu zadłużone były na „zaledwie” ok. 1 bln zł – zepchnięte zostały na drugi plan. Podobnie jak walka z inflacją, nakreślaną dziś przez rząd zalewający Polskę morzem gotówki.

Albowiem gdyby finanse publiczne Polski się liczyły, to czyż nie postępowano by zgoła odmiennie? Z należytym szacunkiem dla tychże finansów naszego własnego państwa, a także dla podatników, których teraz topi inflacja, a potem będą topić zaciągane bez umiaru przez rząd kredyty, które to oni będą musieli – co do grosza – spłacić? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Boso, ale w ostrogach

Zdarzyło mi się niedawno uczestniczyć w spotkaniu, w którym brała udział grupa w większości znanych i ważnych stołecznych publicystów, kojarzonych ze stroną konserwatywną. Mowa była, co oczywiste, o sytuacji wojennej i przyjmowaniu uchodźców z Ukrainy. Nastrój był niemalże podniosły. Kolejne osoby zabierały głos i opowiadały o niesamowitym zryw, o mobilizacji porównywalnej tylko z pierwszą Solidarnością, o wielkim kapitale pozytywnych emocji – i tak dalej, i tak dalej.

Zdecydowana większość polskich publicystów politycznych to kompletni ekonomiczni ignoranci

Gdyby ktoś w tym towarzystwie powiedział np. o tym, że w szkołach zaczyna brakować miejsc dla ukraińskich dzieci, albo o tym, że skądś trzeba wziąć 24 mld zł na uchodźców tylko na ten rok, albo że w różnych miejscach w Polsce pojawiają się lokalne apele o ustępowanie Ukraincom miejsc w internatach czy akademikach poprzez rezygnację z zakwaterowania (kto może dojeżdżać) lub zągęszczanie – zostałyby to zapewne w tym wzmożonym

towarzystwie potraktowane jak puszzenie bąka przy angielskiej królowej.

Wspomniane spotkanie idealnie ilustruje zaczynający się już rozjazd odczuć pomiędzy elitą a zwykłymi ludźmi. Owszem, wiele osób wciąż jeszcze trwa w uniesieniu, ale to się coraz bardziej wyczerpuje. Im będzie gorzej z pieniędzmi, tym zmiana nastrojów będzie szybsza. Kiedy wspominałem o tym na owym spotkaniu, pozostali stwierdzili lekceważąco, że, owszem, problemy będą, ale jakieś problemy zawsze są i nie można się dać sparaliżować ich perspektywie.

Ci sami ludzie wkrótce zaczną zauważać, że nastroje się psują, lecz albo nie będą tego przyjmować do wiadomości, albo będą ogłaszać, że to skutek oddziaływania ruskich onuc. Jeśli ktoś tak kompletnie zafiksował się na wizji Polski jako Winkelrieda narodów, który zbawia Europę i świat, nie myśląc o własnym bezpieczeństwie, to łatwo się tego balonu nie przekłuje.

Ale jest jeszcze jeden powód: zdecydowana większość polskich publicystów politycznych to po prostu kompletni ekonomiczni ignoranci, nieodróżniający deficytu budżetowego od długu publicznego, przychodu od dochodu czy inflacji od deprecjacji. Dla nich bariery finansowe państwa nie istnieją. Zastaw się, a postaw się, boso, ale w ostrogach, kasę się w razie czego dodrukuje. A potem będą płacić i zgrzytanie zębów. ©©

„Nie ulegajmy pokusie zbawiania świata”



Piotr Hofman

Jesteśmy świadkami największego od drugiej wojny światowej kryzysu humanitarnego w Europie. Polska jest czwartym krajem na świecie pod względem liczby przyjętych uchodźców. Więcej osób napłynęło w ostatnich latach tylko do USA, Kolumbii i Turcji.

Wielkie serca Polaków w pierwszych dniach wojny to wspaniały pokaz solidarności. Jednak teraz stoją przed nami największe wyzwania: ekonomiczne, administracyjne i prawne.

Na odbicie inwestycyjne po pandemii raczej nie ma co liczyć. Z powodu wojny firmy boją się ryzykować i decyzje o dużych inwestycjach odkładają na później. Rosja, Ukraina i Białoruś odpowiadały za ok. 5 proc. eksportu, więc siłą rzeczy firmy, które na te rynki eksportowały swoje produkty lub usługi, będą musiały szukać alternatywy. Konflikt na Ukrainie spowodował też wzrost cen surowców – i to nie tylko energetycznych, których ważnym źródłem była nie tylko Rosja, lecz także Ukraina, która jest przecież producentem nawozów, zboża czy metali. W wyniku wojny ich podaż została ograniczona, co w sposób oczywisty ma przełożenie na ceny, a w konsekwencji nie pomaga w walce z inflacją. Ale najtrudniejsze wyzwanie to walka z kryzysem emigracyjnym, który może urosnąć do nieoszacowanych na razie rozmiarów.

Mówi się, że Ukrainę ostatecznie opuści nawet ponad 5 mln osób (przy ok. 44 mln mieszkańców). Obecnie w Polsce jest już prawie 2,5 mln. Integracja uchodźców to długotrwały i kosztowny proces. Będzie wymagał sporych wydatków z budżetu państwa i inwestycji w usługi publiczne. Wstępne szacunki mówią, że do końca roku

koszt utrzymania uchodźców będzie wynosić ok. 2,2 mld euro. W tej puli kosztów nie ma edukacji i opieki medycznej. Jednak zdaniem ekspertów trzeba się liczyć z tym, że jest to kwota mocno niedoszacowana, a wyzwania dla polskich finansów publicznych w związku z napływem uchodźców będą znacznie większe. Doświadczenia migracyjne innych państw wskazują bowiem, że nawet po ustaniu działań zbrojnych do ojczyzny nie wracają wszyscy uciekający. Odrotnie – spora ich część zostaje w kraju, do którego dotarła, na znacznie dłużej. Na kilkanaście miesięcy, kilka lat czy nawet na stałe. Obecnie szacuje się, że ok. 60–70 proc. uchodźców zdecyduje się pozostać w Polsce, w tym przede wszystkim kobiet i dzieci. Tymczasem większość wakatów to przemysł, logistyka i budownictwo. A więc sektory gospodarki bardziej dla mężczyzn. Szczególnie że wielu Ukraińców, którzy do tej pory pracowali w tych branżach, zdecydowało się na powrót do ojczyzny. Sporym problemem może okazać się też wydolność różnych usług publicznych, z których nagle może zacząć korzystać znacznie więcej osób, np. administracyjnych, pomocy społecznej, bezpieczeństwa publicznego, a przede wszystkim służby zdrowia – a należy pamiętać, że nawet przed pandemią nasza służba zdrowia mocno kulała. Kolejna kwestia to kwestia mieszkaniowa. W Polsce od lat mamy deficyt mieszkań, a obecna skala napływu ludności ten problem pogłębi. Wielu uchodźców ulokowanych jest w hotelach czy ośrodkach wczasowych, ale z powodu nadchodzącego sezonu właściciele takich obiektów chcieliby nadrobić straty spowodowane chociażby pandemicznymi obostrzeniami ostatnich dwóch lat. Ciężko wymagać więc od nich kolejnych zastoju w działalności. Uchodźcom udostępniło mieszkania wiele polskich rodzin, ale dla niektórych wiąże się to z ryzykiem, ponieważ wynajmujący nie wiedzą, kiedy i jak będą mogli wypowiedzieć umowę, która często zawarta była „z serca”.

W Polsce w zaistniałej sytuacji należy przystąpić do tworzenia

profesjonalnych ośrodków dla uchodźców. Zwłaszcza jeżeli kryzys na Ukrainie będzie się przeciągał, co oznaczać będzie dalszy wzrost liczby przyjeżdżających. Na ten cel musimy pozyskać środki z UE i wówczas w bezpieczny i zorganizowany sposób opanować problem.

Ze względu na ryzyko dużej presji migracyjnej zarządzanie tym kryzysem wymaga wielopoziomowego zaangażowania nie tylko unijnego i NATO, lecz także głównie na szczeblach krajowych. Psychologowie, socjologowie, ekonomiści, eksperci od rynków pracy i nieruchomości, a nawet specjaliści od dyplomacji powinni wspomóc rząd w ocenie skutków społecznych i ekonomicznych fali uchodźczej, a przede wszystkim w przygotowaniu i wdrażaniu systemowych rozwiązań w zakresie pomocy.

Przed wszystkim jednak należy pamiętać, że doświadczenia krajów, które miały do czynienia z falami masowej i niekończącej się migracji, wskazują, że pierwotna empatia przeradza się w niechęć, która może narastać, natomiast współczucie i chęć pomocy będą się zmniejszać, jeśli system finansowania nie zostanie zmodyfikowany. Nie można przybywającym do naszego kraju (nawet tym uciekającym przed wojną) dawać profitów większych niż żyjącym tu Polakom, którzy od lat ciężko pracują i płacą podatki. Dlatego należy udzielać początkowej pomocy, ale ci, którzy chcą zostać u nas dłużej, powinni nauczyć się samodzielności i życia w naszym państwie. Tylko w taki sposób udzielimy realnej pomocy i nie doprowadzimy do animozji polsko-ukraińskich. Pamiętajmy o ważnym na dziś przesłaniu kard. Stefana Wyszyńskiego: „Nie oglądajmy się na wszystkie strony. Nie chcemy żywić całego świata, nie chcemy ratować wszystkich. Chcemy patrzeć w ziemię ojczystą, na której wspierając się, patrzymy ku niebu. Chcemy pomagać naszym braciom, żywić polskie dzieci, służyć im i tutaj przede wszystkim wypełniać swoje zadanie – aby nie ulec pokusie »zbawiania świata« kosztem własnej ojczyzny”.

TEST „DO RZECZY”: SMARTWATCH GARETT V8 RT

Klasyczny, elegancki design, wodoodporna obudowa, prosta obsługa, niezły czas pracy na jednym naładowaniu i dobry stosunek ceny do jakości – to największe zalety inteligentnego zegarka firmy Garrett.

Testowany smartwatch sprawia wrażenie solidnie wykonanego. A dzięki klasycznemu wzornictwu, kopercie ze stali szlachetnej i czarnemu, skórzanemu paskowi bez obaw można go założyć nie tylko na modną siłownię, lecz także na wystawne przyjęcie w amerykańskiej ambasadzie. Do sytuacji można prosto dopasować jedną z tarcz wyświetlanych na ekranie TFT o przekątnej 1,28 cala i rozdzielczości 240 x 240 pikseli. Liczba darmowych motywów jest wystarczająco duża, aby coś dla siebie znaleźli zarówno ci, którzy wolą minimalizm i klasykę, jak i ci, którzy na ekranie wolą widzieć walecznego tygrysa lub złotego motylka. Również paski można swobodnie wymieniać, co pozwala łatwo i szybko zmieniać wygląd zegarka.

Istotną zaletą testowanego modelu jest klasa wodoszczelności IP67, dzięki której urządzenie jest pyłoszczelne oraz odporne na zanurzenie w płytkiej wodzie (maksymalnie na głębokość 1 m) trwające do 30 minut.

Jak na inteligentny zegarek przystało, Garrett V8 RT informuje o przychodzących wiadomościach oraz połączeniach telefonicznych, choć nie da się za jego pośrednictwem prowadzić rozmów. Testowany smartwatch jest też wyposażony w pulsometr, pulsoksymetr (mierzący natlenienie krwi w organizmie),

a nawet prosty ciśnieniomierz (trzeba jednak pamiętać, że nie jest to urządzenie medyczne i nie można polegać na jego wskazaniach). Urządzenie ma też wbudowany krokomiernik oraz sensory, które ułatwiają monitorowanie aktywności podczas uprawiania sportu (od spaceru poprzez bieganie i jazdę na rowerze do pływania i orbitreku). Garrett V8 RT podaje czas trwania danej aktywności, liczbę spalonych kalorii oraz przebyty dystans.

Zegarek może przypominać również o potrzebie regularnego picia wody (a także o wzięciu leków). Urządzenie sprawnie zagania także do ruchu w przypadku wykrycia zbyt długiego braku aktywności fizycznej. W nocy urządzenie może też monitorować sen. Dzięki modułowi Bluetooth zegarek może ułatwić zdalne robienie zdjęć smartfonem. Obsługa jest banalnie prosta i intuicyjna.

Na pochwałę zasługuje też długi czas pracy na baterii. Akumulator o pojemności 295 mAh sprawia, że zegarek wytrzymuje bez większego problemu kilka dni na jednym ładowaniu (według producenta czas czuwania wynosi do 15 dni).

Wady? Wbudowana pamięć RAM to zaledwie 64 MB, do przycięć trzeba się więc przyzwyczaić. Nie ma też co liczyć na rozbudowane animacje. Bardzo niewiele, bo tylko 64 MB pamięci twórcy zegarka przeznaczyli również na dane. Urządzenie nie ma własnej aplikacji i współpracuje z apką OnWear, którą trudno uznać za najlepszy program na rynku i która odbiega jakością choćby od popularnej



Wear OS. Również jakość wyświetlacza jest nieporównywalnie słabsza od tych stosowanych przez producentów smartwatchów z najwyższej półki. Jeśli więc ktoś liczy na to, że za niecałe 600 zł dostanie produkt tej samej klasy, jakby wydał ponad 2 tys. na model zagranicznego producenta, to zapewne się rozczaruje. Mimo swoich wad Garrett V8 RT to jednak bardzo przystoity zegarek w swojej półce cenowej. Testowany model smartwatcha oferuje wiele przydatnych funkcji i można go kupić już za 579 zł. ©

Jacek Przybylski

INTELENTNE RAKIETKI

Skoro są już inteligentne piłki do koszykówki i smartrakiety do tenisa ziemnego, to tylko kwestią czasu było pojawienie się rakietek do tenisa stołowego. Zestaw inteligentnych rakietek Janova został wyposażony w baterię o pojemności 100 mAh, moduł Bluetooth oraz w specjalne czujniki, które wykrywają każdy serw, uderzenie oraz blok i w połączeniu z algorytmami sztucznej inteligencji dokładnie analizują technikę gry i postępy użytkownika, oferując dokładne raporty dotyczące prędkości, precyzji etc. Producent wysyłą rakietek w wersji smart przewiduje na grudzień 2022 r. Ceny na jednym z portali crowdfundingowych zaczynają się od 170 euro (ok. 800 zł).



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

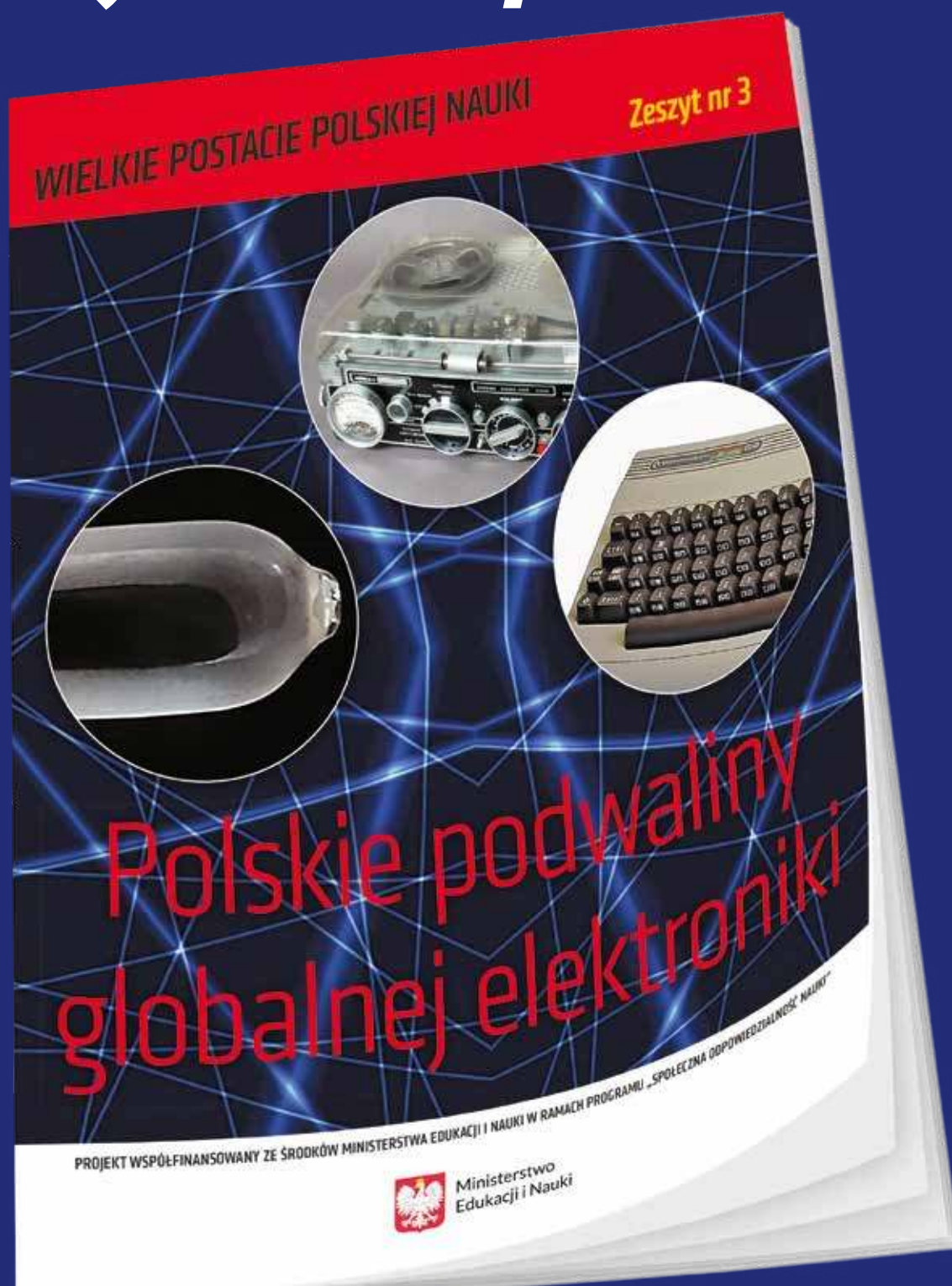


TELEWIZOR W CENIE NOWEGO SAMOCHODU

25 tys. euro (równowartość 117,5 tys. zł) trzeba będzie zapłacić za najnowszy 97-calowy model telewizora OLED południowokoreańskiej firmy LG. W zamian producent obiecuje wyjątkowo dopracowany produkt: LG G2 wyposażony jest w złącza HDMI 2.1 oraz ekran o rozdzielczości 4K, który charakteryzuje m.in. bardzo wysoka jasność maksymalna (aż 1000 nitów). Jak przystało na telewizory w technologii OLED evo, nie powinno być również problemu z naprawdę czarną czernią. Serce nowego modelu stanowi ulepszony procesor Alpha 9 piątej generacji. A do zarządzania telewizorem służy system webOS 22a. Producent zapewnia również, że dzięki jednomilisekundowemu czasowi reakcji i niskiemu opóźnieniu sygnału wejściowego nowy model będzie idealnie sprawdzał się w domach miłośników zaawansowanych gier. ©

Jacek Przybylski

Już za tydzień



PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI”



Ministerstwo
Edukacji i Nauki

eprasa.pl/d64f26bbe6

Chaos kontrolowany



Joanna Bojańczyk

Szczęście, obfitość, historie do opowiadania, przytulność, kreatywność... Oto krótki rysopis nowego trendu we wnętrzarstwie i w modzie, który obecnie ogarnia świat, a narodził się...

Proszę uwierzyć – tym razem nie powstał, jak zazwyczaj, w przemądrzałych biurach trendów, tylko w głowach całkowicie ludowych. Czyli gdzie? W mediach społecznościowych oczywiście.

Zapomnijcie o beżowej kanapie, szarych zasłonach, stonowanych kolorach, o tym, że w mieszkaniu ma być pusto jak w reklamie włoskich mebli i polskich apartamentów. Minimalizm musi odejść – zadekretowali decydenci. Teraz nasta-

nie cluttercore, po polsku kontrolowany bałagan. Dużo przedmiotów dobranych niby przypadkowo, starych, nowych, z różnych epok i stylów. Kolorowo, przytulnie, swojsko. W takim otoczeniu czujemy się dobrze.

Dlaczego właśnie to? Przyczyn jest dużo. Zapalnikami, tak jak w innych zmianach społecznych, stała się pandemia. Spędzamy więcej czasu w domu, chcemy się tu dobrze czuć, a do tego potrzebne nam są różne przedmioty.

Glamour idzie w ką, liczy się wygoda. Jak żyć w wycyszczonym wnętrzu, gdzie człowiek jest zbędną dekoracją zakłócającą porządek uchwalony przez projektanta? Gdzie podziać koce, poduszki, książki, płyty, pamiątki rodzinne, albumy, zdjęcia, obrazki, wazon? Zabawki porzucane przez dzieci? Zachować tylko monstere, na którą zezwala trend, bo inne rośliny zostały ocenione jako niewłaściwe? Co z nimi zrobić? Wyrzucić, schować? Właściwie dlaczego? Bo tak każą wnętrzarskie magazyny?

Lata minimalizmu, który wydawał się najtrwalszym trendem przełomu tysiącleci, zrobiły swoje. Estetyka, według której puste przestrzenie są najlepsze dla człowieka, weszła w globalny krwiobieg. Ale następuje zmęczenie materiału. Już parę lat temu karierę zrobiło skandynawskie hygge stawiające na swobodę i przytulność. To hasło Skandynawowie

sprzedali na cały świat, a u nas, jak wiadomo, Skandynawia to towar, który ma dobrą prasę od zawsze. Dobre życie, czysta przyroda, wysoka jakość produktów, opieka społeczna. W „World Happiness Report” opublikowanym przez ONZ kraje skandynawskie zajmują najwyższe miejsca. Kto nie kupuje w Ikea? Kto nie uwielbia Fizi Pończoszanki? Kto nie chciałby jeździć volvo? Potop szwedzki dawno został darowany i zapomniany.

Swą receptę na szczęście nasi jasnowłosi sąsiedzi umiejętnie skomercjalizowali. „Hygge”, norweskie słowo oznaczające dobrostan, pochodzi z XIX w., gdy Dania i Norwegia były jednym krajem. Ale zawładnęli nim Duńczycy. Jak przetłumaczyć „hygge” na polski? Jak nastrój ciepła, ciszy, spokoju, zaszczytu się pod kocem z książką przed kominkiem oddać jednym słowem? „Dobrostan” brzmi mało zachęcająco, „dobrobyt” znaczy co innego... Fakt, że nie tylko my mamy problemy ze znalezieniem odpowiednika lingwistycznego słowa „hygge”, świadczy, że język tego nie potrzebował. I nie tylko polski, podobnie angielski i francuski. Obce słowo „hygge” się przyjęło, a słowo „cocooning” nawet pojawiło się w słownikach: American Heritage Dictionary, Merriam-Webster’s Dictionary. Otulić się.

Termin przechwyciła moda. W pracy jesteś w kostiumie, w garniturze, na szpilkach. A jak wracasz do domu? Zanim wskoczysz w piżamę, potrzebujesz wygodnego, ale i estetycznego ubrania, które nie byłoby przydeptanym szlafrokiem – powiedzieli Ralph Lauren, Giorgio Armani, Valentino. Po czym wystąpili z kolekcjami rzeczy do noszenia w domu. Musisz to mieć: miękką bluzę, kaszmirowy obszerny sweter, kaszmirowe pantofle, szlafrok w szkocką kratę, wełniany pled. Dało to początek liniiom „Lounge”, które z entuzjazmem podjęły nie tylko firmy z wyższej półki, lecz także sieciówki.

GRATY SZŁY PRECZ

Słowo „vintage” w ostatnich latach odmienia się przez wszystkie przypadki. W swoim pierwszym życiu oznaczało ono stare, dobre roczniki win, jednak sfera estetyczna zawładnęła nim całkowicie. To ładne słowo i dobrze się kojarzy – ma przymglony urok przeszłości, co dzisiaj, w czasach globalnego kryzysu, ma szczególną wartość. Dziś wypada oszczędzać, stare ma być lepsze niż nowe. Minimalizm kazał pozbywać się wszystkiego, co nie jest niezbędne. Do kosza miały iść

bibeloty, meble po przodkach. Sprzedawcy antyków skarżyli się, że ich meble są niemodne. Są za duże, nie mieszczą się do małych nowoczesnych mieszkań, niepraktyczne, naprawa kosztuje dużo. „New York” opisał kilka historii, jak młodzi ludzie pozbywają się całkowicie zawartości mieszkań dziadków czy rodziców. Nie chcą tych starych „gratów”.

Ale trafiają one w ręce tych, którzy potrafią dostrzec ich wartość. Komisje, targi staroci i aukcje internetowe nie tracą wcale popularności. Staroci kupują amatorzy, kolekcjonerzy, dekoratorzy.

Tylko te znaleziska trzeba umieć właściwie wykorzystać. Znaleźć, upolować, zestawić w dobrym kontekście. Czyli jak? Podbudową teoretyczną cluttercore może być książka Jennifer Howard „The untidy history” („Niezbýt czysta historia”), która ukazała się jesienią zeszłego roku w Anglii. Autorka analizuje istotę „bałaganu”. Przedstawia – można powiedzieć – historię bałaganu.

Oraz tego, jak dochodziliśmy do współczesnej manii gromadzenia dóbr. Śledzi drogę od rewolucji przemysłowej, która stoi u zarania technologicznego kapitalizmu naszych czasów, poprzez zawartość centrum dystrybucji Amazona, aż do kontenera na śmieci, do którego ładujemy rzeczy po zmarłych dziadkach. Autorka zastanawia się, jak doszło do tego, że obsesja współczesnego człowieka jest kupowanie, gromadzenie i wymienianie rzeczy na nowe i nowsze. Jak zagrąciliśmy naszą planetę, a teraz próbujemy zrobić z tego styl.

Ta historia ma oczywiście związek z efektami pandemii i kryzysu ekologicznego oraz wielu innych kryzysów, których jesteśmy obecnie świadkami. Cały biznes mody i trendów, o globalnej wartości kilkuset miliardów, dający pracę milionom, jeszcze niedawno co sezon do czerwoności rozgrzewał namiętności i portfele klientów. Teraz bije się w piersi. Wstydy się swojej rozrzutności, obiecuje zmianę. „Kup ubranie na lata, nie na lato” – kusi reklama dużej sieciówki. To, co do niedawna było fast, teraz obiecuje być slow (cokolwiek to znaczy). Wszystko wokół będzie ekologiczne, świadome, odpowiedzialne, dbające o środowisko. Ślad węglowy, wegańskie materiały. No i recykling starego oczywiście.

BOHO, CYGANERIA

To jest właśnie cluttercore. Na TikToku i na Instagramie hashtag

#cluttercore ma kilka milionów odśłoń i tysiące komentarzy. Na zdjęciach wnętrza wypełnione meblami, dywanami, makatkami, obrazkami, bibelotami. Na ogół są to sypialnie, z łózkami przyrzuconymi kolorowymi narzutami, pełne obrazków, zdjęć, widoczków, wazoników, bukietów. Wszystko na tle kolorowych tapet. „To nie jest estetyka, to są emocje” – mówią krytycy. Da młodych ludzi nowe słowo to hasło, którym uzasadniają nareszcie możliwość urządzenia własnego kąta tak, jak im się podoba, nie zwracając uwagi, co ktoś o tym powie albo czy zostanie to ocenione jako kicz.

W Polsce cluttercore się jeszcze nie zadomowił – u nas funkcjonuje raczej pojęcie „boho”, skrót i uproszczenie „boheme”, cyganeria. Starsi niedokładnie wiedzą, co ono oznacza, dla młodego pokolenia boho jest zaprzeczeniem minimalizmu i właściwie zbliża się do cluttercore. Można się ubrać w styl boho – to będzie oznaczało długą spódnicę z falbanami, farbowany T-shirt i parę naszyjników z paciorków na szyi. Do tego sandały albo kowbojskie buty. W przypadku mieszkania boho może oznaczać równie dobrze fotel Ludwik Filip, zabytkową barokową szafę z Prowansji, japoński parawan, kredens po babci, tanie narzuty z Indii, krzesła z Ikea. I jeszcze parę innych rzeczy, drogich, tanich, stylowych i zwyczajnych, przemysłowych i rękodzielniczych. No dobrze – powie ktoś. Może to i chaos, ale przynajmniej nie każe nam się kupować designerskiej kanapy za kilkanaście tysięcy.

Czy te bałaganiarskie style są chociaż tanie?

Jakiś czas temu brytyjską prasę obiegrała informacja o ślubie premiera Borisa Johnsona z Carrie Symonds. Nie mniej interesująca była druga – o nowym wystroju ich mieszkania, które znajduje się przy Downing Street 11. Dziennik „Guardian” tak scharakteryzował wygląd wybranej przez parę dekoratorki, Lulu Lytle: „Dwie części Rajasthan, jedna część boho, reszta jak ze scenografii serialu »The Crown«”. Zapewne klienci pani designerki mogą liczyć na wystrój ich mieszkań podobny do tego, jakie ma jej dom w Bayswater i jak wygląda ona sama. Jednak gazeta dochodzi do wniosku, że nowa wersja apartamentu państwa Johnsonów nie będzie tania: oceniono jego koszt na liczbę sześciocyfrową.

To, że 20-latką z Raszyna jest topową światową zawodniczką, wiedzieliśmy już co najmniej od czasu wygrania jednego z czterech najważniejszych turniejów tenisowych świata – czyli French Open w 2020 r. Wówczas przebojem wdarła się do ścisłej czołówki rankingu WTA, potem zajmowała już miejsca w pierwszej dziesiątce. Rok później nie udało się jej obronić tytułu w Paryżu, nie doszła też do finałów w pozostałych turniejach Wielkiego Szlema, zaczęły się więc pojawiać wątpliwości, czy rzeczywiście ma zadatki na zawodniczkę, która może wspiąć się na absolutny szczyt.

I rzeczywiście coś sypało się w grze Świątek. Widać było m.in. potężne kłopoty z właściwym pierwszym serwem. Choć patrząc na sezon 2021, trudno było uznawać go za zły. Iga wygrała wówczas dwa turnieje WTA – w Adelajdzie, gdzie w finale pokonała Belindę Bencic, i w Rzymie, gdzie na ceglanej nawierzchni wygrała z Karoliną Plíškovą.

Ostatecznie jednak dowodem na to, że coś przestało działać, było rozstanie z trenerem Piotrem Sierzputowskim. Po zakończeniu sezonu 2021 w teamie Igi zastąpił go Tomasz Wiktorowski, który wcześniej trenował inną polską gwiazdę tenisa – Agnieszkę Radwańską.

Wiktorowski postawił bardziej na mocne strony raszynianki. Sama to przyznawała podczas tegorocznego turnieju Australian Open, gdzie dotarła do półfinału.

– Na początku zmienialiśmy detale. Później, im bardziej się poznawaliśmy, tym więcej było nowej taktyki. Myślę, że podstawową różnicą, jeśli chodzi o sposób pracy i warsztat trenerów, jest to, że trener Wiktorowski trochę więcej koncentruje się na moich mocnych stronach. Grę w trakcie meczów opieram teraz bardziej na umiejętnościach i samopoczuciu danego dnia. Mniej podporządkowuję grę pod styl przeciwniczki – mówiła wówczas Świątek.

Wszystko wskazuje na to, że Wiktorowski obrał właściwą taktykę. Po Australian Open Iga była już czwarta w światowym rankingu kobiet (WTA). A w marcu tego roku zadziwiła formą w amerykańskim turnieju Indian Wells. Przeszła przez niego jak burza. W półfinale nie było łatwo, bo trafiła w nim na mocną Simonę Halep. Iga dała jej jednak radę, wyrównując bilans zwycięstw i porażek z Rumunką (dwa mecze wygrane,

W Miami Iga Świątek odebrała kwiaty i gratulacje jako nowa liderka rankingu WTA

FOT. ERIK S. LESSER/EPA/PAP

Początek wielkiej Świątek?



Lukasz Zboralski

Iga Świątek jest obecnie numerem jeden w światowym rankingu kobiecego tenisa. To absolutny sportowy top, który przyćmiewa wszystkie polskie tenisowe dokonania w historii. Być może nawet nie tylko tenisowe

dwa przegrane). Finał nie zapowiadał się łatwiejszy, bo w nim czekała już atletyczna Maria Sakkari. A to właśnie Greczynka stanęła Idze na drodze, gdy próbowała bronić tytułu w ubiegłym roku na Roland Garros. Po wcześniejszych spotkaniach tych zawodniczek wydawało się, że Iga nie ma na nią sposobu. Był to też znak, że Iga nie jest jeszcze zawodniczką mogącą zdominować każdego na korcie, że są zawodniczki, z którymi będzie przegrywać. Tymczasem Polka wygrała pierwszego seta z Sakkari, a w drugim właściwie Greczynkę rozbiła.

I to był moment, w którym Iga została wiceliderką rankingu WTA. Lepsza od niej pozostawała już tylko Australijka Ashleigh Barty.

WYPALONA BARTY

I wówczas – niespodziewanie dla całego tenisowego świata – Barty nagle ogłosiła zakończenie kariery. Była to szokująca wiadomość, bo Australijka – liderka wśród kobiet, mająca na koncie trzy zwycięstwa w Wielkim Szlemie – zdecydowała się porzucić zawodową grę, mając zaledwie 25 lat. Przyznała, że coś w niej nasyciło się zwycięstwami po wygranym Wimbledonie. I gdy mający na koncie wiele zwycięstw w najważniejszych turniejach dobijający czterdziestki lat Rafael Nadal czy Roger Federer wciąż nie potrafili przestać chcieć wygrywać, ona powiedziała „dość”. – Nie mam już fizycznego rozpędu, emocjonalnego pragnienia i wszystkiego, czego potrzeba, aby rywalizować na najwyższym poziomie – wyznała Barty.

Jej rezygnacja powinna być też mądrze dostrzeżona przez sztab Igi Świątek. Zawodowy sport potrafi wyczerpywać nie tylko fizycznie, lecz także psychicznie. Nie tylko Barty jest tego dowodem. Zwycięstwa i przegrane potrafią zacząć znaczyć zbyt wiele. Tak było w przypadku Naomi Ōsaki, która rok temu też zszokowała świat, wycofując się nagle z French Open. Przyznała, że już od lat zmaga się z depresją. – Wielokrotnie byłam świadkiem, kiedy podczas konferencji prasowych jeszcze bardziej pogrążyła się zawodników, którzy przegrali mecz. Nie rozumiem, dlaczego kopie się leżącego – mówiła wówczas Ōsaka.

Barty wycofując się z tenisowego życia, wycofała jednocześnie swoje notowania z rankingu WTA (decyzja o tym należy zawsze do zawodnika; jeśli nie poprosi o wycofanie, to jest na liście dopóty,

dopóki inni zawodnicy nie zdobędą więcej punktów i nie przesuną go w pozycji ku końcowi). To sprawiło, że po pierwszym wygranym meczu na turnieju Miami Open Idze Świątek przygotowano niespodziankę. Za jej plecami odpalono banner, na którym widniało „Numer 1 w rankingu WTA”, a specjalna delegacja wręczyła Polce kwiaty i gratulacje. – Zawsze chciałam, by to się pewnego dnia wydarzyło, ale nie mogłam wiedzieć, że jest realne – mówiła Świątek, odbierając kwiaty. – Wszystko teraz wydaje mi się wręcz surrealistyczne – przyznawała skromnie.

W wieku 21 lat Iga Świątek jest numerem jeden na świecie. I tego sukcesu wcale nie umniejsza rezygnacja Barty. Dowód? W momencie zamykania tego numeru „Do Rzeczy” Polka wygrała już 16. z kolei mecz turniejowy i zameldowała się w finale Miami Open (druga do finału awansowała Naomi Ōsaka).

Sztab Świątek podczas turnieju izoluje ją od dziennikarzy. A otoczenie Igi próbuje tonować nastroje. – Dla całego świata tenisowego decyzja Ash Barty o zakończeniu kariery jest bez wątpienia dużym zaskoczeniem. Ash to świetna tenisistka – Iga nieraz podkreślała, że wiele uczy się od niej na korcie czy wspólnych treningach. Jako zespół Igi mamy oczywiście świadomość sytuacji rankingowej – mówi „Do Rzeczy” Paula Wolecka, menedżerka PR Igi Świątek. Zaraz jednak dodaje: – Celem Igi jest przede wszystkim rywalizowanie na jak najwyższym poziomie i dominacja na korcie. Koncentruje się na tym, na swojej pracy, a ranking jest jej efektem. Kolejny cel to ważny turniej Miami Open i to na nim się teraz skupiamy, nie na rankingu.

ILE WYTRZYMA NA SZCZYCIE?

Sama Iga jeszcze w Miami dała do zrozumienia, że spokojnie przyjmuje bycie liderką. Zaznaczyła, że zdaje sobie sprawę z tego, że wokół niej będzie więcej medialnego szumu. – Jestem na to gotowa – odpowiedziała. – Zawsze zdawałam sobie sprawę, że jeśli osiągnę sukces, to hałasu nie uniknę.

Niektórzy od razu wieszczyli, że to chwilowe i Iga szybko spadnie ze szczytu. Już wiadomo, że tak się nie stanie. Już gdy Polka awansowała w Miami do ćwierćfinału, to trzecia w rankingu WTA Hiszpanka Paula Badosa, która wygrywając turniej, mogła wyprzedzić Igę, poddała mecz. To oznacza, że polska

tenisistka zdobyła taką przewagę nad drugą w rankingu Barborą Krejčíkovą, iż pozostanie na szczycie notowań na pewno do początku maja (do turnieju w Madrycie).

Jak długo Iga może być numerem jeden? Na to pytanie nikt nie potrafi odpowiedzieć. Są tacy, którzy uważają, że nie ma szans na długotrwałą dominację. – Wątpię, czy wytrzyma na tej pozycji przez kilka lat. Obecnie stawka na świecie jest bardzo wyrównana, wiele tenisistek walczy o tytuły i wysokie pozycje w rankingu. Uważam, że w najbliższych latach nie będzie jednej dominującej zawodniczki – stwierdziła Martina Hingis, legendarna szwajcarska tenisistka. I jest w tym odrobina prawdy. Od momentu, gdy Serena Williams osłabła, nie widać na horyzoncie zawodniczki, która z pozostałymi może zrobić to samo.

Jednak być może taka dominująca tenisistka właśnie wyłoniła się na naszych oczach i jest to Polka? – Styl, w jakim wniosła na korty świeżą, nieznaną strachu energię, był niewiarygodny. Mam nadzieję, że w nowej roli pozostanie sobą, będzie żyć na swoich warunkach, zdobędzie wszystko, o czym marzy – powiedziała o Idze rezygnująca z kariery Barty.

Jedno jest pewne – Iga jest już gigantem tenisa. Trudno to zrozumieć, jeśli nie zna się kulis tej dyscypliny.

– Po pierwsze, mówi o tym sama czysta statystyka. W tenisa na poziomie wyczynowym zaczynają grać w wieku kilku i kilkunastu lat setki tysięcy dziewcząt. Tylko ułamek z nich doczeka kiedykolwiek w karierze, że zagra w zawodowym turnieju – wskazuje Adam Romer, redaktor naczelny pisma „Tenis Magazyn”. – Z tego grona następny ułamek procenta dotrze do absolutnej czołówki. A fotel liderki jest tylko jeden! Proszę sobie wyobrazić to prawdopodobieństwo bycia numerem jeden, gdy w erze open przez 54 lata tylko 28 kobiet było na szczycie rankingu...

Co więc się składa na taki sukces, skoro tak trudno go osiągnąć? – Powtórzę to, co jako młoda zawodniczka powiedziała Kuzniecowa na turnieju w Sopocie: praca, praca, praca. Bo talent to mają wszystkie zawodniczki z czołówki światowej – komentuje Romer. – No i dodałbym do tego odrobinę szczęścia. Liczyliśmy przecież, że Iga zostanie kiedyś numerem jeden, ale rezygnacja Barty szczęśliwie to przyspieszyła.

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Osobliwości Siczy Zaporoskiej



JACEK KOMUDA

O zaporoskich siczach pisałem w jednym z poprzednich felietonów, jednak to temat szeroki niczym Dniepr, pozwolę sobie zatem wrócić do ich osobliwości i obyczajów, które zadziwiały współczesnych, a czasem przetrwały do dzisiaj.

Każdy, kto śledzi wojnę na Ukrainie, był świadkiem, jak bezpardonowo rozprawiali się Ukraińcy z rabusiami i złodziejami, przywiązując ich folią lub przykuwając kajdankami do słupów i wystawiając na widok publiczny. Rzadko kto jednak wie, że kara taka wywodzi się z Siczy i była jednym ze sposobów wykonywania wyroków śmierci na Kozakach. W XVII i XVIII w. stosowano ją w dwóch wersjach. Pierwsza, łagodniejsza, wymierzana była za niezapłacone długi. Przykuwano wówczas winowajcę do działa na majdanie siczowym, gdzie pozostawał tak długo, aż nie zwrócił pieniędzy lub najczęściej nie znalazł poręczycieli wśród miejscowych Kozaków. Drugi sposób był po prostu karą śmierci, którą stosowano – jak podaje Władysław A. Serczyk – za kradzież, paserstwo, dezercję, rabunek rzeczy innego Kozaka oraz sodomie. Winowajcę przywiązywano do słupa na głównym placu Siczy i zostawiano przy nim solidną wiązkę suchych, dębowych kijów. Każdy, kto tylko chciał, brał jeden w rękę i wymierzał karę złodziejowi. Często skazaniec stawał się przedmiotem okrutnej zabawy Kozaków – przychodzili np. pijacy i zmuszali go do picia gorzałki, mówiąc:

– Pij, sk....synu, złodzieju! Jak się nie napijesz, to cię zbijemy!

A kiedy już rabuś wypił, podochoceni mołojcy łapali za kije i wykrzykiwali:

– Po to ci, sk....synu daliśmy gorzałki, żeby teraz bić!



FOT. DOMENIA PUBLICZNA



FOT. PEGAZ

miał przyjaciół albo zdecydował się oddać ukradziony majątek. Jednak nawet wówczas trwała minimalnie trzy dni.

Po śmierci obwinionego jego majątności przekazywano do wspólnej, kozackiej kasy. Kara dobrze odstraszala potencjalnych złodziei. „Choć w Siczy mieszkali najgorsi z całego świata ludzie, apostatowie od wiary i różnych zakonów, infamisowie, zbiegowie kryminalni z rozmaitych stron, skromność atoli wielka tam panowała i bezpieczeństwo tak wielkie, iż żadnemu podróżnemu z towarem, po towar lub w innym jakim interesie do Siczy przybywającemu włos z głowy nie spadł; pieniędzy, nawet gdyby na środku ulicy położonych, nikt nie ruszył” – pisał o Kozakach Jędrzej Kitowicz w XVIII w.

Pozostałe osobliwości Siczy nie były już tak straszne. Jedną z nich stanowiły ogromne fajki kurzeniowe. W każdym kurzeniu, na które dzieliła się kozacka społeczność, znajdowało się kilka koryt, a w nich gliniane, ogromne lulki zaopatrzone w kilka dymników, pozatykane czopkami. W dowolnej chwili każdy z Kozaków mógł usiąść przy jednej z nich, założyć swój cybuch w dymnik i palić tytoń. Lulki siczowe były ponoć tak ogromne, że do jednej mogło dosiąść się nawet ośmiu Zaporozców, tworząc prawdziwą gromadę; powinnością kucharza

było uzupełniać tytoń w fajkach i sprawdzać, czy odchodzący zatykali dymniki uwiązanymi na sznurkach czopkami.

Inną osobliwością była sama kuchnia zaporoska w każdym kurzeniu. Czynną cały czas – dzień i noc – aby w każdej chwili Kozak, wracający z wyprawy czy ze straży, mógł się posilić. Bez przerwy zatem dymiły ogniska pod miedzianymi kotłami, w których gotowano kaszę jagłąną okraszoną słoniną i olejem oraz bigos z suszonych ryb. Obowiązkiem kucharza było dbać, aby jadło zawsze było gotowe, a kiedy do kuchni przybywał jakiś Kozak, nakładał mu w korytku jadła, a poza tym starał się u starszego kurzenia o przygotowanie zapasów jedzenia.

Praca kucharza była ciężka, ale wykonując ją przez dwa lata, można było zostać w XVIII w. pełnoprawnym członkiem bractwa siczowego i być policzonym między doświadczonych Kozaków. Niestety, nie zawsze w czasie służby bywało przyjemnie. „Jeżeli kucharz był ośpały i nie pilnował swojej powinności, każdy Kozak nieznajdujący dla siebie gotowego jadła lub tytoniu miał prawo wykropić mu skórę batogiem, a oprócz tej kary częste skargi na niego zachodzące sprawiały jego degradację” – pisał Kitowicz.

Kucharz kurzeniowy był jakby protoplastą restauratora – jeśli jacyś Kozacy chcieli odbyć hulanke, wynajmowali kucharza, aby kupić dobre ryby i mięsa, a potem ugotował im prawdziwie pańską wieczerzę lub obiad. Istniał zwyczaj, że po wspólnym obiedzie w kureniu najbogatsi Kozacy pozostawiali dla niego na stole niewielkie napiwki. Kto jednak utrzymywał publiczne kuchnie kurzeniowe? Składali się na nie wszyscy Zaporozcy posiadający domy na Siczy – opłatę na jedzenie ściągano jak podatek albo po prostu kontrybucję. ©©

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



**TYLKO
U NAS !**

Jacek Bartosiak – Wnioski z rosyjskiej agresji
Steve Lee Myers – Od kagebisty do prezydenta
Mikołaj Iwanow – Putin w butach Stalina
Piotr Zychowicz – 2014: Rosjanie na Krymie
Arkadiusz Karbowski – Jątka w Czechenii
Jakub Ostromęcki – Uwaga! Wagnerowcy
Tomasz Stańczyk – Pakt Piłsudski-Petlura
Maciej Rosalak – Wojny Polski z Rosją
Rafał A. Ziemkiewicz – Czy Polska będzie mocarstwem

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

SIOSTRY GOTUJĄ

Na wielkanocnym stole

ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

Za tydzień nikt pewnie nie będzie czytał przepisów kulinarnych, bo wszyscy zajęci będą – podobnie jak my – świętowaniem. Dlatego już teraz prezentujemy nasze wielkanocne menu, zwłaszcza że Święta Wielkanocne to dla nas najpiękniejszy czas w roku. Wyjątkowa jest wymowa tych świąt, ale też przyroda, która budzi się do życia, wlewa w nas energię do działania i dodaje nowych sił, Wielki Post zaś wyostreza apetyt na wielkanocne specjały. I tak w Niedzielę Wielkanocną pięknie nakrywamy stół i wraz z całą rodziną świętujemy Zmartwychwstanie Pana. Na stole stawiamy żur z białą kielbaską, wędliny, pasztet. Ania co roku własnoręcznie wykonuje baranka z masła z oczami z ziarenek pieprzu, z chorągwią z mirtu, który dumnie stoi na dywanie z rzeźuchy, Madzia zaś tradycyjnie piecze naszą bułkę według przepisu Mamy.

Ponadto sałatka jarzynowa, jajka faszerowane na kilka sposobów, chrzan i wiele, wiele innych przepysznych potraw oraz słodkości. Nasze ulubione mazurki, szczególnie kajmanki z czarną porzeczką i migda-

łami, sernik, makowiec i oczywiście najważniejsza – pascha. To królowa na naszym stole, zawsze pięknie przystrojona świeżymi truskawkami albo konfiturą z malin. Polana gorzką czekoladą zajmuje honorowe miejsce. Jej przygotowania zaczynamy już w sobotę rano, tak aby „się odcisnęła” i porządnie schłodziła w lodówce.

Pascha to tradycyjna potrawa wschodnia, jej kształt w formie stożka czy półkuli symbolizować ma grób Chrystusa. Przygotowywana jest z twarogu lub mleka zakwaszonego z dodatkiem śmietany, masła oraz jajek, wanilii i bakalii. Była symbolem bogactwa i dobrobytu. Wersje są różne – ta trudniejsza z podgrzanym i zakwaszonym mlekiem i druga, łatwiejsza, przygotowana z sera. W naszym domu paschę robimy tylko raz do roku na Wielkanoc, dlatego smakuje tak wyjątkowo.

Składniki:

- 1 kg sera tłustego • 1 kostka masła • śmietanka kremówka
- 4–6 żółtek • 150 g cukru pudru
- skórka z cytryny i pomarańczy, rodzynki • migdały – wcześniej namoczone (ok. 180 g) • cukier i ekstrakt waniliowy • gorzka czekolada (jako polewa) • świeże truskawki.

Przygotowanie:

Wszystkie składniki wyjmujemy z lodówki. Cukier dzielimy na trzy części. Do zmielonego twarogu dodajemy śmietankę, cukier waniliowy i jedną trzecią część cukru, wszystko razem ucieramy mikserem. Osobno ucieramy masło z kolejną porcją cukru na puch. Osobno ucieramy same żółtka z trzecią częścią cukru. Dodajemy bakalie. Wszystkie masy łączymy razem w jednej misie. Masę przekładamy na sitko wyłożone gazą. Przykładamy talerzykiem i odstawiamy na min. 12 godzin w zimne miejsce. Wyjmujemy, odwracamy do góry nogami, przyozdabiamy roztopioną czekoladą i świeżymi truskawkami. ©



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Dwudziestolecie made in Poland

Eleganckie życie elit, kabarety literackie, art déco. Ale też przeludniona wieś, mieszkania bez kanalizacji, nędza robotników. Można się skupić na tym drugim, jednak Maja i Jan Łoziński w świetnym albumie wydawnictwa Bosz „Design i moda w przedwojennej Polsce” wybrali z tego okresu to, co było w nim najlepsze. 270 zdjęć z epoki! Czarno-białych, ale z jaką rozdzielczością! Wnętrza mieszkań i budynków użyteczności publicznej, sklepów, wystaw, kawiarni, wydarzeń kulturalnych, życia towarzyskiego, przedmiotów. Widać każdy szczegół wzoru na dywanie, każdą nitkę na płaszczu. Oto łazienka nowoczesnego mieszkania, poczekalnia dworca lotniczego na Okęciu (dama w futrze czytająca książkę), salon i jadalnia mieszkania (już wtedy nazywało się to apartment house), rezydencja prezydenta Mościckiego w Wiśle, pokój urządzony meblami z Ładu, salon obuwniczy w Warszawie (dywany, kryształowe lustra), stroje szkolne, plażowe, sportowe, automobilowe, wieczorowe...

Co nas, dzisiejszych czytelników, uderza w tej książce? Wszystko, co tam widzimy, jest made in Poland! Polscy architekci, projektanci wnętrz i mody, rzemieślnicy, wyroby. Polskie jedwabie, wełny, meble, szkło, porcelana. Kraj wyniszczony straszną wojną wracał z energią w nowe życie. Nadrabiał straty, nadganiał Europę, jednocześnie krzewiąc i propagując, co własne. W roku 1925



MAJA I JAN
ŁOZIŃSCY
„DESIGN I MODA
W PRZEDWOJEN-
NEJ POLSCE”
BOSZ

pochwalono się pierwszymi osiągnięciami na światowej wystawie w Paryżu, gdzie polski pawilon święcił triumfy. W roku 1929 dorobek dziesięciolecia zaprezentowano na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu. Państwo chciało pokazać swój dorobek, było z niego dumne! Na otwarciu pawilonu reprezentacyjnego przybyli wszyscy święci ówczesnej Polski: prezydent Mościcki, prymas kard. Hlond, korpus dyplomatyczny. Zachwycano się osiągnięciami polskiego designu. Wystawę PeWuKa, jak nazywano wydarzenie, zwiedziły 4 mln ludzi!

Magazyn „Wnętrze” z 1934 r. przedstawił czytelnikom relację z wystawy gospodarstwa domowego w Lipsku. „Elektryczne młynki do kawy, krojenia warkurzy, aparaty do zmywania naczyń, elektryczne maszyny do prania, elektryczne froterki...”

„Dział urządzeń kuchennych szybko się rozwija z powodu kryzysu zmuszającego do wybywania się służby domowej” – informowali dziennikarze magazynu. Takie były czasy...

PS Tekst albumu złożono polską czcionką Antykwa Półtawskiego oraz Paneuropa. Obie z lat 20. Michał Piekarski, autor projektu, podkreśla, że to narodowe czcionki. ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Wojna wojną, a młyny miela

Minister zdrowia Niemiec, Karl Lauterbach, zwrócił się ostatnio na forum szefów resortów zdrowia krajów UE z żądaniem obowiązku podawania czwartej dawki szczepionki przeciwko koronawirusowi wszystkim mieszkańcom Unii powyżej 60. roku życia. Polityka oczekuje, że Komisja Europejska zajmie się opracowaniem stosownych zaleceń. Fakt ten dowodzi tego, o czym piszę od dawna, że wojna wojną, ale młyny sanitaryzmu nie przestają mleć, i to mimo kompromitujących faktów związanych ze skutecznością szczepień, które ostatnio zaczynają wypływać.

Same Niemcy mają problem. Porządnie zaszczepione, jeszcze „przed wojną” borykające się z korelacją poziomu wyszczepienia społeczeństwa i gwałtownego, rekordowego wzrostu zakażeń. Trend ten trwa do dziś i nie bardzo wiadomo, co zrobić, bo dotychczasowe akcje, czyli szczepienia i nefarmaceutyczne środki powstrzymania wirusa (lockdown, kwarantanna, izolacja, dystans, dezynfekcja i maseczkowanie), wedle coraz częściej publikowanych danych – mają działanie kontrproduktywne.

Mamy więc do czynienia nie tylko z wywoływaniem problemów, z którymi się później dzielnie walczy, lecz także ze strategią „większego procentu cukru w cukrze”. Czyli jeśli coś nie działa, to trzeba to coś jeszcze bardziej zintensyfikować. Coś jak z integracją unijną, która powoduje narastające problemy, a więc walczy się

z nimi... intensyfikując jeszcze bardziej proces integracji.

Warto zwrócić uwagę na samo pojęcie czwartej dawki. W Izraelu, który przewodził w liczbie dawek multiplikowanych w pogoni za kolejnymi wariantami koronawirusa, czwarta dawka okazała się kompletnym fiaskiem. W dodatku sama idea czwartego strzału po raz kolejny zaprzeczająca dotychczasowym ustaleniom ekspertów i rekomendacjom ciał. To trzecia dawka, przypominający booster, miała być końcowym, śmiertelnym strzałem w koronawirusa. A okazała się niewystarczająca. Co będzie, gdy ta rekomendacja przejdzie i w Polsce się ją zastosuje? Pod koniec marca tego roku mieliśmy zaszczepionych dwiema dawkami 22 341 037 osób, a przypominającą (widać szczepionki „zapominając”) 11 462 135 osób, czyli o połowę mniej. W dodatku rebusy tej trzeciej będą się szybko kończyć i, jak widać, coraz więcej osób przestanie być w pełni zaszczepionych. I teraz czwarta dawka? Jako obowiązek. Wobec osób 60+. Na razie? Jak egzekwowany będzie ten przymus?

Wojna, wojną, ale młyny miela. Żebyśmy tylko się nie obudzili „po wojnie” z kolejną falą walki z kolejnym wariantem za pomocą tych samych nieskutecznych metod. Przyjdzie jesień i po krótkiej kolejnej przerwie na normalność wakacyjną znowu wróci sezonowa fala zakażeń na infekcję dróg oddechowych. I znowu wpadniemy w kolejny korkociąg przymusowej dobrowolności szczepień co pół roku. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Czas na obronę totalną

Mamy siódmy tydzień wojny, a odnoszę wrażenie, że towarzyszy nam stan wyparcia zagrożenia. Media wołają wzmożenie pomocowo-humanitarne niż odpowiedź na pytanie: Jak w wypadku militarnego ataku powinniśmy pomagać sobie? Jak się zachować, gdy rosyjskie rakiety spadną na Rzeszów, Suwałki, Warszawę? Pamiętam w szkołach PO, schrony w blokach mieszkalnych i hasła w stylu „Ćwicz oko i dłoń w cywilnej obronie”. Termin „obrona cywilna” kojarzy mi się z zajęciami prowadzonymi przez nudnych trepów z LWP, jednak dziś doceniam ideę, która w przypadku zagrożenia organizuje pomoc i opiekę nad ludnością cywilną.

W ubiegłym tygodniu pisałem o braku szkoleń strzeleckich dla cywilów. Jest gorzej, niż myślałem. Nie istnieje dziś w kraju system umożliwiający mieszkańcom zaatakowanych regionów skoordynowane i fachowe działania obronne, ratownicze czy ewakuacyjne. Przyjęta w 2020 r. Strategia Bezpieczeństwa Narodowego wprawdzie zakłada zdefiniowanie systemu ochrony ludności, wskazując jego powszechny charakter, ale ustawę o obronie cywilnej dopiero teraz opracowuje MSWiA. Jednocześnie zapowiedziano likwidację Rządowego Centrum Bezpieczeństwa i tworzenie nowej struktury. Wygląda na to, że obroną cywilną zajmie się MSWiA, więc zanosi się na niezły bałagan, bo w terenie mają przecież operować terytorialsi podlegli

Siłom Zbrojnym. Zmiana koni w połowie brodu, jak widać, następuje nie tylko w regulacjach dotyczących armii, lecz także obrony cywilnej. Choć OC jako taka chyba nie istniała, skoro po ogłoszeniu pandemii starszkom uwięzionym lockdownem zakupy i lekarstwa donosili żołnierze WOT. Ustawa o obronie Ojczyzny zawiera wprawdzie rozdział dotyczący koni i psów w Siłach Zbrojnych, ale zabrakło opisu powinności i zadań z zakresu obrony cywilnej.

Tym, co na Ukrainie przesądza o skuteczności wojska, jest postawa społeczeństwa. Szwedzi ten system nazywają obroną totalną lub strategią obrony całościowej, obejmującą zdolności obronne, bezpieczeństwo wewnętrzne, bezpieczeństwo dostaw, prawidłowe funkcjonowanie społeczeństwa i usług publicznych oraz odporność psychologiczną. Skandynawowie wdrożyli przed laty sprawne systemy angażujące od 4 do 10 proc. populacji. W sytuacji kryzysu i alarmu każdy obywatel dostaje informacje o rodzaju zagrożenia i instrukcje, co ma robić. W szwedzkim modelu nie ma podziału na stan nadzwyczajny i normalny. Po 2014 r. i wobec uporczywych rosyjskich prowokacji (wtargnięcia w przestrzeń powietrzną i na wody terytorialne) stan gotowości obronnej jest normą. Wygląda na to, że nie jesteśmy ani na jotę bezpieczniejsi od Szwedów, więc zamiast wyważać otwarte drzwi, skorzystajmy z działających wzorów. Czasu chyba już nie mamy. ©©

SŁAWOMIR
JĄSTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Między nami blokami

Mnie się ten wiersz nigdy nie podobał. Niedojrzały. Chyba po pijanemu małolat pisał. niesprawiedliwy, wykluczający, potęgujący podziały. Nigdy się nim nie przejmowałem. Widać Donald Tusk też nie. O Andrzeja Bursę chodzi i jego „Sobotę”. Leci tak: „Boże jaki miły wieczór / tyle wódki tyle piwa / a potem płatanina / w kulisach tego raju / między pluszową kotarą / a kuchnią za kratą / czułem jak wyzwalam się / od zbędnego nadmiaru energii / w którą wyposażyla mnie młodość / możliwe / że mógłbym użyć jej inaczej / np. napisać 4 reportaże / o perspektywach rozwoju małych miasteczek / ale / mam w dupie małe miasteczka / mam w dupie małe miasteczka / mam w dupie małe miasteczka”.

Donald Tusk z samego rana zawitał do Zduńskiej Woli. Miasto ma tak z 40 tys. mieszkańców. Stanął koło bloków mieszkalnych i rozpoczął konferencję. Wtedy tak się społeczeństwo rozdziawiło, że wszystkim umknęło chyba, co mówi, tylko że gdzie mówi, między blokami żółtymi, na trawie z samego rana, że ale o co w ogóle chodzi, co to za akcja jakaś niebywała? Tu wojna, politycy podróżują na liniach stolic Kijów, Berlin, Wilno, Ryga, Tallin et cetera, a tu Zduńska Wola. Musi być w tym jakiś zamysł. Ale jaki? Że bunt przeciwko Bursie to przecież za mało, a i afirmacja Zduńskiej akurat Woli jakby nieuzasadniona.

Na pewno się wyjaśni, ale nie wiadomo kiedy, a na razie na Twitterze dużo było niesprawiedliwości z tym związanych i sztubackich memów (mnie śmieszą, ale się nie przyznam). Tu Donald na tle bloków stoi, a tu mu jakiś łobuz akordeon w rękach robił, a przy nogach czapkę, że niby muzykuje zarobkowo. Tu Donald na tle bloków, a tu na blokach jakiś inny łobuz rysunki domalował, rzekłbym – dalece dezawuuujące ideę. Jaką ideę? Jeszcze nie wiem jaką. Ale to się wyjaśni. Na pewno jakiś był zamysł, żeby np. zamiast do Kijowa to do Zduńskiej Woli. Na odkrycie sensów przyjdzie czas. Na razie bezsens zdaje się być na wierzchu. Ale poczekajmy.

Grodzki nam rozbłysnął. Trzeci (podobno jest na etacie trzeciej osoby w państwie, bo marszałek Senatu) ukraińskiego się nauczył i przemawiał w tym właśnie języku. Całkiem sporo osób z jego przemowy zrozumiało, że Polskę nasz dzielny Trzeci Polak postawił w położeniu, że w zasadzie to my jesteśmy współodpowiedzialni, jeśli nie odpowiedzialni za finansowanie krwawej wojny Putina. Wypowiedź Grodzkiego była tak kuriozalna, że nawet Bronisław Komorowski skomentował: „To robi w Ukrainie złe wrażenie, że Polacy ich kosztem się tak politycznie bawią”. Tymczasem minęło 370 dni od złożenia wniosku o odebranie Trzeciemu immunitetu. Prokuratura twierdzi, że Trzeci brał od rodzin pacjentów koperty, ale bez listów. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Wymagaj od siebie...

Małgośka – mówią mi – prezenty dostają tylko ci, którzy mogą się zrewanżować. Dlatego los Ukrainy i Polski jest przesądzony, bo to Rosja dostarcza światu rozmaite prezenty spod ziemi i spod stołu, przy którym siedzą i jedzą syci tego świata. Owszem, tyle że determinacja Polaków wielokrotnie sprawiała, że przewracaliśmy stolik, przy którym rozgrywały swoje gry mocarstwa. Dziś to, co najbardziej mnie martwi, to nasze zafiksowanie na sojusznikach, zupełnie jakbyśmy zapomnieli o lekcji z września 1939 r.

Cały czas wyglądamy Wielkiego Brata, który nas przytuli i rozepnie parasol, żebyśmy nie dostali od Rosji w cztery litery. A przecież już w listopadzie jeden z najlepszych amerykańskich strategów wojskowości Luttwak ostrzegał, że mamy parę miesięcy, aby stać się drugą Finlandią! Jednym słowem – naszym jedynym ratunkiem są masowy pobór i mobilizacja. Ale my, jak ta śpiąca królewna, cały czas myślimy, że przyjdzie książę z Pentagonu, a może z Bundestagu, i najpierw nas pocałuje w czołko, a potem pokona rosyjskiego niedźwiedzia. I jakże nas oburza, że interes Polski czy Ukrainy nie jest priorytetem dla Waszyngtonu czy Berlina!

Już mam serdecznie dość słuchania tych żalów pod adresem prezydenta

z Paryża czy Budapesztu, bo egoizmy narodowe są chyba starsze niż same narody. Czy mnie się podoba, że mój mąż, oficer w rezerwie, będzie stał w pierwszym szereg? Absolutnie nie! Czy mnie jako matce studenta medycyny uśmiecha się myśl, że mi pierworodnego wezmą w kamasze? Nie! To jakim prawem mogą oczekiwać, że za mój kraj ginąć będą synowie i mężowie kobiet z USA?

Taki jest nasz los, niemal w każdym pokoleniu. Dlaczego więc jeszcze nie ogłoszono obowiązkowego poboru? Nawet ja wyrabiam patent strzelca, żeby mi nikt nawet nie próbował odebrać nawet skrawka ziemi okupionej krwią moich przodków. Co z nami jest, że zamiast mobilizować nasze siły, bez przerwy tracimy czas na uzalanie się i rozliczanie sumień innych? Czy polski naród też przechodzi kryzys męskości?

Całe szczęście, że Will Smith przypomniał na gali Oscarów, co robi mężczyzna, gdy znieważają kogoś, kogo kocha: idzie i – za zaproszeniem – daje w mordę. A my ciągle łazimy, pociągamy różnych ochroniarzy za mankiety i zebrzemy wśród muskularnych kolegów, aby w naszym imieniu dali w pysk bestii z Kremla. Owszem, to ważne mierzyć zamiar podług sił, zadbać o sojusze, ale może to jest ten czas, kiedy bardziej niż inne słowa św. JP II powinno nam zapaść w sumienia jego: „Wymagajcie przede wszystkim od siebie...”. ©©

WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Z teorii manipulacji

Przekonania i poglądy dzielą się na szczegółowe i ogólne. Opinia, że nasz przełożony jest idiotą, połączona z informacją, że popiera on rząd, może prowadzić do poglądu, że rząd składa się z idiotów i nie zasługuje na zaufanie. W rozumowaniu tym związek między przesłanką a wnioskiem jest całkowicie nieuprawniony.

To jeden z przykładów tego, jak sami się oszukujemy, stosując nieświadomie błąd pars pro toto, czyli „część jako całość”. Zjawisko to związane jest z psychologiczną skłonnością do uogólniania zjawisk. Następna sprawa to źródło informacji. Jeśli przełożony zrobił nam coś głupiego, to źródło wiedzy jest bezpośrednie, choć

nieufności wobec innych źródeł. Widać to wyraźnie w poglądach osób zmanipulowanych przez system totalitarny, jednak wcale nie jest to wykluczone w sytuacji pluralizmu informacyjnego, gdy całkowicie wierzymy jednemu, a nie ufamy innym źródłom informacji lub wręcz nie korzystamy z nich. Mamy wtedy do czynienia z dobrowolnym samooszukiwaniem się odbiorcy. W przypadku tego rodzaju „zamknięcia się” odbiorcy powstają pewien system obronny przed dopływem informacji alternatywnych i ogólna wizja zdarzeń, w której każda informacja jest interpretowana zgodnie z przyjętym z góry poglądem. Tak powstaje swoisty „umysł zamknięty”.

dezinformacji), „przekazniki” (media), „pudła rezonansowe” (pośrednicy powtarzający dezinformację) i „grupa docelowa”, do której kierowane są działania dezinformacyjne. Celem akcji jest wytworzenie w grupie docelowej określonego poglądu na jakiś temat.

Interującą częścią procesu manipulacji są „wsporniki”, a więc zjawiska lub zdarzenia podlegające manipulacji. Opis zjawiska może być mniej lub bardziej prawdopodobny. To chyba Goebbels mówił, że w kłamstwa małe ludzie niechętnie wierzą, ale wobec kłamstwa wielkiego są bezradni, gdyż nie mogą uwierzyć, by można było aż tak kłamać. Skrajnie zmanipulowany odbiorca może święcie uwierzyć, że to ukraińscy „naziści” mordowali w Donbasie Bogu ducha winnych Rosjan, a nie uwierzy, że w wyniku rosyjskiej agresji giną tysiące niewinnych Ukraińców. Odbiorcy w miarę przytomni z trudem uwierzą w wielkie kłamstwo, ale odbiorcy już wcześniej dostatecznie zmanipulowani uwierzą w każdą bzdurę. Kiedy odbiorców zmanipulowanych jest bardzo dużo, ci pierwsi będą się po prostu obawiać, by wskazać, jak w baśni Andersena, że „król jest nagi”.

Szczególną rolę odgrywają emocjonalne konotacje słów. Słowo „wybór” jest znacznie bardziej lubiane niż „konieczność”, słowo „korzyść” jest odbierane lepiej niż „poświęcenie”, „prawo” – lepiej niż „obowiązek” i tak dalej. „Wolność” jest słowem wręcz prometejskim, podczas gdy „dyskryminacja” z góry odrzuca. Dlatego też „klient” i jego „agenci” stosują takie sztuczki słowne jak „wolność to uświadomiona konieczność” lub „każdy ma swoją prawdę”, a dowolność zabijania nienarodzonych dzieci nazywają „prawem do wyboru”. ©

Opis zjawiska może być mniej lub bardziej prawdopodobny.

To chyba Goebbels mówił, że w kłamstwa małe ludzie niechętnie wierzą, ale wobec kłamstwa wielkiego są bezradni, gdyż nie mogą uwierzyć, by można było aż tak kłamać

należałoby sprawdzić, czy jest to reguła jego zachowania i czy przypadkiem nie zasłużyliśmy sobie na takie traktowanie. Jeśli zaś osąd przełożonego opieramy na opinii innych osób, to powstaje problem zaufania. Skąd bowiem bierze się zaufanie do wiarygodności źródła informacji? Może to być emocjonalne przywiązanie do osoby informatora, przekonanie o jego wiedzy, doświadczeniu i obiektywizmie, obawa przed ujawnieniem swojego poglądu lub strach przed konsekwencjami, interes w przyjmowaniu jego poglądów lub po prostu duża częstotliwość pobierania informacji z tego źródła, a nawet wyłączność tego źródła. Przy wystąpieniu większości z tych motywów wysokie zaufanie do tego źródła prowadzi do

Studując zjawisko manipulacji, poza psychologią odbiorcy warto także przyrzeć się psychologicznym sztuczkom wykonywanym przez nadawców. Pytanie podstawowe brzmi: Jaki jest cel nadania jakiejś informacji? Może to być chęć zaistnienia lub przezwyciężenia anonimowości, rozbawienie odbiorcy, ale najczęściej jest to ukształtowanie jego poglądów poprzez informację, dezinformację lub wywołanie szumu informacyjnego, w którym łatwiej odbiorcę zmanipulować. Podstawowe pojęcia teorii dezinformacji Vladimira Volkoffa (1932–2005) to „klient” (osoba lub grupa zyskująca na dezinformacji), „agent” (wykonawca zleconej dezinformacji), „wsporniki” (wydarzenia będące podstawą

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Zyję w dwóch społeczeństwach, w obu jestem u siebie. Tam – w USA – ludzie są z natury wolni. Takie mają podejście do życia, do siebie samych, do władzy państwowej. W Polsce obserwuję zjawisko odwrotne. Polak buntuje się wewnętrznie i sarkana na władzę, ale jednocześnie uznaje, że jest wasalem, a nie suwerenem. Gdy to robi Polak szeregowy, to przykro patrzeć na jego uległość wobec władzy, ale jest ona mniej szkodliwa, niż gdy postawę wasala prezentuje polityk.

Na Tuska mówiliśmy złośliwie, że to „pudel Makreli”. No bo taki był – pochylał się grzecznie i słuchał, co mu tam Angela Merkel powie do ucha; kiwał głową, a potem wykonywał, co kazali. Gdy na molo w Sopocie rozmawiał z Putinem, zgasiłem w telewizorze dźwięk, aby zobaczyć mowę ciała i poczytać z ust – co mówią, a przynajmniej jak mówią. Putin zarządzał Tuskiem jak dobry, łaskawy pan, a Tusk usłużnie podejmował gościa i było widać, że traktuje go jako ważniejszego od siebie. Na własnym terenie? A z jakiej racji? Dlaczego niby Putin ważniejszy? Bo rządzi w większym państwie? Co to ma do rzeczy? Popatrzcie, jak z Putinem gada premier Holandii, która jest przecież pod każdym względem mniejsza od Polski, a jednak trzyma głowę prosto i się nie kuli.

Tusk nie jest wyjątkowy – oni wszyscy wasale. Każdy polski polityk ma to w sobie, że się fizycznie kuli i pochyla, gdy rozmawia z „ważniejszymi” od siebie. A ja wtedy krzyczę do telewizora: „Przestań podwijać ogon, przecież Francja nie jest ważniejsza od Polski! Czemu się płaszczysz wobec Macrona?



Stań wobec niego jak równy z równym, spojrzij mu w oczy, jak równemu sobie, przecież on ma w Unii i w NATO tyle głosów co ty i jego głosy nie są ważniejsze od twoich!”.

Są takie gremia i organizacje, gdzie Polska jest obiektywnie na pozycji słabszej, bo albo nie jest członkiem pełnoprawnym, lecz tylko kandydatem, albo ma słabsze karty w negocjacjach, ale nawet wtedy nie należy się płaszczyć i uniażać.

Są też w polskiej polityce rzadkie wyjątki – faceci, którzy się nie kulą. Pana Jakubiaka lubię, bo się „nie obcyndala”, lecz mówi wprost i nawet gdy rozmawia z kimś ważniejszym od siebie, rozmawia normalnie, jak wolny człowiek. Podobnie zachowywał się Leszek Miller. W tym przypadku nie łączy nas absolutnie nic, a dzieli absolutnie wszystko, bo ja komuchów nie toleruję i aktywnie zwalczam, ale prawda jest taka, że Miller jako facet się nie płaszczył, lecz gryźł i wielka szkoda, że z takimi predyspozycjami reprezentował złó.

Reszta towarzystwa (statystycznie mówię, bo pewnie znajdzie się kilka rodzyneków w tym budyniu), reszta politycznego towarzystwa to parada wasali tańczących menueta. Stąpają ostrożnie, by nikogo nie urazić ani czynem, ani słówkiem, by nikomu nie nadepnąć na odcisk, nikogo nie potrać, nikomu nie zawadzać. W ten sposób się nie da załatwić niczego porządnie.

Gdy chcesz dokonać czegoś ważnego, musisz być z góry przygotowany na to, że nie

wszystkim się będzie podobało. Politycy właśnie tego się boją i unikają jak ognia – że się komuś nie spodoba. W konsekwencji uciekają od załatwiania rzeczy kluczowych, natomiast robią dużo szumu wokół rzeczy mało istotnych. A gdy raz na jakiś czas zdarzy się coś dużego, ważnego, jakieś wejście w konflikt bezpośredni, to czekają (jak wasale), aż ktoś inny poprowadzi, ktoś inny zainicjuje i wtedy się chętnie przyłączają do stada. Merdając ogonkami stado potakiwaczy.

Unia rezygnuje z węgla, to oni wszyscy lecą się przyłączyć, bo „stawiamy na ekologię”. Żaden nie stanie przeciw Unii ze słowami: „Polska stawia na ekologię inaczej – za pomocą węgla. Będziemy spalać węgiel, bo go mamy. Nauczmy się robić coraz lepsze piece i coraz lepsze filtry i rozwiniemy na światową skalę metody gazyfikacji węgla, i kiedyś to wy od nas będziecie kupowali najbardziej ekologiczne piece węglowe na planecie”.

Takie postawienie sprawy byłoby wejściem w konflikt, stanięciem twarzą w twarz jak równy z równym i... Unia musiałaby ustąpić, bo... Bo co mogłaby innego zrobić? Nic. I właśnie o to chodzi, że nic. Wolny człowiek potrafi ocenić ryzyko, gdy staje do konfliktu. Wolny człowiek, a nie wasal, umiałby ocenić, że w konflikcie na temat węgla Unia może jedynie trochę pokrzyknąć, ale ostatecznie i tak zrobimy to, co my chcemy.

Przykład: reforma sądownictwa w wykonaniu PiS. To się ciągle toczy i toczy, i nigdy się nie skończy, bo to menu-

ecik, taniec uników i unijnych ukłonów, zamiast MĘSKICH DECYZJI I CZYNÓW. Męskie decyzje polegają na tym, że się z nich mężczyzna nie wycofuje rakiem, gdy ktoś na niego nakrzyczy. Nawet jeżeli ten ktoś jest zagraniczny i krzyczy z wysokiego stolca w Brukseli. A niech krzyczy, jego sprawa.

Przykład: kilka dni temu usłyszałem, że Polska nie może zamknąć granicy z Białorusią dla handlu z Ruskimi, bo jesteśmy w Unii i coś tam. To jest zachowanie wasala i tchórzliwy menuetecik, zamiast postawy suwerennej. Polska na swojej granicy może zrobić wszystko, co tylko się Polsce podoba. I ja w tej konkretnej sprawie nawet nie wiem dokładnie, o co chodzi i nie mam zdania, czy Polska powinna te tiry przepuszczać czy nie powinna. Nie o to chodzi w tym tekście. Chodzi o postawę wasala: „Nie możemy, bo jesteśmy w Unii”. Co za bzdurne postawienie sprawy! Ja bym powiedział odwrotnie: „Możemy, pomimo że jesteśmy w Unii, bo przede wszystkim jesteśmy w Polsce i to jest polska granica, więc Polska i tylko Polska będzie na tej granicy ustanawiać swoje porządki. A gdyby się to komuś nie podobało, to trudno i niech swoje tiry z ruskim towarem puści inną drogą.

Przyjaciół poradził z troską: – Nie krytykuj rządu, nie teraz!

– Tak? A kiedy? Gdy już wszystko zrobią źle, a potem się rozplączą, że im nikt nie powiedział; nikt nie oponował?

– Nie teraz! A poza tym na kogo byś ich wymienił? Wszyscy inni to tacy sami wasale. Nie ma ich kim zastąpić.

– Tego to ja nie wiem – odpowiedziałem. – Gdybyśmy się dobrze pomodlili, dobrze pościli, to może by się okazało, że jest gdzieś mąż stanu na miarę kard. Wyszyńskiego. On nie był wasalem, lecz suwerenem. ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~1093~~ zł

**W PREZENCIE
KSIĄŻKA**

PIOTR SEMKA
„MY REAKCJA. HISTORIA EMOCJI
ANTYKOMUNISTÓW 1944 - 1956”
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

367,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 726 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%)
- Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami
- Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

epresa.pl d64f26bbe



ROAMER
OF SWITZERLAND

7 YEAR
WARRANTY

